

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT **KOSIARZ**



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHET

KOSIARZ

Przełożył Piotr W.Cholewa

Tytuł oryginału:

REAPER MAN

Taniec morris znany jest we wszystkich zamieszkanym światach multiwersum.

Tańczy się go pod błękitnym niebem, by uczcić przebudzenie gleby, i pod nagimi gwiazdami, ponieważ nadchodzi wiosna i przy odrobinie szczęścia dwutlenek węgla znowu odtaje. Przymus tańca odczuwają głębinowe morskie istoty, które nigdy nie widziały słońca, i mieszkańcy miast, których jedyny kontakt z naturą polega na tym, że kiedyś swoim volvo przejechali owcę.

Tańczony jest w sposób niewinny przez brodatych młodych matematyków, do wtóru amatorskiego akordeonowego wykonania Lokatora pani Widgery, albo bezlitośnie, przez Zespół Morris-Ninja z Nowego Ankh, który potrafi robić niezwykle rzeczy ze zwykłą chustką i dzwoneczkiem.

I nigdy nikt nie tańczy go właściwie.

Wyjątkiem jest Dysk, płaski i spoczywający na grzbietach czterech słoń, płynących przez kosmos na skorupie Wielkiego A'Tuina, żółwia świata.

I nawet tam tylko w jednym miejscu tańczą morrisa jak należy. To mała wioska w górskim łańcuchu Ramtopów, gdzie wielką i prostą tajemnicę przekazuje się z pokolenia na pokolenie.

Mężczyźni tańczą tam pierwszego dnia wiosny, w tył i w przód, z dzwoneczkami uwiązany u kolan, w powiewających białych koszulach. Ludzie przychodzą popatrzeć. Potem piecze się na rożnie wołu. Powszechnie uznaje się to za miłą okazję do rodzinnej wycieczki.

Ale nie na tym polega tajemnica.

Tajemnicą jest inny taniec.

Jednak nie zdarzy się on jeszcze przez dłuższy czas.

Rozbrzmiewa tykanie, jakby wielkiego zegara. I rzeczywiście, na niebie tkwi zegar i spływa z niego tykanie świeżo wybitych sekund.

A przynajmniej wygląda jak zegar. Ale w istocie jest przeciwieństwem zegara, a największa wskazówka okrąży tarczę tylko raz.

Pod zamglonym niebem rozciąga się równina. Pokrywają ją łagodnie falujące krzywizny, które - gdybyśmy oglądali je z daleka -mogłyby nam przypominać coś innego. Ale gdybyśmy oglądali je naprawdę z daleka, bylibyśmy bardzo zadowoleni, że jesteśmy daleko.

Tuż nad równiną unoszą się trzy szare postacie. To, czym są, nie da się opisać w zwykłym języku. Niektórzy nazwaliby je cherubinami, chociaż absolutnie nie mają rumianych policzków. Można zaliczyć je do tych, którzy pilnują, by działała grawitacja i by czas pozostawał oddzielony od przestrzeni. Nazwijmy je audytorami. Audytorami rzeczywistości.

Toczą ze sobą rozmowę, choć nic nie mówią. Nie muszą mówić. Właśnie zmienili rzeczywistość tak, że już to powiedzieli.

Któryś powiedział: Nigdy nie stało się nic podobnego. Czy możemy to zrobić?

Któryś powiedział: Trzeba to zrobić. Pojawiła się osobowość. A osobowości się kończą. Tylko siły mogą przetrwać.

Powiedział to z niejaką satysfakcją.

Któryś powiedział: Poza tym... Zdarzały się nieregularności. Kiedy występuje osobowość, muszą wystąpić nieregularności. To powszechnie znany fakt.

Któryś powiedział: Czy pracował nieefektywnie?

Któryś powiedział: Nie. Pod tym względem nie możemy mu nic zarzucić.

Któryś powiedział: O to właśnie chodzi. Ważne jest słowo "mu". Bycie osobowością zmniejsza efektywność. Nie chcemy, żeby to się rozpowszechniło. Wyobraźmy sobie, że grawitacja rozwinie własną osobowość. Stwierdzi, przypuścimy, że lubi ludzi.

Któryś powiedział: Zechce ich zgnieść w uścisku? Któryś powiedział - głosem, który byłby bardziej lodowaty, gdyby nie to, że miał już temperaturę zera absolutnego: Nie.

Któryś powiedział: Przepraszam. To taki mój drobny żarcik. Któryś powiedział: Poza tym czasami zastanawia się nad swoją pracą. Takie spekulacje są niebezpieczne.

Któryś powiedział: Co do tego nie ma wątpliwości. Któryś powiedział: A zatem jesteśmy zgodni? Któryś, który od pewnego czasu wydawał się nad czymś zastanawiać, powiedział: Jedną chwileczkę. Czy nie użyłeś przed chwilą zaimka liczby pojedynczej "mój"? Chyba nie rozwijasz sobie osobowości, co?

Któryś powiedział, zawstydzony: Kto? My?

Któryś powiedział: Gdzie wystąpi osobowość, pojawia się rozdźwięk.

Któryś powiedział: Tak, tak. Szczera prawda.

Któryś powiedział: No dobrze. Ale na przyszłość uważaj.

Któryś powiedział: A zatem jesteśmy zgodni?

Spojrzeli w górę, na widoczną na niebie twarz Azraela. Właściwie to twarz była niebem.

Azrael wolno skinął głową.

Któryś powiedział: Doskonale. Co to za miejsce?

Któryś powiedział: To świat Dysku. Płynie w przestrzeni na grzbiecie gigantycznego żółwia.

Któryś powiedział: Aha, to jeden z takich... Nie znoszę ich.

Któryś powiedział: Znowu zaczynasz. Użyłeś pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Któryś powiedział: Nie! Nie! Nigdy nie używam liczby pojedynczej! A niech to...

Rozgorzał ogniem i spłonął tak, jak płonie niewielki obłoczek pary: szybko i bez zbędnego popiołu. Niemal natychmiast pojawił się następny, identyczny ze swym unicestwionym krewniakiem.

Któryś powiedział: Niech to będzie lekcja. Stać się osobowością to zakończyć swe istnienie. A teraz... ruszajmy.

Azrael przyglądał się, jak odpływają.

Trudno jest zgłębić myśli istoty tak ogromnej, że w rzeczywistej przestrzeni jej wielkość można określić tylko w terminach prędkości światła. Ale zwrócił swą gigantyczną masę i oczami, w których mogłyby zatonać gwiazdy, wśród miliardów światów poszukał jednego płaskiego.

Na grzbiecie żółwia... Świat Dysku - świat i zwierciadło światów.

Brzmiało to interesująco. A w swym miliardoletnim więzieniu Azrael się nudził.

Oto pokój, gdzie przyszłość przelewa się w przeszłość przez zwężenie teraźniejszości.

Czasomierze stoją na półkach. To nie klepsydry, chociaż wyglądają tak samo. Nie służą do gotowania jajek jak te, które można kupić jako pamiątki, przyłączone do niewielkiej tabliczki z nazwą wybranego kurortu wypisaną

przez kogoś o wyczuciu stylu godnym ciastka z galareta.

Nawet nie piasek się w nich przesypuje. To sekundy, w nieskończoność zmieniające "zdarzy się" w "było".

I każdy życiomierz ma wypisane imię.

A pokój pełen jest cichego szumu ludzkiego życia.

Wyobraźcie sobie tę scenę...

Dodajcie teraz ostre stukanie kości o kamienie - coraz bliższe.

Mroczna postać przesuwa się przez pole widzenia i sunie wzdłuż nieskończonych półek szeleszczącego szkła. Klik, klik... Oto klepsydra, której górna część jest już prawie pusta... Zdjęta z półki. I kolejna... Zdjęta. I więcej. O wiele więcej. Zdjęta, zdjęta.

To codzienna praca. A raczej byłaby nią, gdyby istniały tu dni.

Klik, klik... Czarna postać idzie cierpliwie wzdłuż półek.

I przystaje.

Waha się...

...ponieważ zauważyła małą złotą klepsydrę, niewiele większą od zegarka na rękę.

Nie było jej tu wczoraj. A raczej nie byłoby, gdyby istniało tu wczoraj.

Kościste palce obejmują znalezisko i unoszą do światła. Wypisano na niej imię - drobnymi wielkimi literami. To imię brzmi ŚMIERĆ.

Śmierć odstawił klepsydrę, ale po chwili wziął ją znowu. Piasek czasu się przesypywał. Śmierć na próbę odwrócił życiomierz - dla sprawdzenia. Piasek sypał się dalej, tyle że teraz z dołu do góry. Śmierć właściwie nie oczekiwał niczego innego.

To oznaczało, że nawet gdyby mogły tu istnieć dni jutrzejsze, to i tak ich nie będzie. Już nie.

Coś zadrżało w powietrzu za jego plecami. Śmierć odwrócił się powoli i powiedział do postaci falującej niewyraźnie w półmroku:

DLACZEGO? Postać mu powiedziała.

ALE TO... TAK NIE WOLNO. Postać powiedziała mu, że owszem, wolno.

Na twarzy Śmierci nie drgnął żaden mięsień - ponieważ ich nie miał.

BĘDĘ SIĘ ODWOŁYWAŁ.

Postać powiedziała, że powinien przecież wiedzieć, że nie ma odwołania. Nigdy nie ma odwołania.

Śmierć zastanowił się przez chwilę.

ZAWSZE STARAŁEM SIĘ JAK NAJLEPIEJ WYKONYWAĆ SVOJE OBOWIĄZKI.

Postać podpłynęła bliżej. Przypominała trochę zakapturzonego mnicha w szarej szacie.

Powiedziała: Wiemy. Dlatego pozwalamy ci zatrzymać konia.

Słońce wisało nad horyzontem.

Najkrócej żyjącymi istotami na Dysku były jętki, które wytrzymywały ledwie swoje dwadzieścia cztery godziny. Dwie spośród najstarszych zygzakowały bez celu nad wodami pełnego pstrągów strumienia. Dyskutowały o historii z młodszymi przedstawicielkami wieczornego wylęgu.

- Nie ma teraz takiego słońca jak dawniej - stwierdziła jedna z nich.

- Racja. Za dobrych, dawnych godzin miałyśmy słońce jak należy. Było całe żółte, a nie takie czerwone jak teraz.

- 1 było wyżej.

- Było. Racja.

- A poczwarki i larwy okazywały starszym szacunek.

- Tak było. Okazywały - przyznała z pasją druga.

- Myślę sobie, że gdyby w obecnych godzinach jętki lepiej się zachowywały, wciąż miałybyśmy porządne słońce. Młodsze jętki słuchały uprzejmie.

- Pamiętam - rzekła jedna z najstarszych jętek - kiedyś wszędzie wokół jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola. Młodsze jętki rozejrzały się.

- To wciąż są pola - zauważyła jedna z nich, uprzejmie odczekawszy należną chwilę.

- Pamiętam, że kiedyś to były lepsze pola - odparła surowo stara jętka.

- Zgadza się - przyznała jej koleżanka. - I była tam krowa.

- Racja! Masz rację! Pamiętam krowę! Stała w tamtym miejscu przez dobre, boja wiem, czterdzieści, może pięćdziesiąt minut. Brązowa, o ile sobie przypominam.

- W tych godzinach nie ma już takich krów.

- W ogóle nie ma krów.

- A co to jest krowa? - zainteresowała się któraś nowo wykluta jętka.

- Widzicie? - zawołała tryumfalnie stara. - Oto nowoczesne Ephemeroptera. - Urwała na moment. - Co robiłyśmy, zanim zaczęłyśmy rozmawiać o słońcu?

- Zygzakowałyśmy bez celu nad wodą - odparła któraś z młodszych.
Była to dość bezpieczna hipoteza.

- Nie, jeszcze wcześniej.

- Ee... Opowiadałyście nam o Wielkim Pstrągu.

- Aha. Rzeczywiście. Pstrąg. Widzicie, jeśli będziecie dobrymi jętkami, będziecie zygzakować jak należy w górę i w dół...

- ...ustępując starszym i mądrzejszym...

- Tak, i ustępować starszym i mądrzejszym, to kiedyś Wielki Pstrąg...
Chlup! Chlap!

- Tak? - spytała jedna z młodszych jętek. Nikt jej nie odpowiedział.

- Co Wielki Pstrąg? - dodała inna nerwowo.

Spojrzała w dół, na ciąg rozszerzających się kręgów na wodzie.

- To święty znak! - zawołała jedna z nich. - Pamiętam, że mi o tym mówiono! Wielki Krąg na wodzie! Taki bowiem będzie znak Wielkiego Pstrąga!

Najstarsza z młodych jętek w zadumie obserwowała wodę. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że jako najstarsza z obecnych zyskała właśnie przywilej latania najbliższej powierzchni wody.

- Mówią - odezwała się jętka na szczycie zygzakującej chmury - że kiedy przychodzi po kogoś Wielki Pstrąg, zabiera go do krainy płynącej... płynącej... - Jętki nie jedzą, więc trochę się pogubiła. - Wodą płynącej - dokończyła niepewnie.

- To ciekawe - odparła najstarsza.

- Musi tam być naprawdę wspaniale - dodała najmłodsza.

- Tak? A dlaczego?

- Bo nikt jeszcze nie próbował stamtąd wrócić.

Najbardziej długowiecznymi stworzeniami na Dysku są słynne liczące sosny, rosnące dokładnie na granicy wiecznego śniegu w górach Ramtopów. Licząca sosna to jeden z niewielu znanych przykładów pożyczonej ewolucji.

Większość gatunków ewoluuje samodzielnie, po drodze szukając najlepszych rozwiązań. Tak właśnie zaplanowała to Natura. Wszystko jest całkiem naturalne, organiczne i zharmonizowane z tajemniczymi cyklami kosmosu, który uważa, że nie ma nic lepszego niż miliony lat frustrujących prób i błędów, by gatunek zyskał należytą strunę moralną, a w niektórych przypadkach nawet kręgosłup.

To zapewne doskonała metoda z punktu widzenia gatunku, ale z perspektywy pojedynczych osobników, których dotyczy, postrzegana jest jako zwykłe świństwo - a raczej gadstwo, przy czym chodzi o te małe, różowe, żywiące się korzeniami gady, z których pewnego dnia mogą wyewoluować świny.

Dlatego liczące sosny unikały tych kłopotów, pozwalając innym roślinom ewoluować dla siebie. Nasienie sosny, spadające na ziemię w dowolnym miejscu Dysku, poprzez rezonans morficzny natychmiast wychwytywało najbardziej efektywny kod genetyczny i wyrastało w coś optymalnie dopasowanego do gleby i klimatu. Zwykle radziło sobie o wiele lepiej niż gatunki miejscowe, które na ogół wypierało.

Jednak najciekawszą cechą liczących sosen jest to, w jaki sposób liczą. Niejasno zdając sobie sprawę, że istoty ludzkie nauczyły się rozpoznawać wiek drzewa poprzez liczenie pierścieni w pniu, pierwsze liczące sosny uznały, że ludzie właśnie po to ścinają drzewa.

W ciągu jednej nocy liczące sosny skorygowały swój kod genetyczny tak, by jasnymi cyframi na pniu, mniej więcej na wysokości oczu człowieka, wyświetlać swój dokładny wiek. W ciągu roku wycięto je niemal do

ostatniego egzemplarza - w związku z zapotrzebowaniem producentów ozdobnych tabliczek z numerami domów. Tylko kilka przetrwało w trudno dostępnych rejonach.

Sześć liczących sosen rosnących w jednej kępie słuchało najstarszej, której sękaty pień informował, że ma trzydzieści jeden tysięcy siedemset trzydzieści cztery lata. Sama rozmowa trwała siedemnaście lat, ale na potrzeby tej opowieści została przyspieszona.

- Pamiętam, że kiedyś wokół były nie tylko pola.

Sosny spojrzały na tysiące mil pejzażu. Niebo migotało niczym marne efekty specjalne w filmie o podróży w czasie. Śnieg pojawiał się, leżał przez krótką chwilę i topniał.

- A co wtedy było? - spytała jej najbliższa sąsiadka.

- Lód. Jeśli to można nazwać lodem. Wtedy mieliśmy porządne lodowce. Nie takie coś, co trafia się teraz, poleży pół roku i już go nie ma. Tamten lód leżał przez całe wieki.

- No to co się z nim stało?

- Odszedł.

- Dokąd odszedł?

- Tam, gdzie odchodzą rzeczy. Wszystko stale gdzieś pędzi.

- O rany... Ta była ostra.

- Co takiego?

- Ta zima przed chwilą.

- To nazywasz zimą? Kiedy byłam pędem, mieliśmy takie zimy, że...

I wtedy drzewo zniknęło.

Po trwającej kilka lat chwili zdumionego milczenia, jedna z kępy odezwała się wreszcie.

- Ona zniknęła. Ot tak sobie! Jednego dnia tu stała, a następnego jej nie było!

Gdyby pozostałe drzewa były ludźmi, z pewnością przestąpiłyby z nogi na nogę.

- To się zdarza., moja mała - odpowiedziało ostrożnie jedno z nich. - Trafiła do Lepszego Miejsca[1], możesz być tego pewna. Była dobrym drzewem.

Młoda sosna, licząca sobie zaledwie pięć tysięcy sto jedenaście lat, nie była przekonana.

- Do jakiego Lepszego Miejsca?

- Nie jesteśmy pewne - odparła jej starsza koleżanka. Zadrżała lekko w dmuchającym przez tydzień wietrze. - Ale myślimy, że są tam... trociny.

Ponieważ drzewa nie są w stanie nawet zauważyć zdarzenia, które trwa krócej niż dzień, nie usłyszały stuku siekier.

Windle Poons, najstarszy mag wśród profesorów Niewidocznego Uniwersytetu...

...znanego z magii, magów i sutych bankietów... ...także miał umrzeć.

Wiedział o tym, na swój kruchy i drżący sposób. Oczywiście, myślał, jadąc swym wózkiem inwalidzkim po bruku w stronę położonego na parterze gabinetu, w sensie ogólnym wszyscy wiedzą, że mają umrzeć. Nawet zwykli ludzie. Nikt nie wie, gdzie był człowiek, zanim się urodził, ale kiedy już się urodził, dość szybko odkrywał, że przybył ze skasowanym biletem powrotnym.

Magowie jednak wiedzieli naprawdę. Oczywiście nie wtedy, kiedy zgon wiązał się z przemocą i zabójstwem, ale kiedy chodziło o zwykły przypadek życia dobiegającego końca... wtedy się wiedziało. Zwykle przeczucie nadchodziło dość wcześnie, by zdążyć oddać książki do biblioteki, sprawdzić, czy najlepsze ubranie jest czyste, i pożyczyć od przyjaciół duże sumy pieniędzy.

Windle Poons miał już sto trzydzieści lat. Przyszło mu do głowy, że przez większą część życia był starym człowiekiem. Nie wydawało się to sprawiedliwe.

Nikt z nim o tym nie rozmawiał. W zeszłym tygodniu w sali klubowej wspominał o tej sprawie, ale nikt nie zrozumiał aluzji. A dzisiaj przy obiedzie prawie się do niego nie odzywali. Nawet starzy tak zwani przyjaciele chyba starali się go unikać, a przecież nawet nie próbował pożyczać od nich pieniędzy.

To tak jakby wszyscy zapomnieli o jego urodzinach. Tylko gorzej.

Teraz miał umrzeć samotny i nikogo to nie obchodziło.

Pchnął drzwi przednim kółkiem wózka i na stoliku przy wejściu zaczął szukać pudełka z hubką.

To kolejna sprawa. W tych dniach mało kto używał hubki. Kupowali od alchemików wielkie, cuchnące żółte zapalki. Windle tego nie aprobował. Ogień jest ważny. Człowiek nie powinien zapalać go ot tak - okazywał tym brak szacunku. Tacy są teraz ludzie: wiecznie się gdzieś spieszą. I ogień też. No właśnie, za dawnych lat był chyba o wiele cieplejszy. Takie ognie, jakie teraz rozpalają, nie potrafią człowieka rozgrzać, chyba że prawie usiądzie na palenisku. To musi być coś z drewnem... tak, drewno jest niewłaściwe. Zresztą wszystko ostatnio jest niewłaściwe. Jakieś takie rozrzedzone... i rozmazane. W niczym nie ma prawdziwego życia. I dni są krótsze. Mmm... Coś niedobrego stało się z dniami. Są teraz takie krótkie. Mmm... Każdy dzień ciągnie się całe wieki, co jest dziwne, ponieważ dni - w liczbie mnogiej - mijają w pędzie. Ludzie niewiele już chcieli od stutrydziestoletniego maga, a Windle Poons nabrał zwyczaju zjawiania się przy stole na dwie godziny przed posiłkiem, żeby jakoś zabić czas.

Nieskończone dni, przemijające szybko. To przecież nie ma sensu. Mmm... Zresztą sens teraz też nie bywa już taki, jak za dawnych czasów.

I jeszcze pozwalają, żeby Uniwersytetem kierowali chłopcy. Za dawnych czasów rządzili tu magowie jak należy, wielcy i zbudowani jak barki - to byli magowie, do których czuło się szacunek. A potem nagle wszyscy gdzieś zniknęli i do Windle'a zaczęli odzywać się protekcyjnym tonem ci chłopczkowie, z których kilku miało jeszcze własne zęby. Choćby ten młodzik Ridcully... Windle pamiętał go doskonale: chudy, ze sterczącymi uszami, nigdy porządnie nie wycierał nosa, a pierwszej nocy w internacie płakał za matką. Zawsze mu psoty w głowie. Ktoś próbował Windle'owi ostatnio tłumaczyć, że Ridcully jest teraz nadrektorem. Mmm... Chyba mają go za durnia.

Gdzie ta przekłeta hubka? Palce... Za dawnych lat miewało się palce jak należy...

Ktoś ściągnął zasłonę z lampy. Ktoś inny wcisnął Poonsowi do ręki drinka.

- Niespodzianka!

W korytarzu domu Śmierci stoi zegar z wahadłem podobnym do ostrza, ale bez wskazówek, ponieważ w domu Śmierci nie ma czasu. Istnieje tylko "teraz". (Oczywiście, było też teraz przed obecnym teraz, ale to również teraz. Tyle że starsze). Wahadło ma ostrze, na widok którego Edgar Allan Poe rzuciłby wszystko i rozpoczął karierę jako komik w barze z owocami morza. Kołysze się z cichym dudnieniem, delikatnie odcinając plasterki interwałów od szynki wieczności.

Śmierć przeszedł obok zegara i zanurzył się w posępny półmrok swojej pracowni. Albert, jego sługa, czekał już z ręcznikiem i ściereczkami.

- Dzień dobry, panie.

Śmierć bez słowa usiadł w fotelu. Albert zarzucił mu ręcznik na kanciaste ramiona.

- Kolejny piękny dzionek - zaczął swobodnie. Śmierć milczał.

Albert strzepnął ściereczkę do polerowania i zsunął Śmierci kaptur.

ALBERCIE.

- Słucham.

Śmierć wyjął małą złotą klepsydrę.

WIDZISZ TO?

- Tak, proszę pana. Bardzo ładna. Jeszcze takiej nie widziałem.

Czyja to?

MOJA.

Albert zerknął w bok. Na rogu blatu stała duża klepsydra w czarnej ramie. W środku nie było piasku.

- Myślałem, że tamta jest pańska - powiedział.

BYŁA. A TERAZ MAM TĘ. TO PREZENT POŻEGNALNY. OD SAMEGO AZRAELA.

Albert przyjrzał się klepsydrze w dłoni Śmierci.

- Ale... ten piasek, proszę pana. On się przesypuje.

W SAMEJ RZECZY.

- Ale to znaczy... Chciałem powiedzieć...

TO ZNACZY, ALBERCIE, ŻE PEWNEGO DNIA PRZESYPIE SIĘ CAŁY.

- Wiem, proszę pana, ale... ale pan... Myślałem, że Czas to coś, co zdarza się innym. Tak jest, prawda? Nie panu. Pod koniec głós Alberta przybrał błagalny ton. Śmierć ściągnął ręcznik i wstał.

CHODŹ ZE MNĄ.

- Przecież jesteś Śmiercią, panie... - mamrotał Albert, biegnąc za nim nerwowo.

Przeszli korytarz, minęli ogród i weszli do stajni.

- Czy to może jakiś żart? - dodał z nadzieją.

RACZEJ NIE JESTEM ZNANY Z POCZUCIA HUMORU.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałem pana urazić. Ale przecież nie może pan umrzeć, bo jest pan Śmiercią, musiałby pan sam się sobie przydarzyć, to by było jak z tym węzem, który pożera własny ogon...

MIMO TO BĘDĘ MUSIAŁ UMRZEĆ. NIE MA ODWOŁANIA.

- Ale co będzie ze mną? - spytał Albert. Groza zamigotała mu w oczach niby płatki metalu na ostrzu noża.

POJAWI SIĘ NOWY ŚMIERĆ.

Albert wyprostował się.

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żebym potrafił służyć innemu panu - oznajmił.

W TAKIM RAZIE WRACAJ DO ŚWIATA. DAM CI PIENIĄDZE. BYŁEŚ DOBRYM SŁUGĄ, ALBERCIE.

- Ale jeśli wrócę...

TAK, przyznał Śmierć. UMRZESZ.

W ciepłym mroku stajni biały rumak Śmierci uniósł łeb znad owsa i

zarżał krótko na powitanie. Miał na imię Pimpuś i był prawdziwym koniem. Śmierć zrezygnował z ognistych wierzchowców i końskich szkieletów, bo stwierdził, że są niepraktyczne. Zwłaszcza te ogniste. Stale podpalały własną podściółkę, a potem stały w środku pożaru z zakłopotaną miną.

Śmierć zdjął z haka siodło i zerknął na Alberta, który wyraźnie przeżywał kryzys sumienia.

Tysiące lat temu Albert zdecydował się raczej służyć Śmierci niż umrzeć. Nie był tak naprawdę nieśmiertelny. W dziedzinie Śmierci prawdziwy czas jest zakazany. Istnieje tylko wiecznie się zmieniające "teraz", ale trwa ono bardzo długo. Albertowi pozostały niecałe dwa miesiące życia; pilnował tych dni, jakby to były sztaby złota.

- Ja, tego... - zaczął. - Znaczy...

BOISZ SIĘ UMRZEĆ?

- Nie to, że nie chcę... Właściwie to zawsze... Ale życie to nałóg, z którym bardzo trudno zerwać...

Śmierć przyglądał mu się z uwagą, tak jak można się przyglądać żukowi, który wylądował na grzbiecie i nie może się odwrócić.

Albert milczał.

ROZUMIEM, rzekł Śmierć i zdjął z gwoźdźcia uprzęż Pimpusia.

- Ale nie wydajesz się zmartwiony, panie! Czy naprawdę zamierzasz umrzeć?

TAK TO BĘDZIE WSPANIAŁA PRZYGODA.

- Będzie? Nie boisz się?

NIE UMIEM SIĘ BAĆ.

- Jeśli chcesz, mogę ci pokazać - zaproponował Albert.

NIE. CHCIAŁBYM SAM SIĘ NAUCZYĆ. BĘDĘ MIAŁ DOŚWIADCZENIA. NARESZCIE.

- Panie... Jeśli odejdiesz, czy będzie...

NOWY ŚMIERĆ ZRODZI SIĘ Z UMYŚŁÓW ŻYJĄCYCH.

- Aha. - Albert odetchnął z ulgą. - A nie wiesz przypadkiem, jak będzie wyglądał?

NIE.

- Może lepiej... no wiesz, panie... Trochę posprzątam w domu, przygotuję spis inwentarza... takie rzeczy?

DOBRY POMYSŁ, zgodził się Śmierć możliwie łagodnym tonem. KIEDY ZOBACZĘ NOWEGO ŚMIERĆ, SZCZERZE CIĘ ZAREKOMENDUJĘ.

- Aha... Więc go zobaczysz, panie?

OCH, OCZYWIŚCIE. A TERAZ MUSZĘ JUŻ JECHAĆ.

- Jak to? Tak szybko?

NATURALNIE. NIE CHCĘ MARNOWAĆ CZASU! Śmierć poprawił siodło, po czym odwrócił się i z dumą podsunął Albertowi pod nos małą klepsydrę.

POPATRZ! MAM CZAS! NARESZCIE MAM CZAS!

Albert cofnął się nerwowo.

- A teraz, kiedy już go pan ma, co pan z nim zrobi? - zapytał. Śmierć dosiadł konia.

ZAMIERZAM GO SPĘDZIĆ.

Impreza trwała w najlepsze. Transparent z napisem "Żegnaj, Windle, po 130 Wspaniałych Latach" obwisł trochę od gorąca. Sytuacja osiągnęła ten stan, kiedy niczego już nie ma do picia oprócz ponczu i niczego do jedzenia oprócz dziwnego żółtego sosu i mocno podejrzanym tortilli, ale nikomu to nie przeszkadza. Magowie plotkowali ze sobą z wymuszoną wesołością ludzi, którzy widzieli się nawzajem przez cały dzień, a teraz widzą się nawzajem przez cały wieczór.

A pośród całego zamieszania siedział Windle Poons z wielką szklanicą rumu i w śmiesznym kapelusiku na głowie. W oczach miał łzy wzruszenia.

- Prawdziwe Przyjęcie Pożegnalne - mrucał do siebie. - Nie urządzaliśmy takich od czasu, kiedy Odszedł stary "Drapacz" Dziętopur. - Wielkie litery bez wysiłku wskakiwały na miejsca. - To było, mmm, w Roku Przeróżającego, mmm, Morświna. Myślałem, że wszyscy już o nich zapomnieli.

- Bibliotekarz sprawdził dla nas szczegóły - wyjaśnił kwestor, wskazując dużego orangutana, który usiłował dmuchać w piszczałkę. - Przygotował też sos bananowy. Mam nadzieję, że ktoś zje go szybko.

Pochylił się.

- Nałożyć ci jeszcze trochę sałatki ziemniaczanej? - zaproponował donośnie i wyraźnie głosem, jakiego używa się zwykle do rozmów z imbecylami i ludźmi starymi.

Windle przysunął dłoń do ucha.

- Co? Co?

- Jeszcze! Sałatki! Windle?

- Nie, dziękuję.

- To może kielbasę?

- Co?

- Kielbaska!

- Wczoraj dostałem po nich straszego wzdęcia - odparł Windle. Zastanowił się przez chwilę i nałożył sobie pięć.

- Ehm... - krzyknął kwestor. - Nie wiesz przypadkiem, o której...?

- Co?

- O! Której?

- Wpół do dziesiątej - poinformował natychmiast Windle, odrobinę niewyraźnie.

- To miło - ucieszył się kwestor. - Dzięki temu reszta wieczoru jest, tego, wolna.

Windle pogrzebał w mrocznych zakątkach swojego wózka inwalidzkiego, cmentarza starych poduszek, książek z pomiętymi stronicami i starożytnych, na wpół wyspanych słodczy. Wyjął nieduży notes w zielonych okładkach i wręczył go kwestorowi.

Kwestor przyjrzał się. Na okładce wypisano słowa: "Windle Poons - Yego Dziennik". Plasterek bekonu służył za zakładkę kartki z dzisiejszą datą.

Pod Sprawami do Załatwienia drżąca ręka wpisała: Umrzeć.

Kwestor nie mógł się powstrzymać. Odwrócił stronę.

Tak. Pod jutrzejszą datą zapisano: Urodzić się.

Mimo woli spojrział w bok, w stronę niedużego stolika pod ścianą. Mimo że sala była zatłoczona, wokół stolika pozostał obszar pustej podłogi, jakby czyjaś osobista przestrzeń, której nikt nie chciał naruszać.

W opisie ceremonii pożegnalnych umieszczono specjalne instrukcje dotyczące tego stolika. Musiał mieć czarny obrus z wyhaftowanymi kilkoma symbolami magicznymi. Na obrusie stała taca z najlepszymi kanapkami; obok kieliszek wina. Po dłuższej dyskusji magowie postanowili też dołożyć

śmieszny papierowy kapelusik. Wszyscy zerkali tam wyczekująco.

Kwestor wyjął zegarek i pstryknięciem otworzył pokrywkę.

Był to jeden z tych nowomodnych zegarków ze wskazówkami. Wskazywał kwadrans po dziewiątej. Kwestor potrząsnął nim. Pod 12 otworzyła się mała klapka i demon wystawił głowę.

- Daj spokój, szefuniu - powiedział. - Pedaluję jak mogę najszybciej.

Kwestor zamknął pokrywkę i rozejrzał się niepewnie. Nikt jakoś nie miał ochoty podchodzić zbyt blisko Windle'a Poonsa. Kwestor uznał, że na nim spoczywa obowiązek prowadzenia uprzejmej rozmowy. Rozważył możliwe tematy - wszystkie wróżyły problemy.

Pomógł mu sam Windle Poons.

- Rozważam powrót na ten świat jako kobieta - oświadczył ze swobodą.

Kwestor kilka razy otworzył i zamknął usta.

- Nie mogę się już doczekać - ciągnął Windle. - Myślę, że może to być, mmm, świetna zabawa.

Kwestor rozpaczliwie przeszukiwał swój skromny repertuar inteligentnych uwag dotyczących kobiet. Pochylił się do pomarszczonego ucha Windle 'a.

- Czy nie wiąże się to... - Zastanowił się. - Ze zmywaniem? I słaniem łóżek, kuchnią i takimi rzeczami?

- Nie w takim, mmm, życiu, jakie mam na myśli - odparł stanowczo Windle.

Kwestor zamknął usta. Nadrektor zastukał łyżką o stół.

- Bracia - zaczął, kiedy zapadło coś zbliżonego do ciszy. Wywołał głośny i nierówny chór entuzjastycznych okrzyków.

- Jak wszyscy wiemy, zebraliśmy się tu dzisiaj, by uczcić, hm, zakończenie kariery zawodowej... Nerwowe śmiechy...

- ...naszego drogiego przyjaciela i kolegi Windle'a Poonsa. Kiedy patrzę, jak siedzi tu wśród nas, przypominam sobie szczęśliwie historyjkę o krowie z trzema drewnianymi nogami. Jak się zdaje, żyła sobie kiedyś taka krowa i...

Kwestor zamyślił się. Znał już tę historyjkę. Nadrektor zawsze psuł pointę, zresztą kwestor miał inne sprawy na głowie.

Cały czas zerkał na mały stolik.

Kwestor był człowiekiem życzliwym, choć nieco nerwowym. Lubił swoją pracę. Pomijając wszystko inne, nikt z magów nie chciał zająć jego miejsca. Wielu pragnęło zostać nadrektorem, na przykład, albo mistrzem jednego z ośmiu obrządków magicznych, ale nikt nie marzył o spędzaniu długich godzin w gabinecie, przekładaniu papierów i dodawaniu kolumn liczb. Wszystkie dokumenty uniwersytetu zwykle trafiały na biurko kwestora, co oznaczało, że często kładł się do łóżka zmęczony, ale przynajmniej spał spokojnie i nie musiał pilnie sprawdzać, czy w nocnej koszuli nie ma jakichś nieproszonych skorpionów.

Zabicie maga wyższego stopniem uznawano za metodę awansu. Ale jedynymi ludźmi, którzy mogliby planować zabicie kwestora, byli ci, którzy czerpią spokojną rozkosz z równych rzędków liczb - a tacy zwykle nie posuwają się do morderstwa[2].

Pamiętał swoje dzieciństwo, dawno temu w górach Ramtopów. Zawsze w Noc Strzeżenia Wiedźm zostawiali z siostrą szklaneczkę wina i ciastko dla Wiedźmikołaja. Wtedy wszystko było inne. On miał mniej lat, niewiele wiedział i prawdopodobnie był szczęśliwszy.

Nie wiedział na przykład, że pewnego dnia zostanie magiem i wspólnie z innymi magami będzie stawiał szklanę wina, ciasto, dość podejrzanę paszteciki z kurczakiem i papierowy, kotylionowy kapelusik dla...

...dla kogoś innego.

Kiedy był mały, też urządzali przyjęcia Strzeżenia Wiedźm. Zawsze odbywały się według pewnego schematu: gdy wszystkie dzieci były już prawie nieprzytomne z podniecenia, ktoś z dorosłych wołał wesoło: "Będziemy chyba mieli wyjątkowego gościa!". I jakby na dany znak, za oknem rozbrzmiewało podejrzane dzwonienie i wchodził...

...wchodził...

Kwestor potrząsnął głową. Wchodził czyjś dziadek z przyprawioną brodą, oczywiście. Jakiś dziarski staruszek z worem zabawek, otrzepujący śnieg z butów. Ktoś, kto coś dawał.

Ale dzisiaj...

Oczywiście, stary Windle pewnie patrzy na to inaczej. Po stu trzydziestu latach śmierć może człowieka pociągać. Człowiek zaczyna się interesować, co będzie potem.

Splątana anegdota nadrektora z oporami zbliżała się do końca. Zebrani magowie roześmiali się uprzejmie, po czym spróbowali odgadnąć, na czym polegał dowcip.

Kwestor dyskretnie sprawdził godzinę. Było dwadzieścia po dziewiątej.

Windle Poons wygłosił mowę. Była długa, chaotyczna i niezrozumiała, a douczyła dobrych starych czasów. Windle myślał chyba, że większość zebranych wokół niego to ludzie, którzy w rzeczywistości zmarli kilkadziesiąt lat temu, ale nie miało to większego znaczenia. Magowie wyrobili sobie odruch niesłuchania Windle'a Poonsa.

Kwestor nie mógł oderwać wzroku od zegarka. Z wnętrza dobiegał zgrzyt pedałów - to demon cierpliwie pokonywał swą drogę do nieskończoności.

Dwadzieścia pięć po dziewiątej.

Kwestor myślał, jak to się odbędzie. Czy usłyszą - ...Będziemy chyba mieli wyjątkowego gościa! - stuk kopyt na zewnątrz?

Czy drzwi naprawdę się otworzą, czy On przez nie przeniknie? Znany był przecież ze swej umiejętności przedostawania się do zamkniętych szczelnie pomieszczeń... Zwłaszcza do zamkniętych szczelnie pomieszczeń, jeśli się dobrze zastanowić. Wystarczy zamknąć się naprawdę szczelnie, a reszta jest już tylko kwestią czasu.

Kwestor miał nadzieję, że On użyje drzwi w zwykły sposób. Nerwy i tak miał już napięte do granic.

Gwar rozmów cichł powoli. Coraz więcej magów, jak zauważył kwestor, spoglądało na drzwi.

Windle znalazł się pośrodku bardzo taktownie rosnącego kręgu. Nikt go właściwie nie unikał, tyle że pozornie losowe ruchy Browna delikatnie odsuwały wszystkich coraz dalej.

Magowie widzą Śmierć. A kiedy mag umiera, Śmierć przybywa osobiście, by odprowadzić go z tego świata. Kwestor nie rozumiał, dlaczego jest to uznawane za zaszczyt...

- Nie wiem, na co się wszyscy tak gapicie - rzekł wesoło Windle. Kwestor otworzył pokrywkę zegarka. Klapka pod dwunastką odskoczyła.

- Może przestaniesz wreszcie tak potrząsać? - pisnął demon. - Tracę rachubę.

- Przepraszam - syknął kwestor. Była dziewiąta dwadzieścia dziewięć.

Nadrektor wystąpił przed zebranych.

- No to żegnaj, Windle - powiedział, potrząsając pergaminową dłonią starca. - Bez ciebie to miejsce nie będzie już takie samo.

- Nie wiem, jak sobie poradzimy - dodał z wdzięcznością kwestor.

- Powodzenia w następnym życiu - dodał dziekan. - Zajrzyj kiedyś, jeśli będziesz w pobliżu i... tego, no wiesz, będziesz pamiętał, kim byłeś.

- Nie zapominaj o nas - wtrącił jeszcze nadrektor. Windle Poons

przyjaźnie kiwnął głową. Nie słyszał, co do niego mówią. Kiwał głową dla zasady.

Magowie jak jeden mąż odwrócili się w stronę drzwi. Klapka pod dwunastką odskoczyła znowu.

- Bim bim bom bim - powiedział demon. - Bimbo-bimbo bom bim bim.

- Co? - Kwestor drgnął wystraszony.

- Wpół do dziesiątej - wyjaśnił demon.

Magowie z lekkim wyrzutem spojrzeli na Windle'a Poonsa.

- Na co się gapicie? - zapytał.

Sekundowa wskazówka przesuwiała się, piszcząc.

- Jak się czujesz? - zapytał głośno dziekan.

- Jak nigdy - odparł Windle Poons. - Zostało jeszcze trochę tego, mmm, rumu?

Magowie przyglądali się w milczeniu, jak nalewa sobie do kubka solidną porcję.

- Nie przesadzaj z tym - poradził zdenerwowany dziekan.

- Na zdrowie! - zawołał Windle Poons. Nadrektor zabębnił palcami o blat.

- Panie Poons - rzekł. - Czy jest pan całkiem pewien?

- Macie jeszcze te torturille? Nie żebym uznawał je za uczciwe jedzenie - dodał. - Zanurzać kawałki czegoś twardego w mazi... Co w tym takiego ciekawego? Najchętniej załatwiłbym teraz jeden z tych słynnych pasztecików Dibblera...

I wtedy umarł.

Nadrektor obejrzał się na magów, podszedł na palcach do wózka, ujął przetykaną niebieskimi żyłkami dłoń starca i sprawdził puls. Pokręcił głową.

- Tak właśnie chciałbym odejść - szepnął dziekan.

- Znaczy jak? Mamrocząc o pasztecikach? - zdziwił się kwestor.

- Nie. Spóźniony.

- Zaraz. Chwileczkę - odezwał się nadrektor. - Przecież to nie w porządku. Zgodnie z tradycją sam Śmierć się zjawia, kiedy umiera mag...

- Może był zajęty - podpowiedział szybko kwestor.

- Zgadza się - przyznał dziekan. - Słyszałem, że w okolicach Quirmu wybuchła poważna epidemia grypy.

- Zeszłej nocy był niezły sztorm - przypomniał wykładowca run współczesnych. - Pewnie sporo statków poszło na dno.

- I oczywiście jest wiosna, w górach ciągle schodzą lawiny.

- I zarazy...

Nadrektor w zadumie pogładził brodę.

- Hmm... - mruknął.

Jako jedyne spośród wszystkich stworzeń na świecie, trolle wierzą, że istoty żywe poruszają się w czasie do tyłu. Jeśli przeszłość jest widoczna, a przyszłość ukryta, tłumaczą, to znaczy, że musimy stać tyłem do przodu. Wszystko, co żyje, porusza się tyłem. To bardzo interesująca idea, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że wymyśliła ją rasa, która większość czasu spędza na waleniu się nawzajem kamieniami po głowach.

Którakolwiek strona byłaby prawidłowa, Czas jest czymś, co żywe

istoty posiadają.

Śmierć galopował w dół przez gęste czarne chmury. Teraz on także miał Czas. Czas swego życia.

Windle Poons wyteńczył wzrok w ciemności.

- Hej tam! - zawołał. - Halo... Jest tam kto? Ktoś mnie słyszy?

Odpowiedział mu daleki świst, jakby wiatru na końcu tunelu. - Pokaż się, pokaż, gdziekolwiek jesteś! - zawołał Windle z obłądną radością w głosie. - Nie martw się. Szczerze mówiąc, nie mogę się już doczekać.

Klasnął duchowymi dłońmi i zatarł je z wymuszonym entuzjazmem.

- Pora ruszać. Na niektórych z nas czeka nowe życie.

Ciemność pozostała nieruchoma. Nie pojawił się żaden kształt, nie zabrzmiał żaden głos. Była pusta, bez formy. Duch Windle'a Poonsa poruszał się wśród czerni.

Potrząsnął głową.

- Niech to lichy porwie - mruknął pod nosem. - Coś tu się nie zgadza.

Pokręcił się jeszcze trochę, a potem, ponieważ nic lepszego nie przyszło mu do głowy, ruszył w stronę jedyne go domu, jaki znał.

Był to dom, który zajmował od stu trzydziestu lat. Dom, który teraz nie spodziewał się jego powrotu i stawiał opór. Duch musi być albo bardzo potężny, albo wyjątkowo zdeterminowany, by taki opór pokonać, ale Windle Poons był przecież magiem od ponad stu lat. Poza tym przypominało to trochę włamanie do własnego mieszkania, gdzie mieszkało się przez długi czas. Człowiek wiedział, gdzie jest to metaforyczne, niedomykające się okno.

Krótko mówiąc, Windle Poons wrócił do Windle'a Poonsa.

Magowie nie wierzą w bogów w taki sam sposób, w jaki większość ludzi nie uważa za konieczną wiary - powiedzmy - w stoły. Wiedzą, że stoły istnieją, wiedzą, że istnieją w pewnym celu, prawdopodobnie zgodziliby się nawet, że mają swoje miejsce w dobrze zorganizowanym wszechświecie. Ale nie widzą sensu wiary, sensu powtarzania "O wielki stole, bez którego jesteśmy niczym". W każdym razie albo bogowie istnieją niezależnie od tego, czy się w nich wierzy, czy nie, albo istnieją jedynie jako funkcja wiary. Tak czy tak, można zignorować całą sprawę i w szczególności nie jadać na kolanach.

Mimo to tuż obok Głównego Holu na Niewidocznym Uniwersytecie wybudowano niedużą kaplicę. Wprawdzie magowie całkowicie popierają nakreśloną powyżej filozofię, to jednak nie można odnosić sukcesów jako mag, jeśli nadeptuje się bogom na odciski, nawet jeśli owe odciski istnieją wyłącznie w sensie eterycznym lub metaforycznym. Bo chociaż magowie nie wierzą w bogów, to z całą pewnością wiedzą, że bogowie wierzą w bogów.

W owej kaplicy właśnie leżało ciało Windle'a Poonsa. Uniwersytet wymagał, by ciało leżało tu przez dwadzieścia cztery godziny -od czasu krępującego wypadku sprzed trzydziestu lat i dotyczącego zmarłego Prissala "Figlarza" Teatara.

Ciało Windle'a Poonsa otworzyło oczy. Dwie monety brzęknęły o kamienną podłogę.

Skrzyżowane na piersi ręce wyprostowały się.

Windle podniósł głowę. Jakiś idiota położył mu na brzuchu lilię.

Spojrzał na boki. Przy obu jego skroniach stały świece.

Podniósł głowę jeszcze trochę.

Przy stopach też miał świece.

Dzięki losowi za starego Teatara, pomyślał. Gdyby nie on, oglądałbym teraz wewnętrzną stronę taniego sosnowego wieka.

Zabawne, pomyślał jeszcze. Ja myślę. Wyraźnie.

O rany!

Znowu położył się na wznak. Czuł, że duch wypełnia jego ciało niczym lśniący roztopiony metal wlewany do formy. Rozpalone do białości myśli płonęły w ciemnościach mózgu, popędzały leniwe neurony do działania.

Kiedy żyłem, było całkiem inaczej.

Ale przecież nie umarłem.

Nie jestem ani żywy, ani martwy.

Tak jakby nieżyjący.

Albo nieumarły.

Ojoj...

Poderwał się. Mięśnie, które od siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat nie funkcjonowały jak należy, szarpnęły zbyt mocno. Po raz pierwszy w życiu... nie, poprawił się, lepiej powiedzieć "w okresie egzystencji"... ciało Windle'a Poonsa znalazło się pod całkowitą kontrolą Windle'a Poonsa. A duch Windle'a Poonsa nie miał zamiaru słuchać narzekań jakiegoś worka mięśni.

Teraz ciało stanęło na nogach. Stawy kolanowe opierały się przez chwilę, ale nie bardziej potrafiły wytrzymać atak woli, niż chory moskit mógłby wytrzymać płomień lampy lutowniczej.

Drzwi kaplicy były zamknięte. Windle jednak odkrył, że najlżejszy nacisk wystarcza, by wyrwać zamek z drewna i zostawić odciski palców na metalu klamki.

- A niech mnie... - powiedział.

Wyprowadził siebie na korytarz. Odległy brzęk sztućców i gwar głosów sugerował, że trwa jeden z czterech codziennych uniwersyteckich posiłków.

Zastanowił się, czy wolno jeść komuś, kto jest martwy. Chyba nie, uznał.

A zresztą czy potrafiłby jeść? Nie o to chodzi, że nie był głodny. Po prostu... No cóż, wiedział, jak myśleć, a chodzenie i inne ruchy polegały tylko na kurczeniu dość oczywistych mięśni. Ale jak właściwie działał żołądek?

Windle zaczął sobie uświadamiać, że ludzkie ciało nie jest kierowane przez mózg, niezależnie od opinii mózgu w tej sprawie. Funkcjonuje dzięki dziesiątkom automatycznych systemów, które działają brzęcząc i tykając z precyzją, jakiej się nie zauważa, dopóki coś się nie zepsuje.

Przyjrzał się sobie ze sterowni czaszki. Popatrzył na bezgłośną chemiczną fabrykę wątroby z takim uczuciem, jakiego doświadcza budowniczy kajaków, kiedy ogląda urządzenia sterownicze skomputeryzowanego supertankowca. Tajemnice nerek oczekiwały, aż Windle nad nimi zapanuje. A jeśli już o tym mowa, to czym właściwie jest śledziona? Jak zmusić ją do pracy?

Serce w nim zamarło...

A właściwie nie zamarło.

- O bogowie - mruknął Windle i oparł się o ścianę. Jak ono działa? Sprawdził kilka nerwów, które wydały mu się odpowiednie. Jak to szło... skurcz... rozkurcz... skurcz... rozkurcz...

A były jeszcze płuca...

Jak cyrkowiec utrzymujący równocześnie osiemnaście talerzy... Jak człowiek usiłujący zaprogramować magnetowid na podstawie instrukcji tłumaczonej z japońskiego na holenderski przez koreańskiego zbieracza ryżu... A właściwie jak człowiek, który właśnie odkrywa, na czym polega

całkowita samokontrola, Windle Poons ruszył niepewnie przed siebie.

Magowie Niewidocznego Uniwersytetu bardzo cenią solidne, obfite posiłki. Nie można oczekiwać, jak twierdzili, żeby człowiek zajmował się jakimiś poważniejszymi czarami bez zupy, ryb, dziczyzny, kilku dużych półmisków zimnego mięsa, jednego czy dwóch ciast, czegoś dużego i drżącego z bitą śmietaną na czubku, niewielkich pikantnych rzeczy na grzance, owoców, bakalii i miętowych czekoladek grubych jak cegły. To daje odpowiednią wyściółkę żołądka. Jest także bardzo istotne, by posiłki podawano o regularnych porach. To nadaje dniom właściwy kształt, jak mawiali.

Z wyjątkiem kwestora, naturalnie. Kwestor nie jadał dużo, ale żył nerwami. Był przekonany, że jest anorektykiem, ponieważ za każdym razem, kiedy patrzył w lustro, widział tam grubego człowieka. Był to nadrektor, który stał z tyłu i krzyczał na niego.

Nieszczęśliwy los zrządził, że właśnie kwestor siedział naprzeciw drzwi, kiedy Windle Poons je wyważył, ponieważ uznał to za łatwiejsze od grzebania przy kłamce.

Kwestor przegryzł drewnianą łyżkę.

Magowie odwrócili się na ławach, by popatrzeć.

Windle Poons kołysał się przez chwilę, opanowując swoje struny głosowe, wargi i język. Po czym oznajmił:

- Myślę, że potrafię metabolizować alkohol. Nadrektor pierwszy odzyskał mowę.

- Windle! - zawołał. - Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Sam musiał przyznać, że nie była to najlepsza kwestia. Nie kładzie się człowieka na katafalku, ze świecami i liliami dookoła, gdy się uważa, że

biedaka trochę boli głowa i powinien zdrzemnąć się przez pół godzinki.

Windle postąpił kilka kroków. Najbliżsi magowie przewracali się niemal, usiłując zejść mu z drogi.

- Bo jestem martwy, ty młody durniu - wymamrotał. - Myślisz, że cały czas tak wyglądałem? Też mi coś. - Spojrzał niechętnie na zebranych magów.
- Czy ktoś tu wie, co właściwie robi śledziona?

Dotarł do stołu i udało mu się usiąść.

- Pewnie ma jakiś związek z trawieniem - stwierdził. - Zabawne... Można przeżyć całe życie z tym paskudztwem tykającym spokojnie, czy co ono tam robi, bulgocze albo co, i człowiek nie ma pojęcia, do czego ono tak naprawdę służy. To tak jak wtedy, kiedy leży się w łóżku nocą i nagle słyszy, że własny żołądek albo coś innego robi "priipp-ipp-ginrmg". Dla nas to tylko burczenie, ale kto wie, jak cudownie złożone reakcje chemiczne zachodzą w rzeczywistości...

- Jesteś nieumarłym? - zapytał kwestor, który w końcu odzyskał głos.

- Nie prosiłem o to - odparł zirytowany Windle Poons. Przyglądał się jedzeniu i myślał, jak, u demona, przerobić je na Windle'a Poonsa. - Wróciłem tutaj tylko dlatego, że nie miałem dokąd pójść. Myślicie, że to taka przyjemność?

- Ale przecież - odezwał się nadrektor - na pewno... no, znasz faceta, taki z czaszką i z kosą...

- W ogóle go nie widziałem - wyjaśnił krótko Windle, badając najbliższe półmiski. - Takie nieumieranie może naprawdę człowieka zmęczyć...

Magowie dawali sobie gorączkowe znaki nad jego głową. Rozejrzał się groźnie.

- Niech wam się nie wydaje, że nie widzę tych wszystkich gorączkowych znaków - powiedział.

I ze zdumieniem uświadomił sobie, że to prawda. Oczy, które przez ostatnie sześćdziesiąt lat spoglądały przez bladą mętną zasłonę, teraz zostały zmuszone do działania jak precyzyjna maszyna optyczna.

Umysły magów Niewidocznego Uniwersytetu opanowały dwa główne tory myśli.

Większość magów myślała tak: To straszne! Czy naprawdę to stary Windle tam siedzi? Był takim sympatycznym marudą, jak możemy się go teraz pozbyć? No, jak możemy się go pozbyć?

Natomiast Windle Poons, w szumiącej, błyskającej kabinie mózgu, myślał: A więc to prawda. Istnieje życie po śmierci. I jest takie samo. Ja to mam pecha.

- I co? - zapytał głośno. - Co macie zamiar teraz zrobić?

Minęło pięć minut. Pół tuzina najważniejszych magów biegło wietrznym korytarzem śladami nadrektora, którego szata powiewała w przeciągu. Rozmowa toczyła się mniej więcej tak:

- To coś to musi być Windle! To coś nawet mówi tak jak on!

- To nie jest stary Windle! Stary Windle był o wiele starszy!

- Starszy? Starszy niż martwy?

- Powiedział, że wprowadza się do swojej dawnej sypialni, ale nie rozumiem, dlaczego ja mam się wyprowadzać...

- Widziałeś jego oczy? Jak świdy...

- Niby jak? Takie jak ma ten krasnolud, który prowadzi delikatesy przy Kablowej?

- Chciałem powiedzieć, że cię przewiercają na wylot.

- ...jest stamtąd piękny widok na ogrody, a zresztą przeniosłem już wszystkie swoje rzeczy i to niesprawiedliwie...

- Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło?

- Był stary Teatar...

- Ale on naprawdę nie umarł. On tylko czasem malował sobie twarz zieloną farbą, odsuwał wieko trumny i krzyczał "Niespodzianka!"...

- Nigdy nie mieliśmy tu zombie.

- A on jest zombie?

- Myślę, że tak.

- To znaczy, że przez całe noce będzie grał na bębnach i tańczył te dziwaczne tańce?

- A oni robią takie rzeczy?

- Stary Windle? To chyba nie w jego stylu. Za życia nigdy nie lubił tańców.

- Wszystko jedno. Nie można ufać bogom voodoo. Nie ufaj bogu, który cały czas się uśmiecha i nosi cylinder, oto moje motto.

- ...i niech mnie demony porwą, jeśli oddam sypialnię jakiemuś zombie, skoro czekałem na nią tyle lat...

- Naprawdę? Zabawne motto.

Windle Poons znowu spacerował w kółko po wnętrzu swej głowy.

To dziwne. Teraz, kiedy był martwy, a w każdym razie już nie żył, czy jak to tam można określić, myśli miał o wiele jaśniejsze niż kiedykolwiek

dotąd.

Sterowanie też przychodziło mu coraz łatwiej. Już prawie nie musiał się przejmować całym tym oddychaniem, śledzona chyba jakoś pracowała, zmysły działały z pełną szybkością. Tylko system trawienny pozostał tajemnicą.

Przyjrzał się swemu odbiciu w srebrnym półmisku.

Nadal wyglądał na trupa. Błada twarz, podkrążone oczy... Martwe ciało. Funkcjonuje, ale mimo to jest zasadniczo martwe. Czy to uczciwe? Czy to ma być sprawiedliwość? Czy taka jest nagroda dla wiernego wyznawcy reinkarnacji, i to od prawie stu trzydziestu lat? Powrót na świat jako zwłoki?

Nic dziwnego, że nieumarli tradycyjnie uważani są za bardzo rozgniewanych.

Miało się właśnie wydarzyć coś cudownego - jeśli spojrzeć na to z dystansu.

Jeśli jednak dystans ten będzie mały lub średni, miało się wydarzyć coś okropnego.

To jak różnica między zobaczeniem na niebie pięknej nowej gwiazdy a znalezieniem się blisko supernowej. To różnica między pięknem porannej rosy na pajęczynie a byciem muchą.

Było to coś, co normalnie nie wydarzyłoby się przez tysiące lat.

I miało się wydarzyć właśnie teraz.

Miało się wydarzyć w głębi starego kredensu w zaniedbanej piwnicy na Mrokach, najstarszej i cieszącej się najgorszą reputacją dzielnicy Ankh-Morpork.

Plop!

Był to dźwięk tak cichy, jak cicho pierwsza kropla deszczu spada na stuletnią warstwę kurzu.

- **M**oże udałoby się ściągnąć czarnego kota, żeby przeszedł po jego trumnie.

- Przecież on nie ma trumny! - wrzasnął kwestor, którego kontakt z rzeczywistością zawsze był trochę niepewny.

- No dobrze, więc kupimy mu śliczną nową trumnę, a potem złapiemy czarnego kota, żeby po niej przeszedł.

- Nie, to głupie. Musimy go zmusić, żeby przeszedł po wodzie.

- Co? - zdziwił się dziekan.

- Przejść po wodzie. Nieumarli tego nie potrafią.

Magowie, stłoczeni teraz w gabinecie nadrektora, przemyśleli tę propozycję starannie.

- Jesteś pewien? - upewnił się dziekan.

- To powszechnie znany fakt - odparł spokojnie wykładowca run współczesnych.

- Ale za życia też nie umiał chodzić po wodzie - zauważył z powątpiewaniem dziekan.

- Rzeczywiście. To bez sensu.

- Bieżącej wodzie - uzupełnił nagle wykładowca run współczesnych. - To ma być woda bieżąca. Przepraszam. Nie mogą nad nią przejść.

- Aha...

- Aleja też nie umiem przejść nad bieżącą wodą - oświadczył dziekan.

- Nieumarły! Nieumarły! - zawołał kwestor, który z wolna tracił zmysły.

- Przestań go drażnić - upomniął dziekana wykładowca, klepiąc drżącego kwestora po plecach.

- Naprawdę nie mogę. Bo tonę.

- Nieumarli nie mogą przejść nawet po moście.

- A czy on jest tylko jeden? Czy będziemy mieli całą plagę nieumarłych?

Nadrektor zabębnił palcami w biurko.

- Martwi kręcący się dookoła są bardzo niehigieniczni - stwierdził.

To ich uciszyło. Nikt nie spojrzał na sprawę w ten sposób, ale Mustrum Ridcully był właśnie człowiekiem, który jest do tego zdolny.

Mustrum Ridcully, zależnie od punktu widzenia, był albo najgorszym, albo najlepszym nadrektorem Niewidocznego Uniwersytetu przynajmniej od stu lat.

Przede wszystkim było go zbyt wiele. Nie chodzi o to, że był wyjątkowo duży;

po prostu został obdarzony tego typu osobowością, która wypełnia całą dostępną przestrzeń. Upijał się i wrzeszczał przy kolacji, ale to normalne i przyjęte zachowanie maga. Potem jednak wracał do swojego pokoju i przez całą noc grał w strzałki, po czym wychodził o piątej rano, żeby polować na kaczki.

Krzyczał na ludzi. Usiłował ich rozweselać. I nie ubierał się jak należy. Przekonał panią Whitlow, budzącą strach ochmistrzynię Niewidocznego

Uniwersytetu, by uszyła mu workowate spodnie w jaskrawych barwach błękitu i czerwieni; dwa razy dziennie magowie w osłupieniu patrzyli, jak biega wokół budynków uniwersytetu, w kapeluszu mocno przywiązanym tasiemką. Wołał na nich z entuzjazmem, ponieważ fundamentalną cechą takich ludzi jak Mustrum Ridcully jest żelazna wiara, że wszyscy inni polubiliby to samo, gdyby tylko spróbowali.

- Może umrze od tego - powtarzali sobie z nadzieją, kiedy widzieli, jak próbuje rozbijać skorupę na rzece Ankh, żeby rankiem zanurzyć się w wodzie. - Wszystkie te fizyczne ćwiczenia muszą mu zaszkodzić.

Na uniwersytet docierały przeróżne historie. Nadrektor stoczył dwie rundy walki na gołe pięści z Detrytusem, potężnym trollem do wszystkiego, zatrudnionym Pod Załatany Bębem. Nadrektor dla zakładu siłował się na rękę z bibliotekarzem i chociaż oczywiście nie wygrał, to jednak potem nadal miał tę rękę. Nadrektor chciał, żeby Niewidoczny Uniwersytet powołał własną drużynę piłkarską na wielki miejski turniej w Noc Strzeżenia Wiedźm.

Rozpatrując sprawę pod kątem intelektu, Ridcully utrzymywał się na stanowisku z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy, ale to nigdy nie zmieniał zdania w żadnej sprawie. Po drugie, potrzebował co najmniej paru minut, żeby zrozumieć dowolną nową ideę, jaką ktoś mu tłumaczył. To ważna cecha przywódcy, ponieważ jeśli po dwóch minutach ktoś nadal próbuje coś wyjaśniać, jest to prawdopodobnie ważne; jeśli natomiast rezygnuje po ledwie minucie, z pewnością chodzi mu o coś, czym w ogóle nie powinien nikomu zwracać głowy.

Zdawało się, że Mustruma Ridcully'ego jest więcej, niż może pomieścić jedno ciało.

Plop! Plop!

W ciemnej szafie w piwnicy cała półka była już zapełniona.

Windle'a Poonsa było dokładnie tyle, ile może zmieścić jedno ciało, którym sterował ostrożnie po korytarzu. Nie tego się spodziewałem, myślał. Nie zasłużyłem na coś takiego. Gdzieś musiał nastąpić błąd.

Poczuł na twarzy chłodny podmuch i uświadomił sobie, że wyszedł na dwór. Przed sobą widział zamkniętą bramę Niewidocznego Uniwersytetu.

I nagle doznał ataku ostrej klaustrofobii. Przez lata czekał, by umrzeć, a teraz w końcu umarł i utknął w tym... w tym mauzoleum, z masą głupich staruchów. Tutaj miał spędzić resztę swego życia po śmierci...

No cóż, przede wszystkim musi się wydostać i zadbać o odpowiedni koniec...

- Dobry wieczór, panie Poons.

Odwrócił się bardzo powoli i zobaczył niską sylwetkę Modo, uniwersyteckiego ogrodnika, krasnoluda. Modo siedział w półmroku i palił fajkę.

- To ty... Witaj, Modo.

- Słyszałem, że pan umarł, panie Poons.

- No, niby tak. Rzeczywiście umarłem.

- Widzę, że jakoś pan z tego wyszedł.

Poons kiwnął głową i spojrzał ponuro na mury. Bramę uniwersytetu zawsze zamykano o zmierzchu, zmuszając studentów i pracowników, by przechodzili przez mur. Wątpił, czyby sobie z tym poradził.

Zacisnął i rozprostował palce. A co tam...

- Jest tu może inne wyjście, Modo? - zapytał.

- Nie, panie Poons.

- No to gdzie byśmy chcieli je mieć?

- Słucham, panie Poons?

Rozległ się huk dręczonych cegieł, a w murze pojawił się mniej więcej Poonsokształtny otwór. Ręka Windle'a sięgnęła przez dziurę i podniosła kapelusz.

Modo zapalił zgasłą fajkę. W tej robocie widuje się czasem ciekawe rzeczy, pomyślał.

W zaułku, chwilowo nieoglądanym przez przechodniów, ktoś zwany Regiem Shoe, kto był martwy, rozejrzał się w obie strony. Po czym wyjął z kieszeni pędzel i puszkę z farbą, i wymalował na murze:

UMARŁ TAK! ODSZEDŁ NIE!

I odbiegł, a przynajmniej z wielką szybkością odszedł, powłócząc nogami.

Nadrektor otworzył okno. . - Słuchajcie - powiedział.

Magowie słuchali. Gdzieś szczekał pies. Gdzieś gwizdnął złodziej i odpowiedział mu gwizd z sąsiedniego dachu. Gdzieś dalej jakaś para kłóciła się w sposób, który skłania większość mieszkańców pobliskich ulic, by otworzyli okna i robili notatki. Ale były to tylko bardziej wyraziste motywy na tle bezustannego szumu i gwaru miasta. Ankh-Morpork mruczało w drodze przez noc do świtu, jakby było wielką, żyjącą istotą - choć oczywiście to tylko metafora.

- I co? - odezwał się pierwszy prymus. - Nie słyszę niczego

niezwykłego.

- O to właśnie mi chodzi. Każdego dnia umierają w Ankh-Morpork dziesiątki ludzi. Gdyby wszyscy zaczęli nagle wracać, tak jak biedny Windle, chyba coś byśmy usłyszeli. Wybuchłoby straszne zamieszanie. To znaczy: większe niż zwykle.

- Zawsze kręci się po okolicy paru nieumarłych - przypomniał dziekan.
- Wampiry, zombie, banshee i tak dalej.

- Tak, ale są bardziej naturalnie nieumarli - odparł nadrektor. - Wiedzą, jak się zachowywać. Mają to od urodzenia.

- Nie można się urodzić nieumarłym - zauważył pierwszy prymas[3].

- Chciałem powiedzieć, że to tradycyjne - wyjaśnił nadrektor.

- Tam, gdzie się wychowałem, żyło kilku powszechnie szanowanych wampirów. Byli w swoich rodzinach od wieków.

- Tak, ale wampiry piją krew. Moim zdaniem nie jest to szczególnie godne szacunku.

- Czytałem, że właściwie nie potrzebują prawdziwej krwi -oznajmił dziekan. - Potrzebują czegoś, co jest w tej krwi. Nazywa się to chyba hemogobliny.

Magowie spojrzeli na niego zdziwieni.

Dziekan wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Hemogobliny. Tak czytałem. Ma to jakiś związek z ludźmi, którzy mają we krwi żelazo.

- Mogę panów zapewnić, że ja nie mam we krwi żadnych żelaznych goblinów - oświadczył pierwszy prymas.

- W każdym razie są lepsze od zombie - dodał dziekan. - To ludzie z lepszej klasy. Wampiry nie chodzą i nie szurają stale nogami.

- A wiecie, że ludzi można zmienić w zombie? - poinformował swobodnym tonem wykładowca run współczesnych. - Nie potrzeba nawet czarów. Wystarczy wątroba pewnego rzadkiego gatunku ryby i wywar z odpowiednich ziół. Po jednej łyżce człowiek budzi się jako zombie.

- A jaka to ryba? - zainteresował się pierwszy prymus.

- Skąd mogę wiedzieć?

- W takim razie skąd ktokolwiek może wiedzieć? - zapytał pierwszy prymus złośliwie. - Niby jak? Ktoś budzi się pewnego dnia i mówi: Hej, mam taki pomysł, żeby zmienić człowieka w zombie. Potrzeba mi tylko wątroby rzadkiej ryby i jakiegoś korzenia, a teraz chodzi o to, żeby znaleźć odpowiedni. Widzicie już tę kolejkę przed chatą, co? Numer 94, wątroba czerwonej pasiastej i korzeń maniaka... nie działa. Numer 95, wątroba kolcoryby i korzeń dum-dum... nie działa. Numer 96...

- O czym pan gadasz? - przerwał mu nadrektor.

- Chciałem tylko wykazać nierozstrzygalną sprzeczność...

- Zamknij się pan - rzucił spokojnie nadrektor. - Wydaje mi się... Wydaje mi się... Posłuchajcie, przecież śmierć musi dalej się zdarzać, prawda? Śmierć następuje. O to przecież chodzi w życiu. Jest się żywym, a potem jest się martwym. Nie można tego powstrzymać.

- Ale nie zjawiał się po Windle'a - przypomniał dziekan.

- To dzieje się ciągle. - Ridcully nie zwracał na niego uwagi. - Różne stworzenia przez cały czas umierają. Nawet jarzyny.

- Nie sądzę, żeby Śmierć przyszedł po ziemniaka - mruknął z powątpiewaniem dziekan.

- Śmierć przychodzi po wszystko - odparł stanowczo nadrektor. Magowie w zadumie pokiwali głowami. Po chwili odezwał się pierwszy prymus.

- Wiecie, czytałem wczoraj, że każdy atom w ciele zmienia się co

siedem lat. Nowe się przyłączają, a stare odpadają. Tak się dzieje przez cały czas. Zadziwiające, prawda?

Pierwszy prymus potrafił zrobić z rozmową to, co gęsta melasa z pedałami precyzyjnego zegarka.

- Tak? A co się dzieje ze starymi? - zapytał Ridcully, mimo woli zaintrygowany.

- Nie wiem. Pewnie fruwać w powietrzu, dopóki nie przyczepią się do kogoś innego.

Nadrektor zrobił urażoną minę.

- Niby jak? Magowie też?

- O tak. Wszyscy. To fragment cudu istnienia.

- Doprawdy? Dla mnie brzmi jak brak higieny. Przypuszczam, że nie ma sposobu, żeby to powstrzymać?

- Raczej nie... - Pierwszy prymus zastanowił się. - Chyba nie należy powstrzymywać cudów istnienia.

- Ale to znaczy, że wszystko jest zbudowane ze wszystkiego innego - stwierdził Ridcully.

- Tak. To zadziwiające, prawda?

- Obrzydliwe i tyle - ocenił krótko Ridcully. - W każdym razie chodziło mi o to... chodziło o to... - Urwał, próbując sobie przypomnieć. - Nie można wyeliminować śmierci, o to właśnie chodzi. Śmierć nie może umrzeć. To jakby prosić skorpiona, żeby sam siebie użądlił.

- Jeśli już o tym mowa - wtrącił pierwszy prymus, zawsze mający pod ręką jakieś ciekawostki - można zmusić skorpiona, żeby...

- Zamknij się pan - uciął nadrektor.

- Ale nie możemy dopuścić, żeby po okolicy włóczył się nie-umarły mag! - zawołał dziekan. - Kto wie, co może mu przyjść do głowy i co zrobi. Musimy... musimy go powstrzymać. Dla jego własnego dobra.

- Tak jest - zgodził się Ridcully. - Dla jego własnego dobra. To nie powinno być zbyt trudne. Istnieją chyba dziesiątki sposobów radzenia sobie z nieumarłymi.

- Czosnek - oznajmił krótko pierwszy prymus. - Nieumarli nie lubią czosnku.

- Trudno mieć do nich pretensje - mruknął dziekan. - Sam też go nie znoszę.

- Nieumarły! Nieumarły! - zawołał kwestor, wskazując dziekana palcem.

Zignorowali go.

- Są jeszcze święte obiekty - dodał pierwszy prymus. - Taki typowy nieumarły rozsypuje się na pył, kiedy tylko na nie spojrzy. Poza tym nie lubią dziennego światła. A gdyby już doszło do najgorszego, trzeba ich pochować na rozstajach. To pewne rozwiązanie. I jeszcze wbić w nich osikowy kołek, by się upewnić, że znowu nie wstaną.

- Posmarowany czosnkiem - dodał kwestor.

- No, chyba tak. Pewnie można go posmarować czosnkiem -zgodził się z wahaniem pierwszy prymus.

- Ale po co smarować czosnkiem nowy kołek? - zdziwił się dziekan. - A w ogóle z przypraw najlepsze są zioła i oliwa.

- Albo czerwona papryka - dodał rozmarzonym głosem wykładowca run współczesnych.

- Zamknijcie się - warknął nadrektor.

Plop!

Zawiasy drzwiczek kredensu ustąpiły wreszcie i zawartość wysypała się na podłogę.

Sierżant Colon ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork stał na warcie. Pilnował Mosiężnego Mostu, głównego połączenia pomiędzy Ankh i Morpork. Przed kradzieżą. Jeśli chodziło o zapobieganie przestępstwom, sierżant Colon uważał, że najbezpieczniej jest myśleć w dużej skali.

Istniała szkoła filozoficzna głosząca, że pilny stróż prawa w Ankh-Morpork powinien patrolować ulice i zaułki, przekupywać informatorów, śledzić podejrzanych i prowadzić tym podobne działania.

Sierżant Colon w tej akurat szkole chodził na wagary. Nie dlatego, jak zapewniał, że walka o zmniejszenie poziomu przestępczości w Ankh-Morpork przypominała walkę o zmniejszenie zawartości soli w morzu, a pilny stróż prawa mógł liczyć najwyżej na uznanie wyrażone zdaniem: "Patrzcie, ten trup w rynsztoku, czy to aby nie sierżant Colon?". Nie; przyczyną było przekonanie, że nowoczesny, postępowy, inteligentny stróż prawa musi zawsze o jeden krok wyprzedzać dzisiejszego przestępcę. Pewnego dnia ktoś spróbuje ukraść Mosiężny Most, a wtedy znajdzie przy nim sierżanta Golona, który już na niego czeka.

Tymczasem jednak posterunek ten gwarantował spokojne, osłonięte przed wiatrem miejsce, gdzie mógł wypalić papierosa i prawdopodobnie nie zobaczyć niczego, co mogłoby go zdenerwować.

W tej chwili Colon opierał łokcie o balustradę i rozmyślał o Życiu. Jakaś postać wyszła chwiejnie z tumanów mgły. Sierżant rozpoznał znajomy, spiczasty kapelusz maga.

- Dobry wieczór, strażniku.

- Dzieńdoberek szanownemu panu.

- Czy zechcielibyście, strażniku, uprzejmie pomóc mi wejść na balustradę?

Sierżant zawahał się. Ale przecież ten gość był magiem. A odmawiając magowi pomocy, można sprowadzić na siebie poważne kłopoty.

- Wypróbowuje pan szanowny jakiś nowy czar? - zapytał, podtrzymując chudego, ale zadziwiająco ciężkiego maga.

- Nie.

Windle Poons zstąpił z mostu. Coś mlasnęło[4].

Sierżant Colon wyjrzał. Wody Ankh zamknęły się powoli.

Ach, ci magowie. Wiecznie coś kombinują.

Przyglądał się przez chwilę. Po kilku minutach zauważył jakieś poruszenie wśród śmieci i odpadków przy podstawie jednego z filarów, gdzie do wody prowadziły brudne stopnie.

Wynurzył się spiczasty kapelusz.

Sierżan Colon usłyszał, jak mag powoli wspina się na schody

i klnie pod nosem.

- Powinien się pan przebrać - poradził. - W mokrym ubraniu

może się pan na śmierć przeziębic.

-Ha!

- I wyciągnąć nogi przed kominkiem. Tak właśnie bym zrobił. Sierżant Colon przyjrzał się Windle'owi Poonsowi stojącemu

w kałuży cieczy.

- Wypróbowywał pan jakiś specjalny typ podwodnej magii? -

domyślił się.

- Niezupełnie, strażniku.

- Zawsze się zastanawiałem, jak to jest pod wodą - dodał sierżant zachęcająco. - Te sekrety głębinowych istot, niezwykłych i cudownych... Mama opowiadała mi kiedyś bajkę o takim chłopcu, co się zamienił w syrenkę... no, może nie całkiem w syrenkę... I miał

różne przygody pod...

Jego głos cichł z wolna pod strasznym wzrokiem WTindle'a Poonsa.

- Tam jest nudno - stwierdził mag. Odwrócił się i powłócząc nogami ruszył przed siebie. - Bardzo nudno. Nawet wyjątkowo nudno - dodał, znikając we mgle.

Sierżant Colon został sam. Drżącymi rękami zapalił kolejnego papierosa i wolnym krokiem pomaszerował w stronę komisariatu.

- Ta twarz - mruzczał do siebie. - I te oczy... Jak ten, jak mu było... Jak się nazywa ten nieszczęsny krasnolud, który prowadzi delikatesy przy Kablowej...

- Sierzancie!

Colon zamarł. Potem spojrzał pod nogi. Jakaś twarz wpatrywała się w niego z poziomu ulicy. Kiedy już wziął się w garść, rozpoznał ostre rysy swojego starego znajomego, Gardło sobie Podrzymam Dibblera, chodzącego argumentu na rzecz teorii, że na Dysku ludzkość rozwinęła się z jakiegoś gatunku szczurów. GsP Dibbler lubił określać się mianem przedsiębiorczego handlowca; wszyscy inni nazywali go ulicznym handlarzem, którego plany zdobycia majątku zawsze kończyły się niepowodzeniem. Przyczyną była zwykle

niewielka, ale istotna skaza, na przykład próby sprzedaży artykułów, które nie były jego własnością albo nie działały, a czasami nawet nie istniały.

Wiadomo, że magiczne złoto rozwiewa się o wschodzie słońca; to jednak blok zbrojonego betonu w porównaniu z niektórymi towarami oferowanymi przez Gardło.

Dibbler stał teraz u stóp schodów prowadzących do jednej z niezliczonych piwnic Ankh-Morpork.

- Witaj, Gardło.

- Mógłbyś zejść tu na moment, Fred? Przydałaby mi się pora: da prawna.

- Masz jakiś problem? Dibbler poskrobał się po nosie.

- Sam nie wiem, Fred. Czy to przestępstwo coś dostać? Znaczący wtedy, kiedy się o tym nie wie?

- Ktoś ci coś podarował, Gardło? Gardło przytaknął.

- Tylko że... Wiesz, że trzymam tutaj swój towar?

- Tak.

- I widzisz, zszedłem właśnie, żeby przeprowadzić mały remanent, i... - Bezradnie machnął ręką. - Najlepiej sam zobacz. Zrobił sierżantowi miejsce. W ciemności zabrzmiało ciche; plop!

Windle Poons włókł się bez celu ciemną uliczką na Mrokach. Wyciągnął ręce przed siebie, a dłonie zwisały mu bezwładnie u nadgarstków. Nie wiedział dlaczego. Po prostu wydawało mu się to właściwą pozycją.

Może zeskoczyć z dachu? Nie, z tego też nic nie wyjdzie. Zresztą chodzenie już teraz było trudne, a dwie złamane nogi na pewno nie pomogą. Trucizna? Domyślał się, że przypłaci to ciężkim bólem brzucha. Stryczek? Dyndanie na sznurku okaże się pewnie jeszcze nudniejsze niż siedzenie na dnie rzeki.

Dotarł do ponurego placu, gdzie zbiegało się kilka uliczek. Szczury uciekały mu spod nóg. Kot wrzasnął i odbiegł po dachu.

A kiedy Windle stał tam i zastanawiał się, gdzie jest, dlaczego tu jest i co powinien zrobić, poczuł nagle na plecach ostrze noża.

- No dobra, dziadku - odezwał się jakiś głos z tyłu. - Pieniądze albo życie.

W ciemności wargi Poonsa rozciągnęły się w przerażającym uśmiechu.

- Nie żartuję, staruszk - zapewnił głos.

- Jesteście z Gildii Złodziei? - zapytał Windle, nie oglądając się.

- Nie. Jesteśmy... wolnymi strzelcami. No już, chcemy zobaczyć kolor twoich pieniędzy.

- Nie mam pieniędzy - odparł Windle. Odwrócił się. Za nim stało dwóch opryszków.

- O bogowie, spójrz na jego oczy - szepnął jeden z nich. Windle uniósł ręce nad głową.

- Uuuuuu! - zajęczał.

Napastnicy cofnęli się. Niestety, tuż za plecami mieli mur. Rozpłaszczyli się na nim.

- UuuuUUUUuuuuuspadajciestąduuuUUUuuu! - powiedział Windle, który nie zauważył, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez niego.

Obłąkani grozą niedoszli napastnicy zanurkowali mu pod ramionami. Ale jeden z nich zdążył wbić nóż aż po rękojeść w gołębią pierś byłego maga.

Windle spojrzał na nóż.

- Zaraz! To była moja najlepsza szata! - zawołał. - Chciałem być w niej

pochowany... Patrzcie tylko! Wiecie, jak trudno zacerować jedwab? No, wracajcie natychmiast! Na samym przodzie...

Nasłuchiwał przez moment. Jedyńm odgłosem był daleki i cichnący tupot nóg.

Windle Poons wyjął z piersi nóż.

- Mogli mnie tym zabić - mruknął.

W piwnicy sierżant Colon podniósł jeden z obiektów leżących w wielkich stosach na podłodze. - Muszą ich być tysiące - stwierdził z tyłu Gardło. -1 chciałbym wiedzieć, kto je tu wysypał[5]

Sierżant Colon obracał w rękach kulisty przedmiot.

- Nigdy jeszcze takiego nie widziałem - stwierdził. Potrząsnął nim i rozpromienił się. - Śliczne, prawda?

- Drzwi były zamknięte i w ogóle - tłumaczył Gardło. - I spłaciłem Gildię Złodziei.

Colon znowy potrząsnął przedmiotem.

- Ładne - stwierdził.

- Fred?

Colon przyglądał się zafascynowany, jak maleńkie płatki opadają we wnętrzu niewielkiej szklanej kuli.

- Hmm?

- Co właściwie powinienem zrobić?

- Nie mam pojęcia, Gardło. Należą chyba do ciebie. Chociaż nie

wyobrażam sobie, dlaczego ktoś miałby się ich pozbywać. Ruszył do drzwi. Gardło zastąpił mu drogę.

- Należy się dwanaście pensów - oświadczył.

-Co?

- Za tę, którą wsadziłeś do kieszeni, Fred. Colon wyjął kulę.

- Daj spokój! - zaprotestował. - Przecież właśnie je znalazłeś! Nie kosztowały cię ani pensa!

- Owszem, ale koszt magazynowania... pakowanie... transport...

- Dwa pensy - zaproponował z rozpaczą Colon.

- Dziesięć.

- Trzy.

- Siedem... I sam wiesz, że gardło sobie podrzynam.

- Zgoda - odparł sierżant z wahaniem. Raz jeszcze potrząsnął kulą. - Ładne, prawda?

- Warte każdego pensa - zgodził się Dibbler. Zatarł ręce. - Będą się sprzedawać jak gorące bułeczki - uznał.

Nabrał kuł w obie ręce i wsypał je do pudła. Kiedy wychodzili, zamknął drzwi na klucz. W ciemności za nimi rozległo się ciche: plop!

Ankh-Morpork zawsze przestrzegało chlubnej tradycji serdecznego witania w swych granicach ludzi wszelkich ras, kolorów i kształtów, pod warunkiem że mieli pieniądze do wydawania oraz bilet powrotny.

Według słynnej publikacji Gildii Kupców "Witajcie w Ankh-Morpork,

Grodzie Tysiąca niespodzianek", "gość może być pewnym Serdecznego Przyjęcia w niezliczonych Gospodach i Tawernach, z których wiele specjalizuje się w gustach przybyszów z dalekich stron. Czyś jest zatem Człkiem, Trollem, Krasnoludem, Goblinem czy Gnomem, Ankh-Morpork z radością wzniesie swój puchar i powie: Zdrowie! Trzymaj się, chłopie. Do dna!".

Windle Poons nie miał pojęcia, gdzie nieumarli spędzają wieczory. Wiedział tylko, ale wiedział z absolutną pewnością, że jeśli gdziekolwiek mogą się zabawić, to prawdopodobnie mogą się zabawić w Ankh-Morpork.

Niezdarne kroki prowadziły go coraz głębiej w Mroki. Tyle że nie były już tak niezdarne.

Przez ponad wiek Windle Poons żył wewnątrz murów Niewidocznego Uniwersytetu. W sensie przeżytych lat było to bardzo długo. W sensie zgromadzonego doświadczenia był jednak nastolatkiem.

Teraz widział, słyszał i wahał rzeczy, których jeszcze nigdy nie widział, nie słyszał ani nie wahał.

Mroki są najstarszą częścią miasta. Gdyby wykonać trójwymiarową mapę grzeszności, niegodziwości i ogólnej niemoralności -podobnej do wykresów pola grawitacyjnego wokół czarnej dziury -to nawet w Ankh-Morpork Mroki wyglądałyby jak szyb kopalniany. Zresztą Mroki mocno przypominały wspomniane wyżej zjawisko astronomiczne: silnie przyciągały, żadne światło nie mogło stamtąd uciec i rzeczywiście bywały bramą do innego świata.

Mroki były miastem w mieście.

Na ulicach tłoczyli się mieszkańcy. Opatulone figury przemykały w swoich sprawach. Niezwykła muzyka dobiegała z ciemnych klatek schodowych - podobnie jak ostre i niezwykle zapachy.

Poons mijał delikatesy dla goblinów i krasnoludzie bary, skąd dobiegały odgłosy zabawy i walki, którymi krasnoludy tradycyjnie zajmowały się równocześnie. Były też trolle sunące przez tłum jak... jak

wielcy ludzie między małymi ludźmi. I nie kuliły się wcale.

Do tej pory Windle widywał trolle tylko w bardziej eleganckich dzielnicach miasta[6]. Tam poruszały się z przesadną ostrożnością, by przypadkiem nie zatłuc kogoś na śmierć i nie zjeść. Na Mrokach kroczyły bez lęku, wysoko unosząc głowy - tak wysoko, że niemal wystawały im spomiędzy ramion.

Windle Poons wędrował ulicami niczym przypadkowo uderzona kula po stole bilardowym. Tutaj eksplozja dźwięku z baru odepchnęła go na ulicę, tam dyskretne wejście obiecywało niezwykle, zakazane rozkosze i przyciągało jak magnes. W życiu Windle'a Poonsa nie było zbyt wielu rozkoszy, nawet tych zwykłych i dozwolonych. Nie był pewien, na czym polegają. Kilka szkiców na zewnątrz których drzwi pod różową lampą niewiele mu wyjaśniło, ale wzbudziło głęboką chęć do nauki.

Obracał się dookoła i patrzył w przyjemnym oszołomieniu.

Co za miejsce! Zaledwie dziesięć minut spaceru albo piętnaście powłóczenia nogami od uniwersytetu! A on nie wiedział nawet, że istnieje! Tylu ludzi! Taki gwar! Życie!!!

Kilka osób rozmaitych gatunków i kształtów zderzyło się z nim. Jeden czy dwóch próbowało coś powiedzieć, ale zaraz zamykali usta i odchodzili pospiesznie.

Myśleli przy tym: jego oczy! Jak świdry!

Nagle doszedł go jakiś głos z mroku:

- Hej, chłoptasiu. Masz ochotę się zabawić?

- O tak! - zapewnił zachwycony Windle Poons. - O tak! Tak! -Odwrócił się.

- Niech to piekło!

Usłyszał tupot stóp kogoś uciekającego zaułkiem.

Posmutniał.

Życie, jak widać, było przeznaczone dla żyjących. Może jednak popełnił błąd, wracając do własnego ciała? Był głupi, wierząc, że jest inaczej.

Zawrócił i - nie dbając niemal o utrzymywanie bicia serca - powlókł się z powrotem na uniwersytet.

Windle przeszedł wolno przez dziedziniec i wkroczył do Głównego Holu. Nadrektor będzie wiedział, co robić... - Tam jest!

- To on!

- Łapać go!

Myśli Windle'a runęły z wytyczonego toru przez urwisko. Spojrzał na pięć zaczerwienionych, zmartwionych, a przecie wszystkim znajomych twarzy.

- O, dziekan... - powiedział smętnym głosem. -1 pierwszy prymus? Ojej, przyszedł pan nadrektor...

- Łap go za rękę!

- Nie patrzcie mu w oczy!

- Złap mu drugą rękę!

- To dla twojego dobra, Windle!

- To nie jest Windle! To kreatura z ciemności!

- Zapewniam was...

- Macie nogi?

- Łap go za nogę!

- Trzymaj drugą!

- Złapaliście już wszystko? - ryknął nadrektor.

Magowie przytaknęli.

Mustrum Ridcully sięgnął w przestronne zakamarki swej szaty.

- A masz, ty potworze w ludzkiej postaci! - warknął. - Co powiesz na to, co? Aha!

Windle spojrzał zezem na niewielki obiekt podetkany mu pod sam nos.

- Zaraz... hm... - powiedział nieśmiało. - Moim zdaniem... tak... hm... owszem, zapach jest bardzo charakterystyczny, nieprawdaż... Tak, stanowczo... *Allium sativum*. Zwyczajny domowy czosnek. Tak?

Magowie przyjrzeni mu się niepewnie. Potem przyjrzeni się główce czosnku. A potem znowu Windle'owi.

- Zgadłem, prawda? - zapytał i spróbował się uśmiechnąć.

- Słucham? - zapytał niepewnie nadrektor. - Tak. Tak, rzeczywiście. - Rozejrzał się, nie wiedząc, co by jeszcze dodać. - Dobra robota - zakończył.

- Dziękuję, że próbowaliście mi pomóc - powiedział Winde. Naprawdę to doceniam.

Postąpił o krok. Magowie równie dobrze mogliby próbować zatrzymać lodowiec.

- A teraz muszę się przespać - oznajmił. - Mam za sobą ciężki dzień.

Powlókł się do swojego pokoju. Ktoś wniósł tu jakieś rzeczy, ale Windle poradził sobie z tym bez trudu: zgarnął je wszystkie i za jednym zamachem wyrzucił na korytarz.

Potem położył się w łóżku.

Spać... Na pewno był zmęczony. Nie oszczędzał się dzisiaj. Ale sen oznaczał, że przestanie się kontrolować, a nie był pewien, czy wszystkie systemy osiągnęły już pełną sprawność.

Poza tym, kiedy się lepiej zastanowić, to czy w ogóle musi sypiać? Jest martwy, a to powinno być całkiem jak sen, tylko bardziej. Chociaż, oczywiście, jeśli człowiek nie będzie uważał, jego kawałki mogą zgnić i odpaść.

A właściwie co się powinno robić przez sen? Śnić... Ale to tylko metoda porządkowania wspomnień czy coś w tym rodzaju. Jak się do tego zabrać?

Zapatrzył się w sufit.

- Nigdy nie myślałem, że być martwym to aż taki kłopot - powiedział głośno.

Po chwili ciche, ale uparte zgrzytanie kazało mu odwrócić głowę.

Nad kominkiem wisiał ozdobny lichtarz, umocowany do klamry w ścianie. Był elementem umeblowania tak dobrze znanym, że Windle od pięćdziesięciu lat właściwie go nie zauważał.

A teraz się odkręcał. Wirował powoli, zgrzytając przy każdym obrocie. Aż w końcu spadł i potoczył się po podłodze.

Niewyjaśnione fenomeny same w sobie nie są na Dysku niczym wyjątkowym[7]. Tyle że zwykle mają więcej sensu, a przynajmniej są nieco bardziej interesujące.

Nic więcej nie miało chyba zamiaru się ruszać. Windle uspokoił się więc i powrócił do porządkowania swoich wspomnień. Znalazł tam sprawy, o

których całkiem zapomniał.

Po dłuższym czasie usłyszał na korytarzu jakieś szepty; drzwi otworzyły się z trzaskiem.

- Przytrzymać mu nogi! Łapcie nogi!

- Trzymajcie ręce! Windle spróbował usiąść.

- Dzień dobry panom - powiedział. - O co chodzi? Stojący u stóp łóżka nadrektor pogrzebał w worku i wyjął jakiś ciężki przedmiot.

Uniósł go w górę.

- Aha! - zawołał.

Windle przyjrzał się z uwagą.

- Tak? - zapytał uprzejmie.

- Aha - powtórzył jeszcze raz nadrektor, ale już z mniejszym przekonaniem.

- To symboliczny dwuręczny topór kultu Ślepego Io - stwierdził Windle.

Nadrektor spojrzał na niego tępo.

- No... no tak - przyznał. - Zgadza się.

Odrzucił topór przez ramię, niemal pozbawiając dziekana lewego ucha. Raz jeszcze sięgnął do worka.

- Aha!

- To całkiem ładny egzemplarz Mistycznego Zęba Offlera, Boga Krokodyla.

- Aha!

- A to... niech się przyjrzę... Tak, to zestaw świętych Latających Kaczek Ordpora Niegustownego. Świetna zabawa.

- Aha!

- A to... nie, proszę nie podpowiadać... to święty linglong niesławnego kultu Sootee. Tak?

- Aha?

- Wydaje mi się, że to trójgłowa ryba z religii trójgłowej ryby w Howandzie.

- To śmieszne - stwierdził nadrektor, odrzucając rybę. Magowie byli rozczarowani. Religijne obiekty, jak się okazało, nie są jednak absolutnie pewnym środkiem na nieumarłych.

- Przykro mi, że sprawiam tyle kłopotu - zapewnił Windle. Dziekan rozpromienił się nagle.

- Światło dzienne! - zawołał. - To załatwi sprawę.

- Bierzcie kotarę!

- Bierzcie drugą kotarę!

- Raz, dwa, trzy... Teraz!

Windle zamrugął w ostrym blasku słońca.

Magowie wstrzymali oddech.

- Przykro mi - powiedział. - Ale to chyba też nie działa. Znowu posmutnieli.

- Niczego nie czujesz? - upewnił się Ridcully.

- Żadnego uczucia rozsypywania się w pył i rozwiewania? - dodał z nadzieją pierwszy prymus.

- Skóra schodzi mi z nosa, jeśli za długo przebywam na słońcu - odparł Windle. - Nie wiem, czy to coś pomoże. - Spróbował się uśmiechnąć.

Magowie popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Wychodzimy - zarządził nadrektor. Rzędem wyszli na korytarz.

Ridcully ruszył za nimi. W progu zatrzymał się jeszcze i pogroził Windle'owi palcem.

- Ta niechęć do współpracy, Windle, nie poprawia pańskiej sytuacji - oznajmił i trzasnął drzwiami.

Po chwili cztery śruby przytrzymujące klamkę odkręciły się bardzo powoli. Przez chwilę krążyły pod sufitem, po czym spadły.

Windle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

Wspomnienia... Mnóstwo wspomnień. Sto trzydzieści lat wspomnień. Kiedy żył, nie pamiętał nawet setnej części tego, co wiedział. Ale teraz był martwy, a jego umysł oczyścił się ze wszystkiego prócz srebrzystych nici myśli. Teraz je widział: wszystko, co przeczytał, co zobaczył, wszystko, co słyszał. Wszyściutko, ustawione w równych szeregach. Nic nie zostało zapomniane. Wszystko było na miejscu.

Trzy niewytłumaczalne zjawiska jednego dnia. Cztery, jeśli dodać do nich jego wciąż trwającą egzystencję. To dopiero było niewytłumaczalne.

A wymagało tłumaczenia.

No cóż, to już nie jego kłopot. Nic już teraz nie było jego kłopotem.

Magowie przyczaili się przed drzwiami pokoju Windle'a Poonsa.

- Wszystko gotowe? - upewnił się Ridcully.

- Dlaczego nie można zlecić tego służbie? - mruczał pierwszy prymus.
- To poniżej godności...

- Ponieważ chcę to załatwić jak należy i z godnością - odparł nadrektor.
- Jeśli już ktoś ma pochować maga na rozstaju dróg z kołkiem wbitym w pierś, powinni się tym zająć inni magowie. W końcu byliśmy jego przyjaciółmi.

- A właściwie co to takiego? - spytał dziekan, badając trzymane w rękach narzędzie.

- To się nazywa szpadel - wyjaśnił pierwszy prymus. - Widziałem, jak używają go ogrodnicy. Ten ostry koniec trzeba wbić w ziemię. Potem jest już trudniej.

Ridcully zajrzał przez dziurkę od klucza.

- Znów się położył - poinformował. Wstał, strzepując kurz z kolan. - Uwaga, na moją komendę. Raz... dwa...

Ogrodnik Modo popychał taczki, pełne ściętych gałązek żywopłotu, obok nowego laboratorium badawczego Magii Wysokich Energii, kiedy pół tuzina magów minęło go z wielką - jak na magów - prędkością. Między sobą nieśli Windle'a Poonsa.

- Panie nadrektorze - usłyszał Modo jego głos. - Jest pan pewien, że to podziła?

- Chodzi nam wyłącznie o twoje dobro - zapewnił Ridcully.

- Nie wątpię, ale...

- Już niedługo znów będziesz się czuł jak dawniej - obiecywał kwestor.

- Wcale nie będzie - syknął dziekan. - O to właśnie chodzi.

- Już niedługo nie będziesz się czuł jak dawniej, bo o to właśnie chodzi
- wysapał kwestor, kiedy znikali za rogiem.

Modo znów pchnął taczki i w zamyśleniu ruszył na osłonięty teren, gdzie palił ognisko, ukrywał przyzmy kompostu i zeschnięte liście. Tam też stała nieduża szopa, gdzie chował się podczas deszczu.

Kiedyś pracował jako młodszy ogrodnik w pałacu, ale praca tutaj okazała się ciekawsza, niż oczekiwał. Tutaj naprawdę wrzało życie.

Społeczeństwo Ankh-Morpork jest społeczeństwem ulicznym. Zawsze dzieje się tam coś ciekawego. W tej chwili woźnica na koźle dwukonnego wozu z owocami trzymał dziekana sześć cali nad ziemią, ścisnął za kołnierz dziekańskiej szaty i groził, że wypchnie twarz dziekana przez tył dziekańskiej głowy.

- To brzoskwinie, jasne?! - wrzeszczał. - Wiesz pan, co się dzieje z brzoskwiniami, jeśli za długo leżą? Odgniatają się! Ale nie tylko one będą wgniecione!

- Jestem magiem, człowieku - tłumaczył dziekan. Jego spiczaste buty dyndały w powietrzu. - Gdyby nie fakt, że użycie magii w jakikolwiek sposób z wyjątkiem samoobrony jest wbrew moim zasadom, miałbyś poważne kłopoty.

- A co tu właściwie robicie? - zainteresował się woźnica i trochę opuścił dziekana, żeby spojrzeć mu przez ramię.

- Właśnie - odezwał się człowiek próbujący zapanować nad końmi zaprzężonymi do wozu z drewnem. - Co się dzieje? Są tu ludzie, którym się płaci od godziny.

- Ruszać się tam z przodu!

Dostawca drewna odwrócił się na koźle ku długiemu rzędowni wozów za sobą.

- Próbuję - wyjaśnił. - To chyba nie moja wina, nie? Jest tu cała banda

magów, którzy rozkopują tę przeklętą ulicę!

Ponad brzegiem wykopu pojawiło się zabłocone oblicze nad-rektora.

- Na miłość bogów, dziekanie! Przecież kazałem jakoś załatwić tę sprawę!

- Owszem. Właśnie prosiłem tego dżentelmena, żeby się cofnął i pojechał inną drogą - odparł dziekan, któremu zaczynało już brakować powietrza.

Dostawca owoców odwrócił go w powietrzu, żeby mógł obejrzeć zatłoczoną ulicę.

- Próbowaleś pan kiedy wycofać sześćdziesiąt wózków naraz? - zapytał. - To trudna robota. Zwłaszcza kiedy nikt nie może się ruszyć, bo tak nas załatwiliście, że wozy stoją dookoła całego kwartału. Nikt nie może się cofnąć, bo ktoś inny stoi mu na drodze. Jasne?

Dziekan spróbował przytaknąć. Sam się zastanawiał, czy mądre jest kopanie dołu na skrzyżowaniu ulicy Pomniejszych Bóstw i Broad-Wayu, dwóch najbardziej ruchliwych w Ankh-Morpork. Na początku wydawało się to rozsądne. Nawet najbardziej uparty nie-umarły powinien pozostać należycie pochowany pod ulicami o takim natężeniu ruchu. Problem polegał na tym, że nikt nie pomyślał o trudnościach, jakie powoduje rozkopanie dwóch ważnych arterii

w godzinie szczytu.

- Spokojnie, spokojnie. Co się tu dzieje?

Tłum gapiów rozstał się, przepuszczając krępą postać sierżanta Golona ze Straży. Sunął między ludźmi niepowstrzymanie, brzuchem torował sobie drogę. Kiedy zobaczył magów, tkwiących po pas w dziurze na środku ulicy, jego szeroka, rumiana twarz wyraźnie

się rozpromieniła.

- Co my tu mamy? - rzucił. - Bandę międzynarodowych złodziei

skrzyżowań?

Był uradowany. Jego długoterminowa strategia zapobiegania przestępstwom wreszcie wykazała swą skuteczność.

Nadrektor wyrzucił mu na buty łopatę ankh-morporskiego mułu.

- Nie bądź durniem, człowieku - burknął. - To bardzo poważna sprawa.

- Jasne. Wszyscy tak mówią. - Sierżant Colon nie należał do tych, których łatwo zbić z tropu, kiedy już nabiorą rozpędu. - Założę się, że w setkach wiosek w jakichś pogańskich okolicach, takich jak Klatch, zapłacą dobrą cenę za eleganckie, prestiżowe skrzyżowanie, co?

Ridcully przyglądał mu się z otwartymi ustami.

- Co też wygadujecie, strażniku? - zapytał po chwili. Wskazał swój spiczasty kapelusz. - Nie słyszeliście? Jesteśmy magami. Tu chodzi o sprawę magów. Gdybyście więc zechcieli skierować te wozy dookoła, byłoby miło...

- Brzoskwinie odgniatają się od samego patrzenia... - odezwał

się jakiś głos za sierżantem.

- Ci durnie trzymają nas tutaj dobre pół godziny - oświadczył poganiacz bydła, który dawno już stracił panowanie nad czterdziestoma wołami, w tej chwili spacerującymi bez celu po okolicznych ulicach. - Proszę ich aresztować.

Sierżant uświadamiał sobie z wolna, że mimo woli znalazł się na scenie dramatu obejmującego setki ludzi, z których niektórzy byli magami, a wszyscy wściekli.

- W takim razie co tu robicie? - zapytał słabym głosem.

- Chowamy naszego kolegę. A niby co myśleliście? Colon spojrzał niepewnie na otwartą trumnę obok drogi. Windle Poons pomachał mu lekko.

- Przecież... on nie jest martwy... chyba... - Marszcząc czoło, sierżant

usiłował zrozumieć całą sytuację.

- Pozory często mylą - stwierdził nadrektor.
- Ale on właśnie do mnie pomachał - nie ustępował sierżant.
- I co?
- Przecież to nie jest normalne, żeby...
- Wszystko w porządku, sierżancie - uspokoił go Windle. Colon przesunął się trochę bliżej trumny.
- Czy wczoraj wieczorem nie rzucił się pan do rzeki? - wyszeptał.
- Tak - przyznał Windle. - Bardzo mi pomogliście.
- A potem tak jakby wyrzucił się pan z powrotem.
- Obawiam się, że tak.
- Ale tkwił pan tam całe wieki...
- Było ciemno, rozumiecie. Nie mogłem znaleźć schodków. Sierżant Colon musiał uznać logikę tego wytłumaczenia.
- W takim razie chyba faktycznie jest pan martwy - uznał wreszcie. - Nikt nie mógłby tyle siedzieć w rzece, gdyby wcześniej nie umarł.
- Otóż to - zgodził się Windle.
- Tylko dlaczego chodzi pan i mówi? Pierwszy prymus wyjrzał z dołu.
- Nie jest niczym niezwykłym, by martwe ciało poruszało się i wydawało dźwięki po śmierci, sierżancie - oświadczył. - Powodem są mimowolne skurcze mięśni.
- Rzeczywiście, pierwszy prymus ma rację - potwierdził Windle Poons.
- Gdzieś o tym czytałem.

- Aha. - Sierżant rozejrzał się dookoła. - W takim razie - dodał niepewnie - chyba wszystko w porządku.

- No, skończyliśmy - oznajmił nadrektor i wygramolił się z dołu. - Jest dostatecznie głęboki. Chodź, Windle, pora do ziemi.

- Jestem naprawdę wzruszony - zapewnił Windle i położył się w trumnie. Była całkiem przyzwoita, z kostnicy przy ulicy Wiązów. Nadrektor pozwolił mu ją wybrać osobiście.

Ridcully sięgnął po drewniany młotek.

Windle znów usiadł.

- Wszyscy tak bardzo starają się mi pomóc...

- To prawda. - Ridcully obejrzał się. - Do rzeczy. Kto ma kolek?

Wszyscy spojrzeli na kwestora.

Kwestor zrobił nieszczęśliwą minę. Pogrzebał w torbie.

- Nie mogłem znaleźć - powiedział. Nadrektor zasłonił dłonią oczy.

- No dobrze - rzucił spokojnie. - A wiecie, jakoś nie jestem zaskoczony. Wcale a wcale. Co przyniosłeś? Udziec jagnięcy? Kawałek wieprzowiny?

- Pory - odparł kwestor.

- To przez te nerwy - wyjaśnił pośpiesznie dziekan.

- Pory - stwierdził nadrektor. Jego samokontrola była tak silna, że mogłaby zginać podkowy. - Bardzo dobrze. Kwestor wręczył mu zwiędły zielony pęczek.

- Posłuchaj, Windle - rzekł Ridcully. - Chcę, żebyś sobie wyobraził, że trzymam w ręku...

- Wszystko w porządku - zapewnił go Windle.

- Nie jestem pewien, czy uda się wbić...

- Naprawdę mi to nie przeszkadza.

- Nie?

- Zasada pozostaje w mocy - zapewnił Windle. - Proszę mi podać te pory, ale myśleć o wbijaniu kołka. To powinno wystarczyć.

- To bardzo ładnie z twojej strony - przyznał Ridcully. - Wykazujesz odpowiednie podejście.

- Espñt de carps - stwierdził pierwszy prymus. Ridcully zerknął na niego niechętnie i dramatycznym gestem wręczył pory Windle'owi.

- A masz! - zawołał.

- Dziękuję.

- A teraz załóżmy wieko i chodźmy na obiad - zaproponował Ridcully.
- Nie martw się, Windle. To musi podzielać. Dzisiaj jest ostatni dzień reszty twojego życia.

Windle leżał w ciemności i nasłuchiwał stukania młotka. Coś uderzyło głucho, rozległo się stłumione przekleństwo i uwaga, by dziekan porządnie trzymał swój koniec. Potem łoskot ziemi o wieko, coraz słabszy i bardziej odległy.

Po dłuższej chwili dalekie dudnienie zaświadczyło, że uliczny ruch powrócił do zwykłego natężenia. Windle słyszał nawet stłumione głosy.

Uderzył w wieko trumny.

- Może by tak trochę ciszej! - zawołał. - Tu na dole są ludzie, którzy próbują być martwi!

Głosy ucichły. A potem usłyszał oddalające się szybko kroki.

Leżał tak przez pewien czas - nie miał pojęcia, jak długo. Spróbował

zatrzymać wszystkie funkcje organizmu, ale zrobiło mu się tylko bardzo niewygodnie. Dlaczego umieranie jest takie trudne? Inni ludzie jakoś sobie z nim radzili, nawet bez żadnej praktyki.

W dodatku swędziała go noga.

Spróbował sięgnąć w dół i się podrapać, a wtedy natrafił dłonią na coś małego i nieregularnego. Zdołał chwycić to w palce.

Miał wrażenie, że to pęczek zapalek.

W trumnie? Czyżby ktoś sądził, że dla zabicia czasu zapali cygaro?

Z niejakim trudem zdołał jednym butem zsunąć ze stopy drugi i przesunął go wyżej, aż udało mu się go złapać. Dzięki temu uzyskał szorstką powierzchnię, by zapalić zapalstkę...

Siarkowy blask zalał jego niewielki, podłużny świat.

Wewnątrz wieka ktoś przybił niewielki kartonik.

Windle przeczytał go.

Potem jeszcze raz.

Zapalka zgasła.

Zapalił następną, by sprawdzić, czy to, co właśnie przeczytał, istnieje naprawdę.

Wiadomość nadal brzmiała niezwykle, nawet za trzecim razem:

Umarły? W depresji?

Masz ochotę zacząć od początku?

Zajrzyj do klubu

OD NOWA

czwartki, godz. 12 w nocy,

ul. Wiązów 668

BEZ ZWŁOKI PRZYPROWADŹ SWE ZWŁOKI

Płomyk drugiej zapalki zgaś, zabierając ze sobą resztkę tlenu.

Przez długi czas Windle leżał w ciemności, rozważał swoje kolejne posunięcie i kończył dojadać pory.

Kto by pomyślał?

I nagle zmarłemu Windle Poonsowi przyszło do głowy, że nie istnieje coś takiego jak cudzy kłopot, a kiedy już człowiek sądzi, że świat go odepchnął, nagle okazuje się, że świat ten pełen jest niezwykłości. Z doświadczenia wiedział, że żywi nigdy nie zauważają połowy tego, co się naprawdę dzieje, ponieważ zbyt są zajęci życiem. Kibic najlepiej widzi rozgrywkę, powiedział sobie.

Żywi ignorowali to, co niezwykle i cudowne, ponieważ życie było zbyt wypełnione tym, co nudne i zwyczajne. Ale przecież było niezwykle. Zdarzały się samoodkręcające się śrubki, a także małe karteczki z wiadomościami dla umarłych.

Postanowił sprawdzić, o co tu chodzi. A potem... Jeśli Śmierć nie miał zamiaru się po niego zjawić, to on pójdzie do Śmierci. Ma przecież swoje prawa. Tak jest! Rozpocznie poszukiwania na skalę, jakiej jeszcze nie znano.

Uśmiechnął się w ciemności.

Zaginiony: Śmierć.

Dzisiaj był jednak pierwszy dzień reszty jego życia.

I całe Ankh-Morpork leżało mu u stóp. To znaczy w przenośni. Jedyna droga prowadziła w górę.

Wyciągnął rękę, namacał w mroku karteczkę i oderwał ją od drewna. A potem wetknął sobie między zęby.

Następnie oparł stopy o brzeg trumny, przesunął ręce nad głowę i pchnął.

Wilgotne błoto Ankh-Morpork ustąpiło odrobinę.

Windle przerwał z przyzwyczajenia, żeby nabrać tchu, i przypomniał sobie, że nie warto. Pchnął jeszcze raz. Ścianka trumny rozpadła się w drzazgi.

Windle przyciągnął ją do siebie i rozdarł solidne sosnowe drewno jak papier. W ręku pozostał mu kawałek deski, który jako łopata byłby całkiem bezużyteczny dla każdego, kto nie dysponuje siłą zombie.

Przewrócił się na brzuch. Odgarniając ziemię swoją zaimprovizowaną łopatą i ugniatając ją nogami, Windle Poons pełził ku powierzchni, by zacząć wszystko od nowa.

Wyobraźcie sobie pejzaż - równinny, z falami wzniesień. Jest późne lato w krainie oktarynowych traw, pod strzelającymi w niebo szczytami wysokich Ramtopów, a dominującymi barwami są brąz i złoto. Koniki polne skwierczą jak na patelni. Nawet powietrze jest zbyt gorące, by się poruszać. To najgorętsze lato w pamięci żyjących, a w tych okolicach oznacza to czas bardzo długi.

Wyobraźcie sobie jeźdźca na koniu. Jedzie powoli drogą pokrytą calową warstwą pyłu, pomiędzy polami kukurydzy obiecującymi niezwykle

bogate plony.

Wyobraźcie sobie płot z wyschłego, martwego drewna. Ktoś przypiął do niego kartkę. Litery wyblakły od słońca, ale wciąż dają się odczytać.

Wyobraźcie sobie cień padający na kartkę. Można niemal usłyszeć, jak czyta oba słowa.

Wąska ścieżka prowadzi w bok od głównego szlaku, w stronę grupki pobielonych chat.

Wyobraźcie sobie szuranie stóp. Wyobraźcie sobie drzwi - otwarte.

Wyobraźcie sobie chłodną, mroczną izbę widzianą przez otwarte drzwi. Nie jest to pomieszczenie, w którym zwykle mieszkają ludzie. To izba dla ludzi, którzy żyją na dworze, ale czasem muszą wejść pod dach, kiedy robi się ciemno. To izba dla uprząży i psów, izba, gdzie wiesza się płachty brezentu, żeby wyschły. Przy drzwiach stoi beczka. Podłoga wyłożona jest kamieniami, a na belkach pod sufitem tkwią haki do wieszania bekonu. Stoi wyszorowany stół, przy którym mogłoby usiąść trzydziestu ludzi.

Nie ma ludzi. Nie ma psów. Nie ma piwa. Nie ma bekonu.

Odpowiedzią na stukanie była cisza, a po niej ciche kłapanie kapci po kamiennej podłodze. Po chwili chuda staruszka, o twarzy kolorem i teksturą przypominającej orzech, wyjrzała zza uchylonych drzwi.

- Słucham - powiedziała.

NA KARTCE BYŁO NAPISANE "POTRZEBNA POMOC".

- Naprawdę? Naprawdę? Przecież wisi tam chyba od zeszłej zimy.

- PRZEPRASZAM BARDZO. NIE POTRZEBUJE PANI POMOCY?

Zmierzyła go badawczym wzrokiem.

- Ale nie mogę płacić więcej niż sześć pensów tygodniowo. Stojąca nieruchomo w słońcu wysoka postać zdawała się rozważać tę propozycję.

DOBRZE, stwierdziła w końcu.

- Nie wiedziałabym nawet, gdzie miałbyś zacząć pracę. Od trzech lat nie mam żadnego uczciwego pomocnika. Czasem tylko wynajmuję różnych leniwych wałkoni z wioski, kiedy są mi potrzebni.

TAK?

- Czyli zgadzasz się?

MAM KONIA.

Staruszka zerknęła poza przybysza. Na podwórzu stał najbardziej imponujący wierzchowiec, jakiego w życiu widziała. Zmrużyła powieki.

- I to niby twój koń, tak?

TAK.

- Z całym tym srebrem na uprzęży i w ogóle?

TAK.

- I zgadzasz się pracować za sześć pensów tygodniowo?

TAK.

Staruszka ściągnęła wargi. Spoglądała to na przybysza, to na jego konia, to na popadającą w ruinę farmę. Wreszcie chyba powzięła decyzję, być może wnioskując, że ktoś, kto nie posiada koni, nie musi się obawiać koniokrada.

- Będiesz spać w stodole, rozumiesz? - zastrzegła.

SPAĆ? TAK OCZYWIŚCIE. ISTOTNIE, BĘDĘ MUSIAŁ SPAĆ.

- I tak nie mogłabym cię wpuścić do domu. To nie byłoby właściwe.

ZAPEWNIAM PANIĄ, ŻE STODOŁA BĘDZIE CAŁKIEM ODPOWIEDNIA.

- Ale możesz przychodzić do domu na posiłki. DZIĘKUJĘ.

- Nazywam się Flitworth. Panna Flitworth.

TAK

Czekała.

- Spodziewam się, że też masz jakieś nazwisko - odpowiedziała wreszcie.

TAK ZGADZA SIĘ. Znów odczekała chwilę.

- I co?

NIE ROZUMIEM.

- Jak się nazywasz?

Przybysz spoglądał na nią przez chwilę, po czym rozejrzał się nerwowo.

- No, dalej - zachęciła go panna Flitworth. - Przecież nie zatrudnię kogoś, kto nie ma nazwiska. No...? Przybysz spojrzał w górę. NIEBO?

- Nikt nie nazywa się pan Niebo.

PAN... BRAMA? Kiwnęła głową.

- Może być. Może być Brama. Znałam kiedyś takiego, co się nazywał Bramka. No dobrze, panie Brama. A imię? Nie mów mi tylko, że też go nie masz. Musisz być Billem, Tomem, Bruce'em albo jednym z nich.

TAK.

- Co?

JEDEN Z NICH.

- Ale który?

EHM... PIERWSZY?

- Jesteś Bill?

TAK.

Panna Flitworth przewróciła oczami.

- No dobrze, Billu Niebo... - zaczęła.

BRAMO.

- A tak. Przepraszam. No dobrze, Billu Bramo...

PROSZĘ MI MÓWIĆ BILL.

- A ty możesz mi mówić panno Flitworth. Pewnie chciałbyś zjeść kolację?

CHCIAŁBYM? AHA... TAK WIECZORNY POSIŁEK TAK

- Prawdę mówiąc wyglądasz, jakbyś umierał z głodu. A nawet jakbyś już umarł.

Przyjrzała się mrocznej postaci. Nie wiedziała dlaczego, ale trudno było ocenić, jak właściwie wygląda Bill Brama, a nawet przypomnieć sobie dźwięk jego głosu. A przecież był tam i najwyraźniej coś mówił - inaczej jak mogłaby cokolwiek pamiętać z tej rozmowy?

- W okolicy jest wielu ludzi, co nie korzystają z imienia, z którym przyszli na świat - rzekła. - Zawsze powtarzam, że nic nikomu nie przyjdzie z zadawania osobistych pytań. Mam nadzieję, że umiesz pracować, panie Billu Bramo. Wciąż zbieram siano z wysokich łąk, a kiedy nadejdą żniwa, będzie

mnóstwo roboty. Potrafisz używać kosi?

Bili Brama przez chwilę rozważał pytanie.

MYŚLĘ, powiedział w końcu, ŻE ODPOWIEDZIĄ JEST ZDECYDOWANE "TAK", PANNO FLITWORTH.

Gardło sobie Podrzynam Dibbler nigdy nie widział sensu w zadawaniu osobistych pytań, przynajmniej wtedy, kiedy odnosiły się do niego i układały w ogólny schemat "Czy te rzeczy, które sprzedajesz, należą do ciebie?". Nikt jednak nie zjawiał się i nie zgłaszał pretensji, że sprzedają jego własność. Dibblerowi to wystarczało. Od rana sprzedał już ponad tysiąc kuł i musiał wynająć trolla, żeby donosił je z tajemniczego źródła w piwnicy. Ludzie je uwielbiali.

Zasada działania była wręcz śmiesznie prosta i łatwa do opanowania przez przeciętnego obywatela Ankh-Morpork już po kilku nieudanych próbach. Należało potrząsnąć szklaną kulą, a wtedy w zamkniętej wewnątrz cieczy wirowała chmura maleńkich płatków śniegu, które delikatnie osiadały na malutkiej replce jednego ze sławnych zabytków miasta. W niektórych kulach był to Niewidoczny Uniwersytet, w innych Wieża Sztuk, Mosiężny Most albo pałac Patrycjusza. Dokładność modeli budziła podziw.

A potem nagle nie została już ani jedna. Cóż, pomyślał Gardło, szkoda. Ponieważ formalnie nie należały do niego - chociaż moralnie, ma się rozumieć, moralnie były jego - nie mógł właściwie narzekać. To znaczy owszem, mógł narzekać, ale tylko pod nosem i nie zwracając się do nikogo konkretnego. Zresztą, jeśli się zastanowić, to może tak nawet będzie lepiej. Niska cena, duży obrót Lepiej jak najszybciej wypuścić je z rąk - wtedy łatwiej te ręce rozłożyć w geście niewinności towarzyszącemu pytaniu "Kto? Ja?".

Trzeba przyznać, że kule były prześliczne. Z wyjątkiem - co dziwne - napisu. Mieścił się na dolnej powierzchni każdej kuli, wypisany nierównymi literami, jakby przez kogoś, kto nigdy dotąd nie widział pisma i próbował

skopiować wyrazy-. Pod każdą kulą, pod precyzyjnym, zasypanym płatkami modelem budynku, widniały słowa:

Pami tka

Z ankh-morpork

Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, był bezwstydnym autoingredientorem[8]. Miał własny, specjalny stojaczek z zestawem przypraw, który stawiano przed nim przy każdym posiłku. Była tam sól, trzy rodzaje pieprzu, cztery typy musztardy, cztery odmiany octu oraz szesnaście rozmaitych sosów, w tym jego ulubiony wow-wow, mieszanina dojrzałej skumblii, marynowanych ogórków, kaparów, musztardy, mango, fig, tartego wahooni, esencji anchois, asafetydy oraz, co ważne, siarki i saletry dla zwiększenia mocy. Ridcully odziedziczył przepis po wuju, który - po zużyciu pół kwarty sosu do obfitej kolacji - zjadł nieco węgla drzewnego, by uspokoić żołądek, zapalił fajkę, po czym zniknął w tajemniczych okolicznościach, chociaż jego buty następnego lata znaleziono na dachu.

Na lunch podano baraninę na zimno. Baranina dobrze pasowała do sosu wow-wow. W noc śmierci Ridcully'ego seniora przewędrowali razem trzy mile.

Mustrium zawiązał pod szyją serwetkę, zatarł ręce i sięgnął po stojak z przyprawami.

Stojak się odsunął.

Ridcully sięgnął znowu. Stojak odjechał na bok. Ridcully westchnął.

- No dobrze, chłopcy - powiedział. - Znacie zasady. Żadnych czarów

przy stole. Kto znowu gra w durnia?

Inni starsi magowie przyglądali mu się niepewnie.

- Ja... ja... nie sędzę, żebyśmy mogli jeszcze w to grać - odparł kwestor, który w tej chwili jedynie od czasu do czasu sięgał granic normalności. - Obawiam się, że zgubiliśmy kilka pionków...

Rozejrzał się, zachichotał i wrócił do prób rozcięcia swojej porcji baraniny łyżką. Z uwagi na obecny stan kwestora magowie starali się trzymać noże poza jego zasięgiem.

Cały stojak z przyprawami wzniósł się w powietrze i zaczął powoli wirować. A potem eksplodował.

Magowie, ociekający octem i kosztownymi przyprawami, przyglądali się temu, wytrzeszczając oczy jak sowy.

- To chyba sos - próbował zgadywać dziekan. - Zeszłej nocy wyraźnie przechodził w stan krytyczny.

Coś spadło mu na głowę, odbiło się i wylądowało na talerzu. Była to czarna żelazna śruba, długa na kilka cali.

Kolejna spowodowała lekki wstrząs u kwestora.

Po sekundzie czy dwóch trzecia spadła sztorcem na blat tuż obok dłoni nadrektora i wbiła się w drewno.

Wszystkie oczy zwróciły się ku górze.

Wieczorami Główny Hol był oświetlony przez jeden masywny kandelabr, choć słowo to, kojarzone często z migotliwymi szklanymi wisiorami, wydawało się niezbyt adekwatne do wielkiego, ciężkiego, oblepionego woskiem obiektu, który wisiał nad głowami jedzących niczym groźba debetu na koncie. Mógł pomieścić tysiąc świec. I znajdował się bezpośrednio nad stołem starszych magów.

Kolejna śruba brzęknęła o posadzkę obok kominka.

Nadrektor odchrząknął.

- Uciekamy? - zaproponował.

Kandelabr runął.

Odłamki stołu i zastawy uderzyły o ściany. Mordercze woskowe bryły wielkości ludzkiej głowy ze świstem pomknęły przez okna. Cała świeca, z niezwykłą szybkością wypchnięta z chaosu, wbiła się w drzwi na głębokość kilku cali.

Nadrektor wyplątał się z resztek swojego krzesła.

- Kwestor! - ryknął.

Kwestora ekshumowano z kominka.

- Tego... Słucham, nadrektorze - wykrztusił.

- Co to miało znaczyć?

Kapelusz uniósł się Ridcully'emu nad głowę.

Był to typowy spiczasty kapelusz maga z szerokim rondem, dostosowany jednak do aktywnego trybu życia nadrektora. Ridcully powbijał w materiał spławiki do wędki, a za wstążkę wetknął bardzo małą pistoletową kuszę, na wypadek gdyby podczas codziennej przebieżki zobaczył coś wartego ustrzelenia. Uznał też, że spiczasty czubek ma rozmiar akurat odpowiedni dla niewielkiej butelki Very Old Peculiar Brandy Bentincka. Był bardzo przywiązany do swego kapelusza.

Jednak kapelusz nie był już przywiązany do niego.

Dnfował powoli przez salę. Wydawał też cichy, ale wyraźny bulgot.

Nadrektor zerwał się na nogi.

- A niech to! - wrzasnął. - Ta brandy warta jest dziewięć dolarów!

Rzucił się na kapelusz, chybił i leciał dalej, aż wyhamował powoli kilka stóp nad podłogą.

Kwestor nerwowo podniósł rękę.

- Może korniki? - powiedział.

- Jeśli coś takiego się powtórzy - warknął Ridcully - choćby jeszcze raz, słyszycie? Wtedy bardzo się rozzłoszczę!

Opadł na podłogę w tej samej chwili, gdy otworzyły się szerokie drzwi. Do sali wpadł jeden z woźnych, a za nim oddział gwardii pałacowej Patrycjusza.

Kapitan gwardzistów miał minę człowieka, który słowo "cywil" wymawia tym samym tonem co "karaluch".

- Ty tu jesteś szefem? - zmierzył nadrektora wzrokiem. Nadrektor wstał, wygładził szatę i spróbował wygładzić brodę.

- Jestem nadrektorem tego uniwersytetu, zgadza się - odparł.

Kapitan rozejrzał się z zaciekawieniem po sali. Studenci kulili się jak jeden mąż na drugim końcu. Plamy jedzenia pokrywały większą część ścian aż po sufit. Fragmenty mebli leżały wokół szczątków kandelabru niby drzewa wokół Punktu Zero uderzenia meteorytu.

Po chwili odezwał się z niesmakiem kogoś, kto edukację zakończył w wieku dziewięciu lat, ale kto słyszał różne historie...

- Oddajecie się młodzieżowym rozrywkom, co? - domyślił się. - Rzucacie w siebie kanapkami i tym podobne?

- Czy mogę spytać o powody tego najścia? - zapytał zimno Ridcully.

Kapitan oparł się o włócznie.

- No cóż - rzekł. - Sprawa jest prosta. Patrycjusz zabarykadował się w swojej sypialni, ponieważ meble w pałacu pędzą dookoła, że byście nie

uwierzyli, a kucharze nie chcą nawet zajrzeć do kuchni, takie rzeczy się tam wyprawiają...

Magowie starali się nie patrzeć na ostrze włóczni. Zaczynało się powoli odkręcać od drzewca.

- W każdym razie - ciągnął kapitan, nie zwracając uwagi na ciche, metaliczne zgrzyty - Patrycjusz zawołał mnie przez dziurkę od klucza, rozumiecie. I powiada: "Zastanawiam się, Douglas, czyby ci nie przeszkadzało, gdybyś podskoczył na uniwersytet i poprosił ich szefa, żeby zechciał zajrzeć do mnie na chwilę, jeśli nie jest zbyt zapracowany". Ale jeśli chcecie, zawsze mogę wrócić i powiedzieć mu, że jesteście zajęci studenckimi żartami.

Ostrze niemal już spadło z drzewca.

- Słuchacie mnie? - upewnił się podejrzliwie kapitan.

- Hmm... Co? - ocknął się nadrektor, z wysiłkiem odrywając wzrok od włóczni. - Aha. No tak. Mogę was zapewnić, dobry człowieku, że nie jesteśmy przyczyną...

- Auuu!

- Słucham?

- Grot włóczni spadł mi na nogę!

- Doprawdy? - zdziwił się niewinnie Ridcully. Kapitan podskakiwał na jednej nodze.

- Słuchajcie, wy przekłęci handlarze hokus-pokusami! Idziecie czy nie? - zapytał między jednym a drugim podskokiem. - Boss nie jest zadowolony. Wcale nie jest zadowolony.

Ogromny, bezkształtny obłok Życia dryfował nad światem Dysku

niczym woda wzbierająca za tamą, gdy zamknie się kanały odpływowe. Kiedy zabrakło Śmierci i nikt nie odbierał siły życia, choć dobiegało końca, nie miała się ona gdzie podziać.

Tu i tam uziemiała się w przypadkowych fenomenach spirytystycznych, niczym iskry błyskawic przed letnią burzą.

Wszystko, co istnieje, pragnie żyć. Na tym właśnie polega cykl życia. To jest energia, która napędza ogromne biologiczne pompy ewolucji. Wszystko stara się wspiąć wyżej, używając pazurów, macek czy zwyczajnie pełzając do kolejnej niszy, aż wreszcie dostaje się na sam szczyt - który, prawdę mówiąc, jakoś nigdy nie wydaje się wart tego wysiłku.

Wszystko, co istnieje, pragnie żyć. Nawet to, co nie jest żywe, co posiada rodzaj subżycia, życia metaforycznego, niemal życia. A teraz, w ten sam sposób, w jaki okres nagłych upałów prowadzi do rozkwitu niezwykłych i egzotycznych roślin...

W szklanych kulach było coś niezwykłego. Trzeba było wziąć je, potrząsnąć, popatrzeć, jak ślicznie wirują i migoczą śniegowe płatki. Potem zabrać je do domu i postawić nad kominkiem.

I zapomnieć o nich.

Stosunki między Niewidocznym Uniwersytetem i Patrycjuszem, absolutnym władcą i niemal dobroczynnym dyktatorem Ankh-Morpork, były złożone i subtelnej natury.

Magowie utrzymywali, że jako słudzy wyższej prawdy nie podlegają przyziemnym prawom miejskim.

Patrycjusz zgadzał się, że tak jest w istocie, ale - do licha - mają płacić podatki jak każdy.

Magowie twierdzili, że jako podążający za światłem mądrości nie są

winni posłuszeństwa żadnemu śmiertelnemu.

Patrycjusz przyznawał, że może to być prawda, jednak są winni miastu podatek w wysokości dwustu dolarów od głowy rocznie, płatny w ratach kwartalnych.

Magowie argumentowali, że uniwersytet stoi na gruncie magicznym i jest zatem wyłączony z podatków, a zresztą i tak nie da się opodatkować wiedzy.

Patrycjusz odpowiadał, że da się. I że wynosi to dwieście dolarów per capita, a jeśli per capita stanowi jakiś problem, to można bez trudu zorganizować decapita.

Magowie przypominali, że uniwersytet nigdy nie płacił podatków żadnym cywilizowanym władcom.

Patrycjusz zaznaczał, że nie upiera się przy cywilizowanych zachowaniach.

Magowie pytali, co ze szczególnym złagodzeniem wymagań.

Patrycjusz wyjaśniał, że właśnie mówi o szczególnie złagodzonych wymaganiach. Nie chcieliby się przekonać, jakie są wymagania surowe?

Magowie wspominali, że był taki władca, zaraz, to chyba w Stuleciu Wązki, który usiłował nakazywać uniwersytetowi, co ma robić. Patrycjusz może przyjść i go sobie obejrzyć, jeśli ma ochotę.

Patrycjusz zapewniał, że to zrobi. Naprawdę to zrobi.

W końcu zgodzono się, że chociaż magowie - oczywiście - nie płacili żadnych podatków, dokonywali jednak całkowicie dobrowolnej wpłaty wysokości, powiedzmy, no, dwustu dolarów od głowy, z czystej uprzejmości, mutatis mutandis, bez dodatkowych warunków, do wykorzystania w celach ściśle niemilitarnych i akceptowalnych ekologicznie.

Taka właśnie dynamiczna gra sił czyniła Ankh-Morpork miejscem interesującym, stymulującym, a przede wszystkim wściekle niebezpiecznym

do życia[9].

Starsi magowie nieczęsto wędrowali po tym, co przewodnik "Witajcie w Ankh-Morpork" prawdopodobnie określał jako gwarne ulice i malownicze zaułki miasta. Natychmiast jednak zauważyli, że dzieje się coś dziwnego. Nie chodzi o to, że brukowce na ogół nie fruwią w powietrzu, lecz o to, że zwykle najpierw ktoś nimi rzuca. Normalnie nie szybują same z siebie.

Jakieś drzwi otworzyły się nagle i wybiegło przez nie ubranie z parą butów tańczących z tyłu i kapeluszem pływającym kilka cali nad pustym kołnierzem. Za ubraniem biegł chudy mężczyzna, który za pomocą urwanego naprędcy kawałka flaneli usiłował osiągnąć to, co zwykle wymaga pary spodni.

- Wracaj natychmiast! - wrzeszczał, kiedy skręcali za róg. -Wciąż jestem za ciebie winien siedem dolarów!

Druga para spodni wybiegła na ulicę i pomknęła za nimi.

Magowie zbili się w ciasną grupkę niby przerażone zwierzę o pięciu spiczastych głowach i dziesięciu nogach. Zastanawiali się, kto pierwszy wygłosi jakiś komentarz.

- To wściekle dziwne - stwierdził w końcu nadrektor.

- Hmm? - odparł dziekan, próbując zasugerować, że praktycznie codziennie widuje dziwniejsze rzeczy i że zwracanie przez nad-rektora uwagi na zwykle biegnące samodzielnie ubranie jakoś zawstydzają całą społeczność magów.

- Daj pan spokój. Niewiele znam tu krawców, którzy dorzuciliby drugą parę spodni do ubrania za siedem dolarów.

- Aha - mruknął dziekan.

- Gdyby znów tu przebiegało, spróbujcie podłożyć mu nogę, żeby

mógł obejrzeć metkę.

Prześcieradło wysunęło się z okna na piętrze i trzepocząc pofrunęło nad dachami.

- Wiecie - odezwał się wykładowca run współczesnych, starając się mówić spokojnie i ze swobodą. - Nie sądzę, żeby działała tu magia. To nie robi wrażenia magii.

Pierwszy prymus sięgnął do jednej z głębokich kieszeni swej szaty. Rozległy się stłumione brzęki, szelesty, kilka cichych zgrzytów. Po chwili tryumfalnie wyjął szklany sześcian z tarczą na jednej ścianie.

- Nosisz coś takiego w kieszeni? - oburzył się dziekan. - Taki cenny instrument?

- A co to jest, do demona? - zdziwił się Ridcully.

- Niezwykle czułe urządzenie pomiarowe - wyjaśnił dziekan. - Mierzy gęstość pola magicznego. Thaumometr.

Pierwszy prymus z dumą uniósł sześcian i nacisnął umieszczony z boku przycisk.

Wskazówka na tarczy zadrżała lekko i znieruchomiała.

- Widzicie? Tylko naturalne tło, całkiem niegroźne dla ludzi.

- Głośniej - poprosił nadrektor. - Nic nie słyszę w tym hałasie. Trzaski i krzyki dobiegły nagle z domów po obu stronach ulicy.

Pani Evadne Cake była medium. Raczej drobnym. Nie było to kłopotliwe zajęcie. Niewielu z tych, którzy umierali w Ankh-Morpork, zdradzało chęć pogawędki z pozostałymi przy życiu krewnymi. Ich mottem było chyba Jak najwięcej mistycznych wymiarów między mną a nimi". Wolny czas pani Cake poświęcała więc krawiectwu i pracom w kościele.

Dowolnym kościele. Była bardzo gorliwą wyznawczynią - na swoich własnych warunkach.

Evadne Cake nie należała do tych mediów, które preferują zasłony z paciorków i kadzidło - po części dlatego że nie lubiła kadzidła, ale przede wszystkim dlatego że była znakomita w swym fachu. Dobry iluzjonista potrafi zachwycić widzów prostym pudełkiem zapalek albo całkiem zwyczajną talią kart - jeśli zechce je pan obejrzeć, drogi panie, przekona się pan, że to całkiem zwyczajna talia kart- i nie potrzebuje żadnych składanych stolików, które mogą przyciąć komuś palce, ani cylindrów z podwójnym dnem, niezbędnych prestidigitatorom niższej klasy. Z podobnych przyczyn nie potrzebowała rekwizytów pani Cake. Nawet solidną kryształową kulę postawiła wyłącznie dla wywarcia wrażenia na klientach. Pani Cake potrafiłaby odczytać przyszłość z talerza owsianki[10]. Umiała doznać objawienia, patrząc na patelnię podsmażonego bekonu. Całe życie gmerała w świecie duchów, choć w jej przypadku nie jest to odpowiednie określenie. Nie należała do tych, co gmerają. Należała do tych, co głośno tupiąc, wkraczają do świata duchów i żądają spotkania z dyrekcją.

W tej chwili, przygotowując śniadanie i krojąc psią karmę dla Ludmiły, zaczęła słyszeć głosy.

Były bardzo ciche. Nie na samej granicy słyszalności, ponieważ głosów tych normalne ucho nie słyszy wcale. Rozbrzmiewały jej w głowie.

...uważaj, co robisz... gdzie jestem... przestańcie się rozpychać...

Po chwili umilkły.

Zastąpiło je dobiegające z sąsiedniego pokoju ciche zgrzytanie. Pani Cake odsunęła swoje jajko na miękko i przeszła przez zasłonę z paciorków.

Dźwięk dobiegał spod prostej jutowej narzuty, pod którą stała kryształowa kula.

Pani Cake wróciła do kuchni i wybrała ciężką patelnię. Raz czy dwa machnęła nią energicznie, żeby wyczuć ciężar, po czym na palcach podeszła do kryształowej kuli pod narzutą.

Wznosząc patelnię, by zaatakować, cokolwiek nieprzyjemnego się pojawi, zrzuciła materiał.

Kula obracała się wolno na podstawce.

Pani Cake przyglądała się jej przez chwilę. Potem zaciągnęła story, usiadła na krześle i nabrała tchu.

- Jest tam ktoś? - zapytała. Zapadła się większa część sufitu.

Po kilku minutach wysiłków Evadne Cake zdołała wysunąć głowę nad gruzy.

- Ludmiła!

W korytarzu rozległy się miękkie kroki i coś wbiegło od strony podwórza. Miało wyraźne i atrakcyjne kobiece kształty i nosiło całkiem zwyczajną sukienkę. Jednak cierpiało także na nadmiar owłosienia, którego nie potrafiłyby usunąć wszystkie delikatne różowe maszynki z żyłkami na świecie. Poza tym sprawiała wrażenie, że zęby i paznokcie w tym sezonie nosi się długie. Można by się spodziewać, że stworzenie zawarczy, ale odezwało się miłym i zdecydowanie ludzkim głosem.

- Mamo?

- Tu jestem!

Przerażająca Ludmiła podniosła ciężką belkę i bez wysiłku odrzuciła ją na bok.

- Co się stało? Nie miałaś włączonego przeczucia?

- Wyłączyłam, żeby porozmawiać z piekarzem. Ojej, ale się wystraszyłam.

- Zrobię ci filiżankę herbaty, dobrze?

- Nie. Wiesz, że kiedy przychodzi twój Czas, zawsze rozgniatasz filiżanki.

- Już coraz rzadziej...

- Dzielna dziewczynka. Ale sama zrobię herbatę. Dziękuję ci. Evadne Cake wstała i otrzepała fartuch z tynku.

- Krzyknęli - oznajmiła. - Krzyknęli wszyscy naraz!

Modo, uniwersytecki ogrodnik, pielł właśnie kwietnik z różami, kiedy starożytny aksamitny trawnik tuż obok wyrzucił się nagle i wypuścił pędy odpornej, wieloletniej odmiany Windle'a Poonsa, mrugającego niepewnie oczami w świetle dnia.

- Czy to ty, Modo?

- Zgadza się, panie Poons - potwierdził krasnolud. - Pomóc panu wyjść?

- Dziękuję, chyba sam sobie poradzę.

- Mam w szopie szpadel, gdyby pan potrzebował...

- Nie, nie. Wszystko w porządku. - Windle wyciągnął nogi z ziemi i otrzepał szatę. - Przepraszam za twój trawnik - dodał, spoglądając na dziurę w ziemi.

- Nie ma o czym mówić, panie Poons.

- Długo trzeba pracować, żeby doprowadzić go do takiego stanu?

- Myślę, że jakieś pięćset lat.

- Ojej... Strasznie mi przykro. Mierzyłem w piwnice, ale chyba zmyliłem kierunek.

- Proszę się nie martwić, panie Poons - pocieszył go krasnolud. - I tak wszystko rośnie jak zwariowane. Zakopię to jeszcze dzisiaj, rzucę trochę

nasion, a pięćset lat przeleci jak z bicia trząsk. Sam pan zobaczy.

- Sytuacja jest taka, że chyba rzeczywiście zobaczę - mruknął smętnie Windle. Rozejrzał się. - Czy jest tu gdzieś nadrektor?

- Widziałem, że wszyscy poszli do pałacu - wyjaśnił ogrodnik.

- W takim razie szybko się wykupię i przebiorę. Nie chciałbym nikomu przeszkadzać.

- Słyszałem, że nie tylko pan umarł, ale wręcz pana pochowali - zawołał jeszcze Modo, kiedy Windle oddalał się, powłócząc nogami.

- To prawda.

- Porządnego człowieka nie da się pogrzebać, co? Windle obejrzał się.

- A przy okazji... Gdzie jest ulica Wiązów? Modo poskrobał się za uchem.

- Czy to nie boczna od Kopalni Melasy?

- A tak, przypominam sobie.

Modo wrócił do pielienia.

Nie przejął się specjalnie okresową naturą śmierci Windle'a Poonsa. W końcu drzewa zimą też wyglądały na martwe, ale każdej wiosny rozkwitały na nowo. Wyschnięte nasiona trafiały do ziemi i wyrastały z nich świeże młode pędy. Praktycznie rzecz biorąc, nic nie umierało na długo. Weźmy na przykład taki kompost.

Modo wierzył w kompost z taką samą pasją, z jaką inni wierzyli w bogów. Jego przyzmy kompostu falowały, fermentowały i fosforyzowały słabo w ciemności, być może dzięki tajemniczym, możliwe że nielegalnym składnikom, jakie Modo tam dodawał, chociaż nigdy niczego mu nie udowodniono. Zresztą nikt nie zamierzał ich rozkopywać, żeby sprawdzić, co jest w środku.

Same martwe odpadki, a przecież w pewnym sensie żywe. I rosły na nich róże. Pierwszy prymas wytłumaczył Modowi, że róże rosły tak wysoko, ponieważ na tym polega cud istnienia. Jednak Modo osobiście uważał, że próbują jak najbardziej oddalić się od kompostu.

Jego przyzmy czekała dzisiaj prawdziwa uczta. Chwasty kwitły nad podziw pięknie. Nigdy jeszcze nie widział, żeby rośliny wyrastały tak szybko i tak obficie. To na pewno przez kompost, uznał Modo.

Kiedy magowie dotarli do pałacu, panował tam straszliwy rozgardiasz. Elementy umeblowania dryfowały pod sklepieniami. Ławica sztuków, niby płynące w powietrzu srebrzyste płotki, przemknęła obok głowy nadrektora i zniknęła w głębi korytarza. Zdawało się, że w budynku szaleje selektywny i uporządkowany huragan.

Inni byli już na miejscu. Wśród nich wyróżniała się grupa ludzi ubranych całkiem podobnie do magów, chociaż wyćwiczone oko natychmiast dostrzegało pewne istotne różnice.

- Kapłani? - zdziwił się dziekan. - Przed nami? Obie grupy zaczęły dyskretnie przyjmować pozycje pozostawiające swobodę ruchów.

- Na co komu oni? - zapytał pierwszy prymas. Nastąpił wyraźny spadek metaforycznej temperatury.

Falujący dywan przefrunął obok nich.

Nadrektor spojrzał w oczy potężnego arcykapłana Ślepego Io, który - jako najważniejszy sługa najważniejszego boga w chaotycznym panteonie świata Dysku - pełnił w Ankh-Morpork funkcję najbliższą rzecznika spraw religijnych.

- Łatwowierni durnie - mruknął pierwszy prymas.

- Bezbożni majsterkowicze - odezwał się chudy akolita, wyglądając zza

barów arcykapłana.

- Naiwni idioci!
- Ateistyczne męty!
- Służalczy kretyni!
- Dziecinni magicy!
- Krwiożerczy kapłani!
- Wścibscy magowie!

Ridcully uniósł brew. Arcykapłan ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Odsunęli się od obu grup, z bezpiecznej odległości obrzucających się wyzwiskami, i nonszalanckim krokiem przeszli do stosunkowo cichej części sali. Tam, pod statuą jednego z przodków Patrycjusza, stanęli twarzą w twarz.

- No tak... Jak idzie interes zawracania głów bogom? - spytał Ridcully.
- Z pokorą staramy się jak najlepiej. A jak tam niebezpieczne mieszanie się w sprawy nieprzeznaczone ludzkiemu rozumowi?
- Całkiem nieźle, całkiem nieźle... - Ridcully zdjął kapelusz i sięgnął do spiczastej części. - Mogę zaproponować ci kropelkę czegoś mocniejszego?
- Alkohol to trucizna dla ducha. Może papierosa? Słyszałem, że zwykle ulegacie temu nałogowi.
- Nie ja. Gdybym ci powiedział, co takie rzeczy robią z płucami... Ridcully odkręcił sam czubek kapelusza i nalał do niego solidną porcję brandy.
- Do rzeczy - mruknął. - Co się właściwie dzieje?
- Ostatnio ołtarz wzleciał w powietrze i spadł na nas.

- U nas kandelabr się odkręcił. Wszystko samo się odkręca. I wiesz, po drodze tutaj widzieliśmy biegnące ulicą ubranie... Dwie pary spodni za siedem dolarów!

- Hmm... Obejrzałeś metkę?

- W dodatku wszystko pulsuje. Zauważyłeś, jak wszystko pulsuje?

- Myśleliśmy, że to wasza sprawka.

- To nie magia. Jak przypuszczam, bogowie nie są bardziej niż zwykle rozgniewani?

- Najwyraźniej nie.

Arcykapłan przysunął się odrobinę.

- Mam chyba dość siły ducha, by opanować i zwalczyć odrobinę trucizny - powiedział. - Nie czułem się tak, odkąd pani Cake należała do mojej trzódki.

- Pani Cake? Kto to jest pani Cake?

- Wy macie... przerażające Stwory z Piekielnych Wymiarów i różne takie, prawda? Straszliwe zagrożenia waszej bezbożnej profesji? - spytał arcykapłan.

-Tak.

- A my mamy kogoś, kto nazywa się pani Cake. Ridcully spojrzał na niego zdziwiony.

- Nie pytaj. - Kapłan zadrżał. - Bądź wdzięczny losowi, że nie będziesz musiał jej poznać.

Ridcully bez słowa podał mu brandy.

- A tak między nami - podjął kapłan. - Masz jakieś pomysły co do tego wszystkiego? Gwardziści starają się wydobyć jego lordowską mość. Wiesz,

że zażąda odpowiedzi. A ja nie jestem nawet pewien, czy znam pytania.

- Nie magia i nie bogowie - rzekł Ridcully. - Mogę dostać z powrotem tę truciznę? Dziękuję. Nie magia i nie bogowie. Niewiele pozostaje, prawda?

- Chyba nie jest to jakaś odmiana magii, o której nie wiecie?

- Jeśli jest, nic o niej nie wiemy.

- To rozsądne - zgodził się kapłan.

- A może bogowie próbują na boku czegoś bezbożnego? - zapytał Ridcully, chwytając się ostatniej szansy. - Może paru z nich posprzeczało się trochę albo co? Ktoś się bawił złotymi jabłkami?

- Na boskim froncie panuje wyjątkowy spokój - odparł arcykapłan. Oczy zaszklily mu się lekko, jakby odczytywał święty tekst we własnej głowie. - Hyperopia, bogini butów, uważa, że Sandelfon, bóg korytarzy, jest dawno zaginionym bratem bliźniakiem Grune'a, boga owoców rosnących poza sezonem. Kto położył kozła do łóżka Offlera, boga krokodyla? Czy Offler dąży do przymierza z Siedmiorekim Sękiem? Tymczasem Hoki Dowcipniś wciąż próbuje swoich starych sztuczek...

- Tak, wystarczy - przerwał mu Ridcully. - Jakoś nigdy nie mogłem w sobie wzbudzić zainteresowania tymi plotkami.

Za nimi dziekan usiłował powstrzymać wykładowcę run współczesnych przed próbą zamiany kapłana Offlera, boga krokodyla, w komplet walizek, a kwestor krwawił z nosa po trafieniu kadzielnica.

- W tej chwili musimy prezentować jednolity front - stwierdził nadrektor. - Mam rację?

- Zgoda - odparł arcykapłan.

- Przynajmniej na razie.

Niewielki dywanik przemknął, falując, na poziomie oczu. Arcykapłan oddał butelkę brandy.

- A przy okazji... Mama się skarży, że ostatnio nie pisujesz - powiedział.

- No tak... - Magowie byliby zdumieni, widząc pełne skruchy zakłopotanie swego nadrektora. - Miałem masę roboty. Wiesz, jak to jest...

- Kazała ci przypomnieć, że oczekuje nas obu na obiedzie w Noc Strzeżenia Wiedźm.

- Nie zapomniałem - zapewnił przybity Ridcully. - Nie mogę się doczekać.

Zwrócił się w stronę coraz gwałtowniejszego starcia.

- Przestańcie, chłopcy! - zawołał.

- Bracia! Powstrzymajcie się! - ryknął arcykapłan.

Pierwszy prymus uwolnił z uchwytu głowę najwyższego kapłana kultu Hinki. Dwóch wikarych przestało kopać kwestora. Nastąpiło ogólne wygładzanie szat, poszukiwanie kapeluszy i wybuch zakłopotanych chrząknięć.

- Teraz lepiej - stwierdził Ridcully. - Otóż Jego Eminencja Arcykapłan i ja postanowiliśmy...

Dziekan spojrzał wściekle na bardzo niskiego biskupa.

- On mnie kopnął! Kopnąłeś mnie!

- Ooo! Nigdy w życiu, mój synu.

- Kopnąłeś jak lichy! - syknął dziekan. - Z boku, żeby nikt nie widział.

- ...postanowiliśmy... - powtórzył Ridcully, piorunując dziekana wzrokiem - poszukiwać rozwiązania obecnych niepokojów w duchu braterstwa i dobrej woli. I dotyczy to także pana, pierwszy prymusie!

- Nic nie mogłem poradzić! Popchnął mnie!

- Coś podobnego! Obyś zyskał wybaczenie - rzekł z godnością archidiakon Thrume.

Coś trzasnęło na piętrze. Szezlong zbiegł po schodach i przebił się przez drzwi.

- Mam wrażenie, że gwardziści nadal próbują uwolnić Patrycjusza - domyślił się arcykapłan. - Najwyraźniej nawet jego tajne przejścia są zablokowane.

- Wszystkie? - zdziwił się Ridcully. - Myślałem, że ten przebiegły diabeł ma wszędzie.

- Zablokowane - powtórzył kapłan. - Wszystkie.

- Prawie wszystkie - odezwał się głos za jego plecami.

Ridcully odwrócił się. Jakaś postać najwyraźniej wyszła ze ściany. Ludzka postać, ale tylko z braku innych możliwości. Chudy, blady, odziany w przykurzoną czerń Patrycjusz zawsze przypominał Ridcully'emu drapieżnego flaminga, gdyby tylko udało się znaleźć flaminga, który jest czarny i cierpliwy jak skała.

- Och... Lordzie Yetinari - powiedział rektor Niewidocznego Uniwersytetu. Jego głos nie zmienił się prawie, jeśli nie liczyć sporego dodatku słodczy. - Cieszę się, że nie odniósł pan żadnej szkody.

- Przyjmę panów w Podłużnym Gabinetecie - poinformował Patrycjusz. Tuż za nim panel w ścianie bezgłośnie opadł na miejsce.

- Ja... tego... Zdaje się, że kilku gwardzistów na górze próbuje uwolnić... - zaczął arcykapłan.

Patrycjusz machnął lekceważąco wąską dłonią.

- Nie śmiałybym im przeszkadzać - rzekł. - Daje im to jakieś zajęcie, a także poczucie własnej ważności. Gdyby nie to, musieliby przez cały dzień stać nieruchomo, wyglądać groźnie i panować nad swoimi pęcherzami. Chodźmy, panowie.

Przywódcy pozostałych gildii Ankh-Morpork zjawiali się . pojedynczo lub parami, stopniowo wypełniając gabinet. Patrycjusz z ponurą miną przeglądał papiery na swoim biurku, słuchając ich tłumaczeń.

- To nie my - zapewnił przewodniczący alchemików.

- Zwykle, kiedy bierzecie się do pracy, rzeczy fruwią w powietrzu - zauważył Ridcully.

- Tak, ale tylko z powodu nieprzewidzianych reakcji egzotermicznych - wyjaśnił alchemik.

- Rzeczy zwykle wybuchają - przetłumaczy! jego zastępca, nie podnosząc głowy.

- Rzeczy mogą wylatywać w powietrze, ale zwykle spadają potem na ziemię. Nie fruwią dookoła ani, na przykład, nie zaczynają się odkręcać - dodał jego szef, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie. - Zresztą dlaczego mielibyśmy sami sobie szkodzić? Mówię wam, w mojej pracowni rozpętało się prawdziwe piekło! Wszędzie coś przelatuje! Właśnie miałem wychodzić, kiedy duże i bardzo kosztowne szklane naczynie rozpadło się na kawałki!

- Weselmy się! To była wybuchowa dyskusja! - zabrzmiał znękany głos.

Zebrani rozstapili się, by przepuścić Sekretarza Generalnego i Głównego Dupka Gildii Błaznów i Trefnisiów. Drgnął, czując na sobie ich wzrok, ale i tak zwykle drżał przez cały czas. Wyglądał na człowieka, który był Punktem Zero dla zbyt wielu torów, którego spodnie zbyt często spływały białą farbą, którego opanowanie rozpada się w strzępy od jednego dźwięku trąbki. Pozostali przywódcy gildii starali się być dla niego mili, tak jak ludzie starają się być mili dla innych, którzy stoją na gzymsach bardzo wysokich budynków.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Geoffrey? - zapytał Ridcully tak łagodnie, jak tylko potrafił. Błazen przełknął ślinę.

- Widzicie - wymamrotał - mamy tu wybuchową, bo wybuchła retorta, więc powstaje gra słów z wybuchową dyskusją, co oznacza gorącą i głośną, a na pewno było tam głośno. Wybuchowa dyskusja, rozumiecie? Gra słów. Taki żart. Ehm... Chyba nie najlepszy...

Nadrektor spojrzał prosto w oczy podobne do dwóch jajek na miękko.

- Och, żart - powiedział. - Oczywiście. Ho, ho, ho... Zachęcająco skinął na pozostałych.

- Hohoho - zaśmiał się arcykapłan.

- Hohoho - dołączył do niego przywódca Gildii Skrytobójców.

- Hohoho - dodał szef alchemików. - A najzabawniejsze, że ona rozpadła się całkiem cicho.

- Próbujecie więc mnie przekonać - odezwał się Patrycjusz, kiedy litościwe dłonie odprowadziły błazna na bok - że żaden z was nie jest odpowiedzialny za te wydarzenia?

Mówiąc, zerkał znacząco na Ridcully'ego.

Nadrektor miał właśnie odpowiedzieć, kiedy kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie na biurku Patrycjusza. Stała tam nieduża szklana kula z modelem pałacu. A obok leżał nóż do papieru.

Nóż wyginał się powoli.

- I co? - spytał Patrycjusz.

- To nie my - odparł głuchym głosem nadrektor.

Patrycjusz podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Nóż był już wygięty niczym łuk.

Patrycjusz przebiegł wzrokiem po zebranych, aż odnalazł kapitana Doxie z dziennej zmiany Straży Miejskiej.

- Możecie coś z tym zrobić?

- Ehm... Na przykład co, sir? Nóż? Tego... Mógłbym go chyba aresztować za bycie krzywym.

Yetinari gestem rozpaczy podniósł obie ręce.

- No tak! Nie magia! Nie ludzie! Więc co to jest? I kto może to powstrzymać? Do kogo mam się zwrócić?

Pół godziny później szklana kula z modelem pałacu zniknęła. Nikt tego nie zauważył. Nigdy nikt tego nie zauważa.

Pani Cake wiedziała, do kogo ma się zwrócić.

- Jesteś tam, Człowieku-Wiadro? - zawołała. I uchyliła się, na wszelki wypadek. Piskliwy, nadąsany głos przesączył się z powietrza. gdzie pani była? nie mogę się ruszyć!

Pani Cake przygryzła wargę. Taka bezpośrednia odpowiedź oznaczała, że jej przewodnik duchowy się niepokoi. Gdy nic go nie martwiło, przez pięć minut opowiadał o bizonach i wielkich białych zjawiskach spirytystycznych. Chociaż gdyby Człowiek-Wiadro znalazł się kiedyś koło białego obiektu spirytystycznego, to by go wypił. Można się tylko domyślać, co by zrobił z bizonem. W dodatku cały czas wtrącał do rozmowy różne "um" i "hou".

- O co ci chodzi?

była jakaś katastrofa albo co? jakaś dziesięciosekundowa zaraza?

- Nie, raczej nie.

zrobił się tutaj straszny ścisk, co ich wszystkich zatrzymuje?

- Nie rozumiem.

zamknijcie się, ale już! próbuję rozmawiać z damą! wy tam, możecie trochę ciszej? ach tak? i kto to mówi...

Pani Cake zdała sobie sprawę z innych głosów, próbujących go zagłuszyć.

- Człowieku-Wiadro!

pogański dzikus to niby ja? a wiesz, co pogański dzikus ma ci do powiedzenia? co? posłuchaj no, tkwię tu już ponad sto lat! nie muszę wysłuchiwać takich rzeczy od kogoś, kto jest jeszcze ciepły! no tak - tego już za wiele, ty...

Jego głos ucichł.

Pani Cake potrząsnęła głową.

Głos zabrzmiał znowu.

...ach tak? tak? cóż, może i byłeś ważny za żyda, przyjacielu, ale tutaj jesteś zwykłym prześcieradłem z dwoma dziurami! co, to ci się nie spodobało, tak?

- On znowu zacznie bójkę, mamó - odezwała się Ludmiła, zwinięta w kłębek przy piecu. - Zawsze nazywa ludzi "przyjaciółmi", kiedy chce ich uderzyć.

Pani Cake westchnęła.

- I brzmi to, jakby zamierzał bić się z wieloma ludźmi - dodała Ludmiła.

- No dobrze... Przynieś mi jakąś wazę. Ale pamiętaj, z tych tańszych.

Powszechnie się podejrzewa, choć mało kto wie na pewno, że każdy obiekt posiada związaną z nim formę duchową, która - po zgonie obiektu - istnieje przez krótki czas w wąskiej szczelinie między światami żywych i

martwych. To ważna informacja.

- Nie, nie tę. Ta należała do twojej babci.

To duchowe istnienie nie trwa długo bez świadomości, która mogłaby je podtrzymać, ale zależnie od tego, jakie ma się plany, może potrwać akurat wystarczająco długo.

- Ta może być. Wzorek nigdy mi się nie podobał. Pani Cake odebrała z łap córki pomarańczową wazę w różowe piwonie.

- Jesteś tam jeszcze, Człowieku-Wiadro? - upewniła się. ...pożałujesz dnia, kiedy umarłeś, ty skamlący...

- Łap.

Cisnęła wazę w palenisko i roztrzaskała ją na kawałki.

Po chwili z Tamtego Świata rozległ się nowy odgłos. Gdyby bezcielesny duch walnął innego bezcielesnego ducha widmem wazy, tak właśnie by to zabrzmiało.

i tyle, rzekł Człowiek-Wiadro. a tam, skąd to wziąłem, jest jeszcze sporo innych, jasne?

Obie panie Cake, matka i córka, pokiwały głowami.

Kiedy Człowiek-Wiadro znów się odezwał, jego głos aż ociekał samozadowoleniem.

drobna sprzeczka na temat starszeństwa, wyjaśnił, musieliśmy jakoś podzielić przestrzeń osobistą, mamy tu sporo kłopotów, pani Cake. czuję się jak w poczekalni...

Zabrzmiął gwar bezcielesnych głosów.

... może pan i przekazać wiadomość do...

...proszę jej powiedzieć, że na gzymsie w kominie leży worek

pieniędzy...

...Agnes nie powinna dostać tej zastawy po tym, co powiedziała o naszej Molly...

... nie zdążyłem nakarmić kota, czy ktoś mógłby...

cisza! zamknijcie się! To znowu odezwał się Człowiek-Wiadro. o niczym nie macie pojęcia, to ma być mowa duchów? a co się stało z "jestem tu bardzo szczęśliwy i nie mogę się doczekać, kiedy do mnie dołączysz"?

słuchaj no, jeśli jeszcze ktoś do nas dołączy, będziemy stać sobie na głowach!

nie o to chodzi, wcale nie o to chodzi, przecież tłumaczę, że kiedy jest się duchem, są pewne rzeczy, które należy powiedzieć, pani Cake...

- Słucham?

musi pani kogoś o tym powiadomić.

Pani Cake skinęła głową.

- Teraz idźcie stąd wszyscy - poleciła. - Zaczyna mnie męczyć ból głowy.

Kryształowa kula przygasła.

- I co? - spytała Ludmiła.

- Nie mam zamiaru mówić o tym żadnym kapłanom - oświadczyła stanowczo pani Cake.

Nie chodzi o to, że pani Cake nie była kobietą religijną. Jak już wspomniano, była niezwykle religijna. Nie istniała w mieście świątynia, kościół, meczet czy niewielka grupa stojących sztorcem głazów, gdzie nie bywała w tym czy innym okresie. W rezultacie budziła wśród kapłanów strach większy niż epoka Oświecenia; sam widok jej korpulentnej postaci na progu wystarczał, by nieruchomieli jak martwi, przerywając inwokacje w pół

słowa.

Martwi... W tym właśnie problem. Wszystkie religie miały bardzo mocno ugruntowane opinie na temat rozmów z umarłymi. Podobnie jak pani Cake. One twierdziły, że to grzeszne zajęcie. Pani Cake uważała, że to zwykła uprzejmość.

Ta różnica zdań prowadziła zwykle do gwałtownego eklezja-stycznego sporu, w trakcie którego pani Cake przekazywała odpowiedniemu kapłanowi swoją opinię. Tych opinii przekazała już wiele i można tylko się dziwić, że jeszcze jakieś jej pozostały. Jednak, co jeszcze dziwniejsze, im częściej pani Cake swoje opinie przekazywała, tym były bardziej stanowcze.

Pojawiała się także kwestia Ludmiły. Ludmiła stanowiła poważny problem. Zmarły pan Cake, niechodpoczywawspokoju, przez całe życie nawet nie gwizdnął na księżyc, a pani Cake żywiła mroczne podejrzenia, że Ludmiła jest nawrotem do dalekiej przeszłości rodu żyjącego kiedyś w górach. A może w dzieciństwie zaraziła się genetyką? Pani Cake była prawie pewna, że jej matka czyniła kiedyś pewne aluzje, jakoby wuj Erazm czasami musiał jadać posiłki pod stołem. Tak czy siak, przez trzy tygodnie z czterech Ludmiła była przyzwoitą, uczciwą młodą kobietą, natomiast przez resztę czasu bardzo dobrze wychowanym kudłatym wilkiem.

Kapłani[11] często nie chcieli tego zrozumieć. A że pani Cake, zanim poróżniła się z tymi, którzy w danej chwili pośredniczyli między nią a bogami, samą siłą swej osobowości przejmowała zwykle układanie kwiatów, odkurzanie ołtarza, szorowanie kamienia ofiarnego, honorowe przewodnictwo świętych dziewic, cerowanie narzut na klęczniki i wszelkie inne kluczowe religijne funkcje pomocnicze, jej odejście powodowało całkowity7 chaos. Pani Cake zapięła płaszcz.

- To się nie uda - stwierdziła Ludmiła.

- Spróbuję z magami. Powinni się dowiedzieć - oświadczyła pani Cake. Aż dygotała od poczucia własnej ważności, jak mała i wzburzona piłka.

- Tak, ale sama mówiłaś, że nigdy nie słuchają - przypomniała Ludmiła.

- Muszę spróbować. A poza tym, dlaczego nie jesteś w swoim pokoju?
- Och, mamó... Wiesz, że nie znoszę tego pokoju. Nie ma potrzeby...
- Nigdy dość ostrożności. Przypuśćmy, że nagle przyjdzie ci do głowy, żeby gonić za kurczakami sąsiadów? Co wtedy powiedzą?
- Nigdy nie czułam nawet najmniejszej ochoty, żeby gonić kurczaki, mamó - odparła ze znużeniem dziewczyna.
- Albo biegać za powozami i szczekać.
- To robią psy, mamó.
- Po prostu wracaj do swojego pokoju, zamknij drzwi na klucz i zajmij się szyciem jak grzeczna dziewczynka.
- Wiesz dobrze, mamó, że nie umiem dobrze trzymać igły.
- Postaraj się. Dla mamusi.
- Dobrze, mamó - zgodziła się Ludmiła.
- I nie podchodź do okna. Nie chcemy przecież niepokoić ludzi.
- Tak, mamó. A ty pamiętaj, by twoje przeczucie działało. Wiesz dobrze, że wzrok masz już nie taki jak kiedyś.

Pani Cake odczekała, aż córka wejdzie na piętro. Potem zamknęła za sobą frontowe drzwi i pomaszerowała w kierunku Niewidocznego Uniwersytetu, gdzie - jak słyszała - dzieje się mnóstwo wszelkiego rodzaju nonsensów.

Ktokolwiek obserwowałby ruch pani Cake po ulicy, musiałby zauważyć jeden czy dwa niezwykle szczegóły. Mimo jej nierównego kroku, nikt na nią nie wpadał. Ludzie nie unikali jej - po prostu nie było jej tam, gdzie się znajdowali. W pewnym momencie zawahała się i skręciła w boczny zaułek. Po chwili z rozładowywanego przed tawerną wozu stoczyła się beczka i roztrzaskała o bruk w miejscu, gdzie dotarłaby pani Cake.

Tymczasem ona wyszła z zaułka i przekroczyła szcztątki, mruczając coś pod nosem.

Pani Cake często mruczała do siebie. Jej wargi poruszały się bezustannie, jak gdyby próbowała usunąć jakąś upartą pestkę, która tkwi między zębami.

Dotarła do wysokiej czarnej bramy uniwersytetu i zawahała się znowu, jakby nasłuchiwała wewnętrznego głosu.

Po chwili odstąpiła na bok i czekała.

Bill Brama leżał w ciemności na stryszku i czekał. Z dołu dobiegały czasem zwykłe końskie dźwięki, wydawane przez w Pimpusia - jakiś ruch, kłapanięcie zębami... Bill Brama. A więc miał już imię. Oczywiście, zawsze miał imię, ale został nazwany od tego, co uosabiał, nie od tego, kim był. Bill Brama... Bardzo poważnie to brzmiało. Pan Bill Brama. Obywatel Bill Brama. Billy B... nie. Nie Billy.

Bill Brama głębiej zakopał się w sianie. Sięgnął pod szatę i wyjął złotą klepsydrę. W górnej części było zauważalnie mniej piasku. Schował klepsydrę z powrotem.

I dochodził jeszcze ten "sen". Wiedział, na czym polega. Ludzie poświęcali mu sporo czasu. Kładli się, a potem sen nadchodził. Zapewne służył jakiemuś celowi. Bill Brama wyglądał go z zaciekawieniem. Będzie musiał ten sen przeanalizować.

Noc odpływała ze świata, spokojnie ścigana przez nowy dzień. Coś poruszyło się w kurniku po drugiej stronie podwórza.

- Duku-da... em.

Bili Brama przyglądał się dachowi stodoły.

- Kudu-daru... em. Szary brzask sączył się przez szczeliny.

A przecież jeszcze przed chwilą widział tam czerwony blask zachodzącego słońca!

Zniknęło sześć godzin.

Bili sięgnął po klepsydrę. Tak, poziom piasku był wyraźnie niższy. Kiedy Bill czekał, by doświadczyć snu, ktoś ukradł część jego... jego życia. A on nic nie zauważył...

- Kuku... kuku... em...

Zsunął się ze stryszku i wyszedł w rzadką mgłę świtu.

Podstarzałe kwoki obserwowały go podejrzliwie, kiedy zaglądał do kurnika. Stary i chyba dość zakłopotany kogut spojrzał gniewnie i wzruszył skrzydłami.

Od strony domu rozległy się dźwięki metalicznych uderzeń. Przed drzwiami wisiała stara żelazna obręcz od beczki, a panna Flitworth energicznie uderzała w nią chochlą.

Podszedł, żeby zbadać sprawę.

DLACZEGO ROBI PANI TYLE HAŁASU, PANNO FLIT-WORTH?

Odwróciła się gwałtownie, ze wzniesioną chochlą.

- Wielkie nieba, chodzisz jak kot! - zawołała.

JAK KOT?

- To znaczy, że cię nie słyszałam. - Cofnęła się o krok i obejrzała go dokładnie. - Jest w tobie coś dziwnego, Billu Bramo, czego nie mogę jakoś określić - stwierdziła. - Chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

Siedmiostopowy szkielet patrzył na nią ze stoickim spokojem. Wyczuwał, że nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Co chcesz na śniadanie? - zapytała staruszka. - Zresztą to i tak bez różnicy, bo będzie owsianka.

Później myślała: musiał zjeść owsiankę, bo jego miska jest pusta. Ale dlaczego nie mogę sobie tego przypomnieć?

Potem wynikła sprawa kosi. Wyglądał, jakby pierwszy raz oglądał coś takiego. Pokazała mu ostrze i uchwyt. Obejrzał je uprzejmie.

JAK PANI JĄ OSTRZY, PANNO FLITWORTH?

- Przecież jest już ostra, na miłość bogów!

JAK PANI JĄ OSTRZY BARDZIEJ?

- Nie da się. Ostra to ostra. Nie będzie ostrzejsza niż teraz. Machnął kosą w powietrzu i rozczarowany syknął przez zęby. W dodatku jeszcze trawa...

Łąka leżała wysoko na zboczu za farmą, ponad polem kukurydzy. Panna Flitworth obserwowała go przez chwilę.

Demonstrował najbardziej interesującą technikę, jaką w życiu widziała. Nie sądziła nawet, że jest ona fizycznie możliwa.

- Nieźle - stwierdziła w końcu. - Masz wymach jak należy i w ogóle.

DZIĘKUJĘ, PANNO FLITWORTH.

- Ale dlaczego jedno źdźbło trawy naraz?

Bili Brama spojrział na równe rzędy skoszonej trawy.

A MOŻNA INACZEJ?

- Można ściąć wiele za jednym zamachem...

NIE. NIE. JEDNO ŻDŹBŁO NARAZ. JEDNO CIĘCIE, JEDNO ŻDŹBŁO.

- W ten sposób nie skosisz wiele - stwierdziła panna Flitworth.

WSZYSTKIE CO DO JEDNEGO, PANNO FLITWORTH.

- Naprawdę?

MOŻE MI PANI WIERZYĆ.

Panna Flitworth wróciła do chaty. Przez chwilę stała w kuchennym oknie i obserwowała, jak przesuwają się po zboczu daleka, ciemna figurka.

Ciekawe, co takiego zrobił, myślała. Na pewno ma Przeszłość. Podejrzewam, że jest jednym z tych Tajemniczych Przybyszów. Może popełnił kradzież i teraz się Ukrywa.

Skosił już cały łąn. Jedno źdźbło naraz, ale w jakiś sposób szybciej niż ktoś, kto tnie pokos za pokosem...

Jedyną lekturą panny Flitworth był „Almanach farmera” i „Katalog nasion”, który mógł przetrwać w wygodce cały rok - jeśli nikt nie chorował. Oprócz rzeczowych informacji o fazach księżyca i porach siewu, pozycja ta z niezdrową rozkoszą wyliczała rozmaite masowe mordy, brutalne rozboje i katastrofy, jakie spadały na ludzkość. Częste były teksty w rodzaju „15 czerwca, rok Prowizorycznego Gronostaja: Tego Dnia, 150 lat temu, niezwykła ulewa Gulaszu zabiła Człowieka w Quirmie” albo „14 osób zginęło z rak Chume'a, Notorycznego Miotacza Siedzi”.

Najważniejsza była świadomość, że wszystko to działo się daleko stąd, być może w wyniku nadprzyrodzonej interwencji. Jedyne, co przytrafiało się w okolicy, to z rzadka jakaś kradzież kury albo od czasu do czasu zabłąkany troll. Oczywiście, w górach żyli rozbójnicy i bandyci, jednak utrzymywali dobre stosunki z mieszkańcami i byli ważnym elementem lokalnej ekonomii. Mimo to wiedziała, że będzie się czuć bezpieczniej, jeśli ktoś jeszcze zamieszka na farmie.

SKOŃCZYŁEM, PANNO FLITWORTH.

- W takim razie idź nakarm świnie. Ma na imię Nancy.

NANCY, powtórzył Bill, obracając to słowo w ustach, jakby chciał je obejrzeć ze wszystkich stron.

- Po mojej matce.

PÓJDE I NAKARMIE ŚWINIE NANCY, PANNO FLITWORTH.

Panna Flitworth miała wrażenie, że minęło ledwie kilka sekund.

SKOŃCZYŁEM, PANNO FLITWORTH.

Zerknęła na niego podejrzliwie. Następnie powoli i spokojnie wytarła ręce ścierką, wyszła na podwórze i skierowała się do chlewa.

Nancy aż po gałki oczne zanurzyła ryj w korycie z pomyjami.

Panna Flitworth rozważała przez chwilę, jaki wygłosić komentarz.

- Bardzo dobrze - rzekła w końcu. - Bardzo dobrze. Trzeba przyznać, że jesteś... szybki.

PANNO FLITWORTH, DLACZEGO KOGUT NIE PIEJE JAK NALEŻY?

- Och, to przecież Cyryl. Ma słabą pamięć. Zabawne, prawda? Szkoda, że nie potrafi się nauczyć.

Bili Brama znalazł w szopie kawałek kredy, wśród odpadków wyszukał deskę i bardzo starannie coś na niej pisał. Potem umocował deskę

przed kurnikiem i ustawił przed nią Cyryla.

MASZ TO CZYTAĆ, powiedział.

Cyryl wytrzeszczył krótkowzroczne oczka na wypisane ciężkim gotykiem "Kuku-Ryku-Ku". Gdzieś w jego szalonym kurzym mózdzku pojawiła się lodowata, ale wyraźna myśl, że powinien nauczyć się czytać. I to szybko.

Bill Brama siedział na sianie i rozmyślał. Miał uczucie, że miniony dzień był pełen wydarzeń. W ciągu tego dnia kosił trawę, karmił zwierzęta i naprawiał okno. Znalazł w stodole parę starych spodni; wydawały się bardziej odpowiednie dla Billa Bramy niż szata utkana z absolutnej ciemności, więc je włożył. A panna Flitworth dała mu słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

Po południu wybrał się na półmilowy spacer do miasteczka. Nie było tam chyba nawet jednego konia- jeśli ktoś miał kiedyś konia, na pewno go zjadł. Odniósł wrażenie, że mieszkańcy zarabiają na życie, podkradając sobie wzajemnie pranie ze sznurków.

Był też rynek, co go trochę rozbawiło - za rynek uznano tutaj trochę powiększone skrzyżowanie dróg i wieżę z zegarem. Była też gospoda. Bill Brama wszedł do środka.

Po krótkiej chwili milczenia, kiedy umysły obecnych skupiały się na nowo, by dopuścić jego obecność, powitano go ostrożnie, ale gościnnie. Na odludziu plotki rozchodzą się szybko.

- Jesteś pan nowym pomocnikiem u panny Flitworth - stwierdził barman. - Brama, jak słyszałem.

PROSZĘ MI MÓWIĆ BILL.

- Dobra. Kiedyś była to elegancka farma. Nie sądziliśmy, że staruszka

tam zostanie.

- Aha... - zgodziło się kilku mężczyzn przy kominku.

AHA.

- Nowy w tej okolicy, co? - spytał barman.

Nagle milczenie gości w barze było niczym czarna dziura.

NIEZUPEŁNIE.

- Znaczy, bywałeś już tutaj?

TYLKO PRZEJAZDEM.

- Mówią, że stara panna Flitworth to wariatka - odezwała się jedna z postaci siedzących na ławach pod poczerniałymi od dymu ścianami.

- Ale ostra jak nóż - dodał inny przygarbiony gość.

- O tak. Ostra, ale jednak wariatka.

- I mówią, że w saloniku ma skrzynie pełne skarbów.

- Ostrożna jest z pieniędzmi, to wiem.

- Najlepszy dowód. Bogaci zawsze są skąpi.

- No dobrze. Ostra i bogata. Ale wariatka.

- Nie można być wariatem i bogatym. Jeśli jesteś bogaty, musisz być ekscentrykiem.

Cisza powróciła i zawisła nad salą. Bill Brama rozpaczliwie poszukiwał czegoś, co mógłby powiedzieć. Nigdy sobie nie radził

ze swobodną rozmową. Nigdy nie miał okazji, żeby taką prowadzić.

Co ludzie mawiają w takich chwilach? Aha...

POSTAWIĘ KAŻDEMU PO DRINKU, oznajmił.

Później nauczyli go gry, która składała się ze stołu z dziurami, siatkami wokół krawędzi i kuł wyrzeźbionych starannie z drewna. Jak zrozumiał, kule powinny odbijać się od siebie i wpadać do dziur. Gra nazywała się Pół. Grał w nią dobrze. Więcej - grał perfekcyjnie. Na początku nie wiedział, jak można grać inaczej. Ale gdy kilka razy usłyszał ich ciche syknięcia, poprawił się i z morderczą dokładnością zaczął popełniać błędy. Kiedy nauczyli go grać w strzałki, doszedł już do niezłej wpraw)''. Im więcej błędów popełniał, tym bardziej ludzie go lubili. Dlatego wyrzucał małe, upierzone strzałki z zimną precyzją, nigdy nie pozwalając, by któraś trafiła bliżej niż stopę od wskazanego celu. Jedną posłał nawet tak, że odbiła się rykoszetem od gwoźdźca w ścianie, potem od lampy i wylądowała w czyimś piwie; jeden z najstarszych gości tak bardzo zanosił się śmiechem, że aż trzeba było go wyprowadzić na świeże powietrze.

Nazwali go Dobrym Starym Billem.

Nikt jeszcze nigdy tak go nie nazywał.

Niezwykły wieczór...

Chociaż w pewnym momencie zrobiło się groźnie. Nagle usłyszał dziecięcy głosik, wołający: "Przecież to szkielet". Obejrzał się i zobaczył małą dziewczynkę w nocnej koszuli spoglądającą na niego ponad barem, bez strachu, ale z rodzajem lękliwej fascynacji.

Oberżysta - Bill Brama wiedział już, że nazywa się Lifton - roześmiał się nerwowo i przeprosił.

- Taką ma fantazję - powiedział. - Czego to dzieci nie wygadują, co? Biegaj z powrotem do łóżka, Sal. I przeproś pana Bramę.

- To szkielet w ubraniu - powtórzyła dziewczynka. - Dlaczego to, co pije, nie wylewa się na podłogę?

Niewiele brakowało, by wpadł w panikę. A zatem jego przyrodzona moc przestawała działać. Normalnie ludzie nie mogli go widzieć - zajmował ślepą plamkę ich zmysłów, którą gdzieś w umyśle wypełniali tym, z czym woleliby się spotkać. Ale niezdolność dorosłych do zauważenia go nie była odporna na takie uparte deklaracje - czuł narastające wokół zdumienie. W ostatniej chwili matka wyszła z zaplecza i odprowadziła małą. Słyszał jeszcze stłumione skargi w stylu "...szkielet, wszystkie kości mu sterczą..." cichnące powoli na schodach.

I przez cały czas stary zegar nad kominkiem tykał i tykał, odrąbując kolejne sekundy jego życia. A jeszcze niedawno zdawało się, że jest ich tak wiele...

- Czy jesteś przyzwoity, Billu Brama? - odezwał się w ciemności głos panny Flitworth.

Bili Brama przeanalizował to zdanie, szukając sensu w kontekście.

TAK? zaryzykował.

- Przyniosłam ci gorącego mleka.

TAK?

- Zejdź tu szybko, bo wystygnie.

Bili Brama ostrożnie zszedł po drewnianej drabinie. Panna Flitworth trzymała latarnię i miała narzucony na ramiona szal.

- Dodałam cynamonu. Mój Rufus zawsze lubił cynamon.

Westchnęła.

Bili Brama był świadom podtekstów i kontekstów w taki sam sposób, w jaki astronauta jest świadom układów pogodowych pod sobą: są widoczne, wyraźne, idealne do obserwacji i całkowicie oderwane od rzeczywistych doświadczeń.

DZIĘKUJĘ, powiedział.

Panna Flitworth rozejrzała się.

- Widzę, że wygodnie się tu urządziłeś - stwierdziła pogodnie.

TAK.

Mocniej otuliła się szalem.

- Wracam do domu - oświadczyła. - Kubek możesz przynieść jutro rano.

I zniknęła w ciemności.

Bili Brama zabrał kubek na stryszek. Postawił go na belce, a potem siedział i patrzył jeszcze długo, choć mleko już wystygło, a świeca zgasła.

Po chwili zdał sobie sprawę, że słyszy ciągły szelest. Wyjął złotą klepsydrę i schował ją na drugim końcu stryszku, pod stosem siana.

Niczego to nie zmieniło.

Windle Poons wpatrywał się uważnie w numery domów -setka liczących sosen zginęła dla tej jednej ulicy - kiedy uświadomił sobie, że wcale nie musi. Był krótkowidzem tylko z przyzwyczajenia. Zgon bardzo poprawił mu wzrok.

Znalezienie numeru 668 zajęło mu dłuższą chwilę, gdyż był to lokal na piętrze, nad warsztatem krawieckim. Wchodziło się tam z bocznego zaułka. Na jego krańcu zauważył drewniane drzwi. Do łuszczącej się farby ktoś przybił kartkę, na której optymistycznym charakterem pisma napisano:

"Wejdźcie! Wejdźcie! Klub Od Nowa.

Zgon to dopiero początek!!!"

Za drzwiami były schody pachnące starą farbą i martwymi muchami. Trzeszczały jeszcze głośniejsze niż kolana Windle'a.

Ktoś malował tu po ścianach. Frazeologia wydawała się dość egzotyczna, ale ogólny sens znajomy: "Duchy tego świata Powstańcie", "Nie macie Nic do stracenia prócz Kajdanów", "Milcząca Większość żąda Martwych Praw" i "Precz z witalizmem!!!".

U szczytu schodów był podest, z którego pojedyncze drzwi prowadziły gdzieś dalej. Dawno, dawno temu ktoś powiesił pod sufitem lampę naftową, jednak wyglądała, jakby nie zapalano jej od tysiąca lat. Stary pajak, zapewne odżywiający się resztkami nafty, obserwował gościa czujnie ze swego gniazda.

Windle raz jeszcze spojrzał na kartkę, z przyzwyczajenia nabrał tchu i zapukał.

Nadrektor wracał na uniwersytet wściekły. Pozostali smętnie kroczyli za nim. - Do kogo ma się zwrócić? Przecież to my jesteśmy tu magami

- Ale tak naprawdę nie wiemy, co się dzieje - przypomniał mu dziekan.
- Prawda?

- W takim razie musimy się dowiedzieć! - burknął Ridcully. - Nie wiem, do kogo on ma się zwrócić, ale jestem wściekle pewien, kogo ja wezwę.

Zatrzymał się nagle. Pozostali magowie wpadli mu na plecy.

- Och, nie! - zawołał pierwszy prymus. - Proszę, tylko nie to!

- To drobnostka - odparł Ridcully. - Nie ma się czym przejmować. Szczerze mówiąc, zeszłej nocy właśnie o tym czytałem. Wystarczą trzy kawałki drewna i...

- I cztery milikwarty mysiej krwi - dokończył ponuro pierwszy prymus.
- Ale nawet tyle nie jest potrzebne. Można użyć dwóch kawałków drewna i jajka. Tylko jajko musi być świeże.

- Dlaczego?

- Myślę, że mysz jest wtedy bardziej zadowolona.

- Nie, chodziło mi o jajko.

- Kto może wiedzieć, co czuje jajko?

- Wszystko jedno - wtrącił dziekan. - To niebezpieczne. Zawsze miałem wrażenie, że on pozostaje we wnętrzu oktagonu tylko dla zachowania pozorów. Nie znoszę, kiedy tak patrzy na człowieka i wygląda, jakby coś liczył.

- To prawda - zgodził się pierwszy prymus. - Po co nam to? Wychodzimy jakoś z większości nieszczęść: smoków, potworów. Szczurów. Pamiętacie te szczury w zeszłym roku? Wszędzie ich było pełno. Vetinari nie chciał nas słuchać, wołał zapłacić temu wygadanemu spryciarzowi w żółto-czerwonych rajtuzach tysiąc sztuk złota, żeby się ich pozbyć.

- Ale udało mu się - zauważył wykładowca run współczesnych.

- Pewno, że mu się udało - odparł dziekan. - Udało się też w Quirmie i w Sto Lat. I zrobiłby ten sam numer w Pseudopolis, gdyby go ktoś nie rozpoznał. Pan tak zwany Zadziwiający Maurice i jego Edukowane Gryzonie!

- Nic wam nie przyjdzie ze zmieniania tematu - oznajmił stanowczo Ridcully. - Przeprowadzimy Rytuał AshKente. Jasne?

- I przywołamy Śmierć - westchnął dziekan. - Ojej...

- Nic nie mam przeciwko Śmierci - stwierdził Ridcully. - To profesjonalista. Zna swoją robotę. Uczciwy i bezstronny. Nie oszukuje. Będzie wiedział, co się tu dzieje.

- Ojej - powtórzył dziekan.

Dotarli do bramy. Pani Cake wstąpiła z cienia, blokując nad-rektorowi przejście.

Ridcully uniósł brwi.

Nie należał do mężczyzn, którym sprawia przyjemność niegrzeczne i szorstkie zachowanie wobec kobiet. Czy też, gdyby ująć to nieco inaczej, był niegrzeczny i szorstki wobec absolutnie każdego, niezależnie od płci, co w pewnym sensie gwarantowało równouprawnienie. I gdyby poniższa rozmowa nie toczyła się między kimś, kto słyszy, co mówią ludzie, kilka sekund wcześniej, niż to powiedzą, a kimś, kto w ogóle nie słucha, co mówią ludzie, wszystko mogłoby się potoczyć całkiem inaczej. A może nie. Pani Cake zaczęła od odpowiedzi.

- Nie jestem pańską dobrą kobietą! - warknęła.

- A kimże jesteś, moja dobra kobieto? - zapytał nadrektor.

- I nie trzeba tak się zwracać do porządnej osoby - powiedziała pani Cake.

- Nie trzeba się zaraz obrażać - powiedział Ridcully.

- A niech mnie! Tak robię? - zdziwiła się pani Cake.

- Droga pani, dlaczego mi pani odpowiada, zanim jeszcze cokolwiek powiem? - spytał Ridcully.

- Co?

- O co pani chodzi?

- O co panu chodzi?

- Co?

Patrzyli na siebie, unieruchomieni w niepokonanym impasie

konwersacyjnym. Po chwili pani Cake zrozumiała, co się dzieje.

- Znowu mam przedwczesne przeczucia - powiedziała. Wetknęła palec do ucha i pokręciła nim z mlaszczącym odgłosem. - Teraz dobrze. Otóż powodem...

Ale Ridcully miał już dosyć.

- Kwestorze - rzekł. - Daj tej kobiecie pensa i niech idzie swoją drogą, dobrze?

- Co? - rzuciła pani Cake, nagle straszliwie rozzłoszczona.

- Zbyt często ostatnio zdarzają się takie rzeczy - mówił Ridcully do dziekana, kiedy oddalali się już spokojnym krokiem.

- To napięcie i stres związany z życiem w wielkim mieście - ocenił pierwszy prymus. - Gdzieś o tym czytałem. W dziwny sposób działa na ludzi.

Przeszli przez bramkę w skrzydle wrót, a dziekan zamknął ją przed nosem pani Cake.

- Może nie przyjść - stwierdził pierwszy prymus, kiedy mijali skwer. - Nie zjawiał się na przyjęciu pożegnalnym biednego starego Windle'a.

- Przyjdzie na Rytuał - uspokoił go Ridcully. - Rytuał to nie tylko wysłanie mu zaproszenia, to dopisanie na nim RSVP!

- To dobrze - ucieszył się kwestor. - Bardzo lubię sherry.

- Zamknij się, kwestorze.

Jest taki zaułek gdzieś na Mrokach, które są najbardziej poprzecinaną zaułkami częścią poprzecinanego zaułkami miasta.

Coś małego i błyszczącego wtoczyło się tam i zniknęło w ciemności.

Po chwili z zaułka dobiegły ciche, metaliczne odgłosy.

Atmosfera w gabinecie nadrektora była lodowata.

- Może jest zajęty? - wyjąkał w końcu kwestor.

- Zamknij się - odpowiedzieli chórem magowie. Coś jednak się działo. Podłoga wewnątrz wyrysowanego kredą magicznego oktagonu pobielała od szronu.

- Nigdy się tak nie zachowywał - szepnął pierwszy prymus.

- Bo to wszystko jest nie tak - stwierdził dziekan. - Powinniśmy tu mieć jakieś świece, jakieś kociołki, jakieś płyny bulgoczące w tyglach, jakiś błyszczący proszek i jakieś kolorowe dymy...

- Rytuał nie wymaga tych rzeczy - odparł surowo Ridcully.

- Rytuał może i nie, aleja owszem - mruczał dziekan. - Wykonywanie go bez odpowiednich akcesoriów to jak zdejmowanie całego ubrania do kąpieli.

- Tak właśnie robię - stwierdził Ridcully.

- Hmm... Cóż, każdy robi to, co lubi, ale niektórzy z nas chcieliby wierzyć, że zachowują pewien poziom.

- Może jest na wakacjach - zgadywał kwestor.

- Jasne - parsknął dziekan. - Pewnie na plaży, co? Z zimnym drinkiem i w kapeluszu z napisem "Buzi"?

- Ciszej! Ciszej! Ktoś nadchodzi - syknął pierwszy prymus.

Ponad oktagonem pojawił się delikatny kontur zakapturzonej postaci. Drżała bez przerwy, jakby oglądana przez rozgrzane powietrze.

- To on - oświadczył dziekan.

- Nie, to nie on - zaprotestował wykładowca run współczesnych. - To tylko szara szata... niczego nie ma w śro...

Urwał.

Postać odwróciła się powoli. Coś wypełniało jej wnętrze, sugerując nosiciela, a jednocześnie sprawiała wrażenie pustki, jakby była jedynie kształtem dla czegoś, co nie ma własnego kształtu. Kaptur był pusty.

Pusta szata przez kilka sekund przyglądała się magom, po czym zwróciła się do nadrektora.

Powiedziała: Kim jesteś?

Ridcully przełknął ślinę.

- Ee... Mustrum Ridcully. Nadrektor.

Kaptur pochylił się. Dziekan wetknął palec do ucha i poruszył nim energicznie. Szata nie mówiła. Niczego nie dało się słyszeć. Tyle że potem człowiek odkrywał wspomnienie tego, co właśnie nie zostało powiedziane, i nie miał pojęcia, skąd się wzięło.

Kaptur powiedział: Czy jesteś istotą wyższą w tym świecie?

Ridcully zerknął na pozostałych magów. Dziekan odpowiedział mu wrogim spojrzeniem.

- Tego... no wiesz... tak... pierwszy wśród równych ł takie różne... tak - wymamrotał Ridcully.

Powiedziano mu: Przynosimy dobrą nowinę.

- Dobrą nowinę? Dobrą nowinę? - Ridcully skręcał się pod wzrokiem bezpatrzącego. - To dobrze. To naprawdę dobra nowina. Powiedziano mu: Śmierć się wycofała.

- Słucham?

Powiedziano mu: Śmierć się wycofał.

- Och... To... rzeczywiście nowina... - przyznał speszony Ridcully. - Tego... A jak? Jak dokładnie?

Powiedziano mu: Przepraszamy za obniżenie standardu w ostatnich czasach.

- Obniżenie? - Nadrektor nic już nie rozumiał. - Właściwie, tego, nie jestem pewien, czy nastąpiło jakieś... Znaczy, owszem, gość cały czas włóczył się po okolicy, ale zwykle prawie go...

Powiedziano mu: Zachowywał się bardzo nieregularnie.

- Naprawdę? Zachowywał się? No tak, nie możemy sobie pozwolić na nieregularność - przyznał nadrektor. Powiedziano mu: To musiało być straszne.

- Co prawda ja... To znaczy... Myślę, że... Nie jestem pewien...

Musiał?

Powiedziano mu: Ale teraz ciężar został zdjęty. Radujcie się. To wszystko. Nastąpi krótki okres przejściowy, nim zaprezentuje się odpowiedni kandydat, po czym zostanie podjęty normalny zakres usług. Tymczasem przepraszamy za nieuniknione niewygody wywołane nadmiarowymi efektami żywymi.

Postać zafalowała i zaczęła się rozpływać.

Nadrektor rozpaczliwie zamachał rękami.

- Czekaj! - zawołał. - Nie możesz tak odejść! Nakazuję ci pozostać! Jakich usług? Co to wszystko znaczy? Kim jesteś?

Kaptur zwrócił się w jego stronę i powiedział: Jesteśmy niczym.

- To żadne wyjaśnienie! Jak masz na imię? Jesteśmy zapomnieniem.
Postać zniknęła.

Magowie milczeli. Szron w oktogramie zaczął znów sublimować w powietrze.

- Och, och - odezwał się kwestor.

- Krótki okres przejściowy? Czy właśnie nastał? - spytał dziekan.
Podłoga zadrżała.

- Och, och - powtórzył kwestor.

- To nie tłumaczy, dlaczego wszystko żyje własnym życiem -stwierdził pierwszy prymus.

- Zaraz... Chwileczkę - przerwał im Ridcully. - Kiedy ludzie osiągają kres swego żywota, pozostawiają ciała i całą resztę, a Śmierć ich nie zabiera...

- To znaczy, że tam na górze jest straszny tłok.

- I nie ma dokąd pójść.

- Nie tylko ludzie - zauważył pierwszy prymus. - Tam musi być wszystko. Wszystko, co umiera.

- I wypełnia świat siłą życiową - dodał Ridcully. Magowie mówili powoli i monotonicznie. Wszystkie umysły wyprzedzały rozmowę i podążały w stronę odległej grozy konkluzji.

- Krąży, nie mając nic do roboty - rzekł wykładowca run współczesnych.

- Duchy.

- Aktywność spirytystyczna.

- Wielkie nieba!

- Zaczekajcie chwilę - odezwał się kwestor, który w końcu pojął ostatnie wydarzenia. - Dlaczego się tym martwimy? Przecież nie mamy się czego obawiać ze strony umarłych, prawda? To w końcu tylko ludzie, którzy są martwi. Zwyczajni ludzie. Tacy jak my.

Magowie przemyśleli to. Spojrzeli po sobie nawzajem. I wszyscy jednocześnie zaczęli krzyczeć.

Nikt nie pamiętał fragmentu o odpowiednich kandydatach.

Wiarą jest jedną z najpotężniejszych sił organicznych w multiwersum. Być może, nie potrafi dosłownie przenosić gór, ale może stworzyć kogoś, kto potrafi.

Ludzie mają całkowicie błędne wyobrażenie wiary. Uważają, że działa od tyłu do przodu. Sądzą, że ciąg przyczynowy prowadzi od obiektu do wiary. W rzeczywistości jest odwrotnie.

Wiara przelewa się po firmamencie niby grudy gliny krążące spiralnie na kole garncarskim. W ten sposób, na przykład, zostają stworzeni bogowie. W oczywisty sposób muszą ich stwarzać wyznawcy, ponieważ krótkie resume życia większości bogów dowodzi, że ich początki nie mogły być boskie. Mają skłonność do robienia właśnie tego, co robiliby ludzie, gdyby tylko mogli, zwłaszcza jeśli chodzi o nimfy, złote deszcze i rażenie swoich wrogów.

Wiara tworzy też inne rzeczy.

Stworzyła Śmierć. Nie śmierć, która jest tylko technicznym określeniem stanu wywołanego przez dłuższy okres braku życia, ale Śmierć osobowość. Śmierć wyewoluował razem z życiem. Kiedy tylko coś żywego choćby niejasno uświadomiło sobie koncepcję nagłej zmiany w coś nieżywego, pojawił się Śmierć. Był Śmiercią na długo przedtem, nim ludzie w ogóle o nim pomyśleli. Oni dodali tylko kształt, a także kosę i szatę do osobowości liczącej sobie już miliony lat.

A teraz odszedł. Lecz wiara nie zniknęła. Wiara nie przerywa wierzenia. A że punkt skupienia wiary został utracony, pojawiły się nowe. Na razie jeszcze niewielkie, raczej słabe: prywatnie śmierci każdego gatunku, nie zespolone już, ale specyficzne.

W strumieniu pływał okryty czarnymi łuskami Śmierć Jętek. W lasach dryfowała niewidzialna istota z samego dźwięku, ciach-ciach-ciach! - Śmierć Drzew.

Nad pustynią sunęła ciemna i pusta skorupa, unosząc się pół cala nad ziemią... Śmierć Żółwi.

Śmierć Ludzi nie był jeszcze skończony. Ludzie potrafią wierzyć w bardzo skomplikowane obiekty.

To jak różnica pomiędzy ubraniem ze sklepu i szytym na miarę.

Dobiegający z zaułka metaliczny dźwięk ucichł nagle. Zapadła cisza. Była to szczególnie czujna cisza czegoś, co nie wydaje dźwięku. Aż wreszcie rozległo się delikatne zgrzytanie, z wolna cichnące w oddali.

- **N**ie stój w drzwiach, przyjacielu. Nie blokuj drogi. Wejdz.

Windle Poons zamrugął.

Kiedy oczy przyzwyczały mu się do mroku, dostrzegł półkole krzeseł w pustym poza tym i zakurzonej pokoju. Wszystkie były zajęte.

Pośrodku - właściwie w ognisku półokręgu - stał niewielki stolik, przy którym ktoś siedział. A teraz zbliżał się do Windle'a z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Nie mów... Sam zgadnę - powiedział. - Jesteś zombie, prawda?

- Ehm... - Windle Poons jeszcze nigdy nie widział kogoś z tak bladą skórą, czy też tym, co z niej zostało. Ani noszącego ubranie, które wyglądało, jakby ktoś prał je w brzytwach, i pachniało, jakby nie tylko ktoś w nim umarł, ale ciągle jeszcze w nim był. Ani z plakietką "Dumny, bo z trumny". - Sam nie wiem. Chyba tak. Pochowali mnie, a potem była tam taka kartka... - Wyciągnął ją przed siebie niczym tarczę.

- Oczywiście, że była. Oczywiście - stwierdził dziwny osobnik.

Będzie chciał, żebym mu podał rękę, myślał Windle. Jeśli to zrobię, wiem, że skończę z większą liczbą palców niż na początku. O bogowie. Czyja też kiedyś się taki stanę?

- Jestem martwy - dodał niepewnie.

- I masz dość takiego traktowania, co? - zapytał osobnik o zielonkawej cerze.

Windle bardzo ostrożnie podał mu rękę.

- Nie to, żeby dość...

- Nazywam się Shoe. Reg Shoe.

- Poons. Windle Poons - przedstawił się Windle. - Hm...

- Tak, zawsze jest tak samo - stwierdził z goryczą Reg Shoe. - Jak tylko umrzesz, ludzie nie chcą cię więcej znać. Prawda? Zachowują się, jakbyś zaraził się jakąś straszną chorobą. A przecież śmierć może się zdarzyć każdemu, prawda?

- Absolutnie każdemu, moim zdaniem - przyznał Windle. - Ja...

- Tak... Wiem, jak to jest. Powiesz komuś, że nie żyjesz, a patrzą na ciebie, jakby zobaczyli ducha - ciągnął Shoe.

Windle zdał sobie sprawę, że rozmowa z nim przypomina rozmowę z nadrektorem. Nie miało właściwie znaczenia, co się mówi, ponieważ nie słuchał. Tyle że w wypadku Mustruma Ridcully'ego przyczyną było to, że się

nie przejmował, podczas gdy Reg Shoe gdzieś we własnej głowie tworzył także wypowiedzi rozmówcy.

- Tak, to prawda - zgodził się Windle z rezygnacją.

- Właśnie kończyliśmy - oświadczył Shoe. - Pozwól, że cię przedstawię. Słuchajcie, to jest... - Zawahał się.

- Poons. Windle Poons.

- Brat Windle - powiedział Shoe. - Powitajmy go serdecznie.

Zabrzmiął pełen zakłopotania chór "hej" i "witamy". Siedzący z brzegu, wysoki i mocno owłosiony młody człowiek pochwycił spojrzenie Windle'a i przewrócił oczami w teatralnym geście współczucia.

- To brat Arthur Winkings...

- Hrabia Nosfrontatu - poprawił go ostry damski głos.

- I siostra Doreen... to znaczy hrabina Nosfrontatu, ma się rozumieć...

- Zaszczycona, z pewnością - odpowiedział damski głos.

Niska, pulchna kobieta, siedząca obok niskiego, przygarbionego hrabiego, wyciągnęła upierścienioną dłoń. Sam hrabia rzucił Windle'owi zakłopotany uśmiech. Miał na sobie ubranie, które wyglądało jak za duży o kilka numerów kostium operowy.

- Brat Schleppel...

Krzeseło było puste. Ale głęboki głos odezwał się z ciemności pod siedzeniem:

- ...Brywieczór.

- I brat Łupinę.

Muskularny i owłosiony młody człowiek z długimi wilczymi zębami i

spiczastymi uszami mocno uściskał Windle'owi rękę.

- Siostra Drull. Brat Gorper. Brat Ixolite. Windle ścisnął kilka wariacji na temat dłoni. Brat Ixolite wręczył mu skrawek pożółkłego papieru. Było na nim wypisane jedno słowo: OoooEeeeOoooEeeeOoooEEeee.

- Przykro mi, że nie ma nas tu więcej - powiedział Reg Shoe. - Staram się jak mogę, ale niektórzy nie są chyba gotowi, by podjąć wysiłek.

- Znaczy... martwi? - spytał Windle, nadal patrząc na karteczkę.

- Dla mnie to zwykła apatia - mówił rozgoryczony Shoe. - Jak nasz ruch może osiągnąć sukces, skoro ludzie wolą zwyczajnie leżeć do góry brzuchem?

Lupine za plecami Shoe'a rozpaczliwie zamachał rękami w geście oznaczającym "nie pozwól mu zacząć", ale Windle nie zdołał się powstrzymać na czas.

- Jaki ruch? - zapytał.

- Martwe Prawa - wyjaśnił natychmiast Shoe. - Dam ci którąś z moich ulotek.

- Przecież, tego... martwi ludzie chyba nie mają praw- zdziwił się Windle. Kątem oka dostrzegł, że młody człowiek łapie się za głowę.

- Racja twarda jak zwłoki - oświadczył Łupinę z całkowitą powagą. Shoe spojrzał na niego z wyrzutem.

- Apatia - stwierdził. - Zawsze to samo. Starasz się, a oni cię ignorują. Wiesz, że ludzie mogą mówić o tobie, co zechcą, i przejąć twoją własność tylko dlatego, że umarłeś? W dodatku...

- Myślałem, że większość ludzi, kiedy już umiera, to... właściwie... umiera - powiedział Windle.

- To zwykłe lenistwo - odparł Shoe. - Nie stać ich na wysiłek. Windle nigdy jeszcze nie widział nikogo tak załamane. Zdawało się, że Reg Shoe

zmalał nagle o kilka cali.

- Jak długo jheseś nieumahlým, Yindle? - spytała Doreen ze sztucznym ożywieniem.

- Bardzo krótko. - Windle z ulgą powitał zmianę tematu. -Muszę przyznać, że wygląda to inaczej, niż się spodziewałem.

- Przyzwyczaisz się - zapewnił Arthur Winkings alias hrabia Nosfrontatu. - Na tym właśnie polega bycie nieumarłym. Jest łatwe jak upadek z urwiska. Wszyscy tu jesteśmy nieumarłymi.

Łupinę chrząknął.

- Oprócz Lupine'a - poprawił się Arthur.

- Jestem raczej kimś, kogo można określić honorowym nieumarłym - wyjaśnił Łupinę.

- Jest wilkołakiem - dodał Arthur.

- Jak tylko go zobaczyłem, od razu pomyślałem, że to wilkołak. - Windle pokiwał głową.

- Przy każdej pełni księżyca - dodał Łupinę. - Regularnie.

- Zaczynasz wyć i rośnie ci sierść? Wszyscy pokręcili głowami.

- Raczej nie - odparł Łupinę. - Raczej tak jakbym przestawał wyć, a część sierści mi chwilowo wypada. To strasznie krępujące.

- Myślałem, że w czasie pełni księżyca typowy wilkołak...

- Phoblem Łupinę'a - powiedziała Doreen - pholega na tym, że podchodzi do przemiany z przeciwnej strony.

- Formalnie rzecz biorąc, jestem wilkiem. To właściwie śmieszne. W każdą pełnię księżyca zmieniam się w człowieka-wilka.

- Bogowie... - szepnął Windle. - To na pewno straszny problem.

- Najgorsze są spodnie - wyznał Łupinę.

- Tego... naprawdę?

- Oczywiście. Widzisz, dla ludzkich wilkołaków to nie ma znaczenia. Zachowują na sobie zwykłe ubranie. Fakt, może się trochę podrzeć, ale przynajmniej jest pod ręką. Tymczasem ja, kiedy zobaczę pełnię, zaczynam chodzić i mówić, i od razu mam poważne kłopoty ze względu na istotne braki w regionie spodniowym. Muszę trzymać gdzieś nową parę. Pan Shoe...

- Mów mi Reg.

- ...pozwala mi przechowywać je tam, gdzie pracuje.

- Pracuję w kostnicy przy ulicy Wiązów - wyjaśnił Shoe. - Nie wstydzę się tego. Ocalenie brata czy siostry warto jest poświęcenia.

- Słucham? - Windle nie zrozumiał. - Ocalenie?

- To ja przyczepiam notki po wewnętrznej stronie wieka. Nigdy nic nie wiadomo. Na pewno warto spróbować.

- Często się udaje? - zapytał Windle.

Rozejrzał się po pokoju. W tym dość sporym pomieszczeniu przebywało zaledwie osiem osób - dziewięć, jeśli doliczyć głos spod krzesła, który zapewne także należał do osoby.

Doreen i Arthur porozumieli się wzrokiem.

- Udhało się Ahthuhowi - oświadczyła Doreen.

- Przepraszam bardzo... Zastanawiam się tylko... Czy wy dwoje, tego... nie jesteście przypadkiem wampirami?

- Zgadza się - przyznał Arthur. - Wściekły pech.

- Nie powinienś tak mówić - upomniała go z godnością Doreen. - Powinienś być dumny ze swego ahystokhatycznego pochodzenia.

- Dumny? - burknął niechętnie Arthur.

- Ukąsił cię nietoperz czy co? - wtrącił szybko Windle. Nie chciał się stać przyczyną tarć w rodzinie.

- Nie. -Arthur westchnął. - Prawnik. Dostałem taki list, rozumiesz... Z takim eleganckim łakowym kleksem i w ogóle. Blabla-bla... wuj w drugim pokoleniu... blablabla... jedyny żyjący krewny... blablabla... mam nadzieję, że pierwsi przekazujemy najserdeczniejsze blablabla. W jednej chwili jestem Arthurem Winkingsem, dobrze się zapowiadającym hurtownikiem w branży owocowo-warzywnej, a w następnej odkrywam, że naprawdę jestem Arthurem, hrabią Nosfrontatu, właścicielem pięćdziesięciu akrów powierzchni urwiska, z którego spadłaby kozica, i zamku, z którego uciekły nawet karaluchy, a także zaproszenia od burgmeistera, żebym zajrzał kiedyś i omówił z nim kwestię zaległych od trzystu lat podatków.

- Nienawidzę prawników - oznajmił głos spod krzesła. Brzmiał smutno i głucho.

Windle starał się przysunąć nogi bliżej własnego krzesła.

- To był piękny zhamek - zauważyła Doreen.

- Przekłeta góra zapleśniałych kamieni, ot co.

- Piękne widoki...

- Pewno. Przez każdą ścianę - przyznał Arthur, blokując tę linię konwersacji. - Powinienem wiedzieć, zanim jeszcze wybrałem się go obejrzeć. No to zawróciłem powóz, nie? Powiedziałem sobie: Trudno, cztery dni stracone, i to w samym środku sezonu. I nie myślałem o tym więcej. A potem budzę się w ciemności, leżę w jakimś pudle, w końcu znajduję zapalki, zapalam jedną i widzę kartkę, sześć cali od mojego nosa. Było tam napisane...

- "Nie musisz leżeć bezczynnie" - dokończył z dumą Shoe. - Jedna z moich pierwszych.

- To nie była mhoja vina - wyjaśniła chłodno Doreen. - Leżałeś szthwny przez trzhy dni.

- Mówię wam, kapłani doznali wstrząsu - dodał Arthur.

- Ha! Kapłani! - zawołał Shoe. - Wszyscy są tacy sami. Stale człowiekowi powtarzają, że po śmierci będzie żył znowu, ale wystarczy spróbować, a wtedy dopiero robią miny!

- Kapłanów też nie lubię - wyznał głos spod krzesła. Windle nie był pewien, czy ktoś oprócz niego coś słyszy.

- Nieprędko zapomnę gębę wielbego Welegara - zgodził się smętnie Arthur. - Od trzydziestu lat chodziłem do tej świątyni, byłem szanowanym członkiem kongregacji. Teraz na samą myśl przestąpienia progu tej instytucji religijnej aż mnie noga boli.

- Tak - poparła go Doreen. - I naprawdę nie musiał mówić tego, co powiedział, kiedy odsunąłeś wieko. Kapłani nie powinni znać takich słów.

- Lubilem tę świątynię - westchnął żałośnie Arthur. - Zawsze było coś do roboty w środy.

Windle uświadomił sobie, że Doreen w cudowny sposób odzyskała zdolność mówienia bez dodatkowych "h".

- A pani też jest wampirem, pani Win... błagam o wybaczenie... pani hrabino Nosfrontatu? - spytał uprzejmie. Hrabina uśmiechnęła się.

- Jednym słowem: tak.

- Przez małżeństwo - wyjaśnił Arthur.

- To możliwe? - zdziwił się Windle. - Myślałem, że trzeba być ugryzionym.

Głos pod krzesłem parsknął tylko drwiąco.

- Nie widzę powodów, żeby gryźć swoją żonę po trzydziestu latach małżeństwa, i nie będę o tym dyskutował - oświadczył hrabia.

- Każda kobieta winna dzielić hobby swego małżonka. Dzięki temu związek pozostaje intrygujący.

- Komu potrzebne interesujące małżeństwo? Nigdy nie mówiłem, że mi zależy na interesującym małżeństwie. To właśnie mnie irytuje u różnych ludzi: chcą, by takie rzeczy jak małżeństwo były interesujące. Poza tym to żadne hobby - poskarżył się Arthur. - Cały ten wampiryzm nie jest taki, jak o nim mówią. Nie można wychodzić w dzień, nie można jeść czosnku, nie można się przyzwyczaić ogolić...

- Dlaczego nie można się... - zaczął Windle.

- Bo nie mogę korzystać z lustra - wyjaśnił Arthur. - Myślałem, że zmienianie się w nietoperza będzie ciekawe, ale tutejsze sowy to mordercy! A co do... no wiecie... z tą krwią... tego...

Umilkł.

- Artore nie pothafi łatwo nawiązywać znajomości - wtrąciła Doreen.

- A najgorsze, że trzeba przez cały czas ubierać się wieczorowo. - Arthur zerknął z ukosa na żonę. - Jestem pewien, że to nie jest obowiązkowe.

- To bardzo ważne, żeby zachowywać klasę.

Doreen, jako dodatek do swego pojawiającego się i znikającego co chwilę wampirzego akcentu, postanowiła dopełnić wieczorowy kostium Arthura czymś, co uznała za odpowiednie dla wampirzej damy: obcisłą czarną suknię, długimi czarnymi włosami z wystrzyżoną w szpic grzywką i bardzo bladym makijażem. Natura tymczasem stworzyła ją raczej niską i pulchną, z kręconymi włosami i rumianą cerą. Dały się zauważyć wyraźne oznaki konfliktu.

- Powinienem zostać w tej trumnie - mruknął Arthur.

- Ależ nie! - zawołał Shoe. - To pójdzie po linii najmniejszego oporu. Nasz ruch potrzebuje takich ludzi jak ty, Arthurze. Musimy dawać przykład. Nie zapominaj, jak brzmi nasze motto.

- Które motto, Reg? - spytał znużonym głosem Lupine. - Tak wiele ich mamy.

- "Nieumarły tak, nieosoba nie!".

- Sam rozumiesz, że ma najlepsze zamiary - mówił potem Lupine, kiedy zebranie dobiegło już końca.

On i Windle szli ulicą w szarym brzasku przedświt. Państwo Nosfrontatu wyszli wcześniej, żeby zdążyć do domu, zanim wschód słońca przysporzy nieszczęsnemu Arthurowi nowych kłopotów. Reg Shoe poszedł, jak powiedział, by przemówić na wiecu.

- Chodzi na cmentarz za świątynią Pomiejszych Bóstw i krzyczy - wyjaśnił Lupine. - Nazywa to budzeniem świadomości, ale wydaje mi się, że robi tylko dobrą minę do złej gry.

- Kto to był ten pod krzesłem? - zainteresował się Windle.

- To Schleppel. Sądzymy, że jest strachem.

- Czy strachy są nieumarłymi?

- Nie chce powiedzieć.

- Nie widzieliście go? Myślałem, że strachy chowają się pod różnymi rzeczami i tego... i za różnymi rzeczami, a potem tak jakby wyskakują na ludzi.

- Chowanie idzie mu świetnie. Ale wyskakiwania chyba nie lubi. Windle zastanowił się. Strach z agorafobią pasował jakoś do tej grupy.

- Coś podobnego - mruknął.

- Chodzimy do klubu tylko po to, żeby zrobić przyjemność Regowi - tłumaczył Lupine. - Doreen twierdzi, że gdybyśmy przestali, serce by mu pękło. A wiesz, co jest najgorsze?

- Mów.

- Czasami przynosi gitarę i każe nam śpiewać piosenki, na przykład "Ulice Ankh-Morpork" albo "Zwyciężymy"[12]. To straszne.

- Nie umie śpiewać, co? - domyślił się Windle.

- Śpiewać? Co tam śpiew. Widziałeś kiedy zombie, który próbuje grać na gitarze? Potem zawsze musimy mu pomagać szukać palców. To strasznie krępujące. - Lupine westchnął. - A przy okazji, siostra Drull jest ghoullem. Gdyby chciała cię poczęstować pasztecikiem, nie bierz.

Windle przypomniał sobie cichą starszą panią w bezkształtnej szarej sukience.

- O rany... - mruknął. - Chcesz powiedzieć, że robi je z ludzkiego mięsa?

- Co? Nie, skąd. Po prostu marnie gotuje.

-Aha.

- A brat Ixolite to prawdopodobnie jedyny banshee na świecie mający kłopoty z wymową. Dlatego zamiast siadać na dachu i wrzeszczeć, kiedy ktoś w domu ma umrzeć, pisze im liściki i wsuwa pod drzwi.

Windle przypomniał sobie podłużną, smutną twarz.

- Mnie też dał jeden.

- Staramy się go zachęcać - powiedział Lupine. - Jest bardzo nieśmiały.

Nagle wyciągnął rękę i pchnął Windle'a na mur.

- Cisza!

- Co?

Lupine zastrzygł uszami; wydał nozdrza.

Skinąwszy Windle'owi, by nie ruszał się z miejsca, człowiekołak przemknął uliczką do skrzyżowania z inną, jeszcze węższą i bardziej nieprzyjemną. Przystanął na moment, po czym sięgnął włochatym ramieniem za róg.

Zabrzmiął cichy jęk. Ręka powróciła, trzymając wyrywającego się człowieka. Potężne mięśnie poruszyły się pod rozerwaną koszulą Lupine'a, kiedy podniósł jeńca do poziomu kłów.

- Czekaleś tam, żeby nas napaść, co? - zapytał Lupine.

- Kto? Ja?

- Wyczułem cię.

- Nigdy w życiu... Lupine westchnął.

- Wilki się tak nie zachowują, wiesz? - powiedział. Człowiek dyndał w powietrzu.

- Naprawdę?

- U wilków jest walka, kieł przeciw kłowi, pazur przeciw pazurowi. Nie spotkasz wilka, który czai się za skałą, żeby okraść przechodzącego borsuka.

- Odczep się.

- Chciałbyś, żebym rozerwał ci gardło? - zaproponował Lupine.

Człowiek spojrzał prosto w żółte ślepia. Oceniał swoje szansę w starciu z siedmiostopowym przeciwnikiem, który ma takie zęby.

- Mam jakiś wybór? - zapytał.

- Mój kolega... - Lupine wskazał Windle'a - ...jest zombie...

- Wiesz, z tym zombie to nic pewnego. Słyszałem, że trzeba zjeść jakąś rybę i jakiś korzeń, i dopiero wtedy...

- ...a wiesz, co zombie robią z ludźmi, prawda? Człowiek spróbował kiwnąć głową, choć pięść Lupine'a zaciskała mu się pod gardłem.

- Dag - wykrztusił.

- Teraz dobrze ci się przyjrzy i gdyby kiedyś znowu cię spotkał...

- Mówiłem, żebyś nie przesadzał - wymamrotał Windle.

- ...to cię załatwi. Prawda, Windle?

- Co? A tak. Zgadza się. Natychmiast - potwierdził nieszczęśliwy Windle. - A teraz bądź grzeczny i uciekaj stąd. Dobrze?

- Dogrze - odparł niedoszły napastnik. Myślał: Ego oczy! Ak idry!

Lupine puścił go. Mężczyzna spadł na chodnik, raz jeszcze rzucił Windle'owi przerażone spojrzenie i pognął ile sił w nogach.

- Słuchaj, a co zombie robią z ludźmi? - zaciekał się Windle.

- Chyba powinienem wiedzieć.

- Rozrywają ich na kawałki niby kartkę papieru.

- Poważnie? No dobrze.

Przez chwilę szli przed siebie w milczeniu. Windle myślał: Dlaczego ja? Setki ludzi muszą codziennie umierać w tym mieście. Założę się, że nie mają z tym żadnych kłopotów. Zwyczajnie zamykają oczy, a potem budzą się odrodzeni jako ktoś inny albo w jakimś niebie, a czasem, jak przypuszczam, w jakimś piekle. Albo biesiadują z bogami, co nigdy nie wydawało się dobrym pomysłem - znaczy owszem, bogowie są na swój sposób przydatni, ale nie należą do towarzystwa, z którym przyzwoity człowiek chciałby zjeść

posiłek. A buddhyści Yen uważają, że człowiek staje się po prostu bardzo bogaty. Niektóre religie klatchiańskie twierdzą, że trafia się do cudownego ogrodu pełnego młodych kobiet, co moim zdaniem nie brzmi zbyt religijnie...

Zaczął się zastanawiać, jak po śmierci załatwić sobie klatchiańskie obywatelstwo.

I wtedy właśnie kamienie bruku wleciały mu na spotkanie.

Zwykle jest to poetycki sposób stwierdzenia, że ktoś upadł na twarz. W tym wypadku kamienie bruku naprawdę wleciały mu na spotkanie. Wystrzeliły w górę, przez chwilę krążyły nad ulicą, po czym runęły jak kamienie.

Windle przyglądał się im zdumiony. Lupine także.

- Nieczęsto widuje się coś takiego - przyznał w końcu człowiekołak. - Właściwie to chyba nigdy nie widziałem latających brukowców.

- Ani spadających jak kamienie - dodał Windle. Trącił jedną nogą. Kamień wydawał się całkiem zadowolony z roli, jaką wyznaczyła mu grawitacja.

- Jesteś magiem...

- Byłem.

- Byłeś magiem. Jaka jest tego przyczyna?

- Myślę, że to prawdopodobnie jakieś niewyjaśnione zjawisko - odparł Windle. - Z jakichś powodów ostatnio często się zdarzają. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Raz jeszcze szturchnął stopą kamień. Ten wyraźnie nie zdradzał żadnych skłonności do ruchu.

- Chodźmy stąd lepiej - zaproponował Lupine.

- Jakie to życie, kiedy się jest człowiekołakiem? - zainteresował się

Windle po chwili.

Lupine wzruszył ramionami.

- Samotne.

- Słucham?

- Rozumiesz, nigdzie nie pasujesz. Kiedy jestem wilkiem, pamiętam, jak byłem człowiekiem, i odwrotnie. Na przykład... no wiesz... czasami... tak, czasami, kiedy mam postać wilka, biegnę w góry... Zimą, kiedy sierp księżycy błyszczy na niebie, śnieg pokrywa się zmarzniętą skorupą, a góry ciągną się w nieskończoność... Inne wilki, cóż, one czują, jak to jest, oczywiście, ale nie wiedzą, jak ja wiem. Czuć i wiedzieć jednocześnie... Nikt tego nie zna. Nikt na całym świecie nie może wiedzieć. To jest najgorsze: wiedzieć, że nie ma nikogo...

Windle zdał sobie sprawę, że chwieje się na krawędzi otchłani smutku. W takich chwilach nigdy nie wiedział, co powiedzieć.

Lupine poweselał jednak.

- A skoro już o tym mowa... Jak to jest, kiedy się jest zombie?

- W porządku. Całkiem nieźle. Lupine skinął głową.

- No to do zobaczenia - rzucił jeszcze i odszedł.

Ulice zaczynały się wypełniać - to mieszkańcy Ankh-Morpork rozpoczynali nieoficjalną zmianę między ludźmi nocy i ludźmi dnia. Wszyscy jednak unikali Windle'a - nikt nie wpada na zombie, jeśli może tego uniknąć.

Dotarł do bramy Niewidocznego Uniwersytetu, teraz już otwartej, i ruszył do swojej sypialni.

Jeśli ma zamiar wychodzić, będzie potrzebował pieniędzy. Przez lata sporo ich zebrał. Czy spisał testament? Przez ostatnie mniej więcej dziesięć lat umysł miał nieco zamglony. Mógł jakiś napisać. Czy miał umysł

zamglony w dostatecznym stopniu, by wszystkie pieniądze pozostawić sobie? Liczył, że tak. Nie słyszał jeszcze o przypadku, by komuś udało się obalić własny testament.

Podważył deskę podłogi obok łóżka i wyjął worek monet. Pamiętał, że oszczędzał je na stare lata. Znalazł też swój terminarz na pięć lat. Mógłby go używać jeszcze przez trzy lata... Trzy piąte tego, co zapłacił, poszło na marne.

Albo i więcej, jeśli się dobrze zastanowić. W końcu na stronach nie było wiele. Od lat nie zrobił nic wartego zanotowania, a w każdym razie nic, o czym by pamiętał wieczorem. W dzienniku były tylko zaznaczone fazy księżyca, wpisane rozmaite święta religijne i od czasu do czasu przyklejony do strony cukierek.

Pod podłogą tkwiło coś jeszcze. Pogmerał wśród kurzu i znalazł dwie gładkie kule. Wyjął je i przyjrzał się zaskoczony. Potrząsnął nimi, obserwując maleńkie śnieżyce. Przeczytał napis, zauważając, że właściwie nie jest to napis, ale rysunek napisu. Sięgnął na dół i wyciągnął kolejny przedmiot: trochę skrzywione metalowe kółko. Jedno małe metalowe kółko. A obok pęknięta kula.

Windle przyglądał im się przez chwilę.

Oczywiście, przez ostatnie trzydzieści lat był trochę otępiały, może też nosił bieliznę na ubraniu i czasem się ślinił, ale... czyżby kolekcjonował pamiątki? I małe kółeczka?

Za nim rozległo się chrząknięcie.

Windle upuścił tajemnicze obiekty i obejrzał się. Pokój był pusty, ale za otwartymi drzwiami dostrzegł jakby cień.

- Kto tam? - zawołał.

Głęboki, dźwięczny, ale bardzo nieśmiały głos odpowiedział:

- To tylko ja, panie Poons.

Windle zmarszczył brwi w umysłowym wysiłku.

- Schleppel? - upewnił się.

- Zgadza się.

- Strach?

-Tak.

- Za moimi drzwiami?

- Tak jest.

- Dlaczego?

- To przyjazne drzwi.

Windle podszedł do drzwi i zamknął je ostrożnie. Za nimi nie było nic, tylko stary tynk, choć miał wrażenie, że wyczuwa ruch powietrza.

- Jestem teraz pod łóżkiem, panie Poons - odezwał się głos Schleppela spod... tak, spod łóżka. - Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

- No... Nie, raczej nie. Ale nie powinieneś siedzieć w jakiejś szafie? Kiedy byłem dzieckiem, tam właśnie czaiły się strachy.

- Niełatwo jest znaleźć dobrą szafę, panie Poons. Windle westchnął.

- Zgoda. Dolna strona łóżka jest twoja. Czuj się jak w domu czy co tam...

- Wolałbym wrócić do czajenia się za drzwiami, panie Poons, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

- No dobrze.

- Czy mógłby pan na chwilę zamknąć oczy?

Windle posłusznie zamknął oczy i znowu wyczuł ruch powietrza.

- Może pan już patrzeć, panie Poons. Windle otworzył oczy.

- O rany - odezwał się głos Schleppela. - Ma pan tu nawet hak na płaszcz i wszystko...

Windle patrzył, jak mosiężne gałki z jego łóżka odkręcają się powoli.

Drzenie wstrząsnęło podłogą.

- Co się dzieje, Schleppel? - zapytał.

- Wzbiera siła życiowa, panie Poons.

- To znaczy, że ty wiesz?

- Oczywiście. Hej, zaraz... Tu jest zamek i klamka, i mosiężna płytką, i w ogóle...

- Co to znaczy, że wzbiera siła życiowa?

- ...i zawiasy, prawdziwe szarniery! Nigdy nie miałem drzwi...

- Schleppel!

- Po prostu siła życiowa. No, wie pan. To taka siła, którą ma pan w rzeczach, które są żywe... Myślałem, że magowie wiedzą o takich sprawach.

Windle Poons otworzył już usta, by powiedzieć coś w stylu "Oczywiście, że wiemy", po czym dyplomatycznie próbować ustalić, o czym ten strach opowiada, ale przypomniał sobie, że teraz nie musi się już tak zachowywać. Tak by postąpił, gdyby był żywy, ale mimo wszystkich sloganów Rega Shoe trudno być dumnym, kiedy jest się martwym. Trochę sztywnym, owszem, ale nie dumnym.

- Nigdy o tym nie słyszałem - przyznał. - Po co ona wzbiera?

- Nie wiem. To całkiem nieodpowiednia pora - wyjaśnił Schleppel. -

Teraz powinna raczej wygasać.

Podłoga znów zadygotała. Potem wyjęta deska, która skrywała niewielką fortunę Windle'a, zatrzeszczała i wypuściła młode pędy.

- Co to znaczy nieodpowiednia pora? - zdziwił się Windle.

- Dużo jej płynie na wiosnę - odpowiedział mu głos zza drzwi. - Wypycha z ziemi żonkile i takie rzeczy.

- Pierwsze słyszę... - Windle był zafascynowany.

- Myślałem, że wy, magowie, wiecie wszystko o wszystkim.

Windle spojrzał na swój kapelusz maga. Pochówek i przekopywanie się przez ziemię nie obeszły się z nim łagodnie, ale po przeszło stuleciu noszenia i tak nie był już ostatnim krzykiem mody.

- Nigdy nie jest za późno na naukę - stwierdził Windle.

Nadszedł kolejny świt. Kogut Cyryl wyprostował się na grzędzie. Wypisane kredą słowa lśniły w półmroku.

Skoncentrował się.

Nabrał tchu.

- Dawa-duo- jes!

Teraz, kiedy problem pamięci został rozwiązany, martwił się tylko dysleksją.

Na zboczach wiatr dmuchał mocno, a słońce było bliskie i gorące. Bill

Brama chodził tam i z powrotem pośród ściętej trawy niczym krosno po zielonym splocie. Zastanawiał się, czy kiedyś czuł już wiatr i ciepło słońca. Tak, czuł, na pewno. Ale nigdy ich w ten sposób nie doświadczał: tego, jak wiatr go popychał, jak słońce grzało. Tego, jak mijał Czas. Mijał i niósł go ze sobą.

Ktoś zapukał delikatnie we wrota stodoły.

TAK?

- Zejdź tu, Billu Bramo.

W ciemności zszedł po drabinie i wyjrzał ostrożnie. Panna Flitworth osłaniała dłonią płomyk świecy.

- Ehm... - powiedziała.

SŁUCHAM?

- Jeśli chcesz, możesz zajrzeć do domu. Na wieczór. Nie na noc, ma się rozumieć. To znaczy, szkoda, żebyś tak tu siedział sam przez cały wieczór, kiedy u mnie jest ogień i w ogóle.

Bill Brama nie radził sobie najlepiej z odczytaniem wyrazu twarzy. Ta sztuka nigdy nie była mu potrzebna. Patrzył na nieruchomego, zakłopotanego, proszącego uśmiech panny Flitworth niczym pawian szukający znaczeń na kamieniu z Rosetty.

DZIĘKUJĘ, powiedział w końcu.

Odbiegła.

Kiedy dotarł do domu, nie znalazł jej w kuchni. Zgrzytliwe odgłosy kazały mu przejść przez wąski korytarz i niskie drzwi - panna Flitworth klęczała na podłodze w małym pokoiku, gorączkowo rozpalając ogień w kominku.

Zarumieniona podniosła głowę, kiedy grzecznie zastukał w otwarte drzwi.

- Dla jednej osoby szkoda na to zapalki - wymamrotała zakłopotana. - Siadaj. Zaraz przygotuję herbatę.

Bill Brama złożył się na jednym z wąskich foteli przy kominku i rozejrzał po pokoju.

Nie był to zwykły pokój. Jakiegokolwiek miał funkcje, mieszkanie w nim wyraźnie do nich nie należało. Kuchnia stanowiła rodzaj zadaszanej przestrzeni zewnętrznej i ośrodek działań farmy, ale ten pokój najbardziej przypominał mauzoleum.

Wbrew powszechnemu przekonaniu Bill Brama nie orientował się w dekoracjach pogrzebowych. Śmierć rzadko kiedy następuje w grobach, z wyjątkiem bardzo rzadkich i nieszczęśliwych przypadków. Otwarta przestrzeń, dna rzek, połowa drogi do wnętrza rekina, wszelkiego typu sypialnie - owszem. Ale groby nie.

Do jego zadań należało oddzielanie nasienia duszy od plew śmiertelnego ciała, co zwykle odbywało się na długo przed rytuałami związanymi - Jeśli się nad tym zastanowić - z wyrafinowaną formą usuwania odpadków.

Ale ten pokój wyglądał jak grobowce tych władców, którzy wszystko chcieli zabrać ze sobą.

Bill Brama siedział z dłońmi opartymi na kolanach i patrzył.

Przede wszystkim były tu liczne bibeloty. Więcej imbryczków do herbaty, niż można sobie wyobrazić. Porcelanowe pieski z otwartymi szeroko oczami. Dziwaczne patery. Rozmaite figurki i malowane talerze z wypisanymi na nich krótkimi i życzliwymi notkami w stylu: "Prezent z Quirmu. Szczęścia, zdrowia, pomyślności". Pokrywały wszystkie płaskie powierzchnie absolutnie demokratycznie, tak że dość cenny antyczny srebrny świecznik stał obok jaskrawego porcelanowego pieska z kością w pysku i miną świadczącą o zabójczym zidioceniu.

Ściany były pokryte obrazami. Większość z nich namalowano w odcieniach błota i przedstawiała smętne krowy na mokradłach we mgle.

Wszelkie te ozdoby niemal skrywały meble, co zresztą nie było żadną stratą. Poza dwoma fotelami, trzeszczącymi pod ciężarem narzut i pokrowców, reszta umeblowania nie pełniła chyba żadnych funkcji oprócz podtrzymywania bibelotów. Wszędzie stały wąskie stoliki. Na podłodze leżały warstwy dywaników - ktoś naprawdę lubił zszywanie dywaników z łąt. A ponad wszystkim i wokół wszystkiego, przenikając wszystko, unosił się zapach.

W pokoju pachniało długimi, nudnymi popołudniami.

Na okrytym narzutą kredensie stały dwie drewniane skrzynki, a między nimi trzecia większa. To pewnie te słynne skrzynie ze skarbem, pomyślał.

I uświadomił sobie, że słyszy tykanie.

Na ścianie wisiał zegar. Ktoś kiedyś wpadł na pomysł, który pewnie uznano za znakomity: żeby zrobić zegar w kształcie sowy. Kiedy kołysało się wahadło, jej oczy przesuwwały się tam i z powrotem w sposób, który osoby spragnione rozrywki uznawały pewnie za zabawny. Po chwili oczy patrzącego zaczynały oscylować w tym samym rytmie.

Panna Flitworth wkroczyła z pełną tacą. Zakrzętnęła się, wykonując niemal alchemiczną ceremonię parzenia herbaty, smarowania masłem bułeczek, układania herbatników, wkładania szczypiec do cukru...

Usiadła. Potem, jakby od dwudziestu minut siedziała w bezruchu, zaświergotała nieco bez tchu:

- Ładnie tu, prawda?

TAK, PANNO FLITWORTH.

- Nieczęsto miewam okazję, żeby otworzyć salonik.

NIE.

- Odkąd zginął ojciec.

Przez moment Bill Brama zastanawiał się, czy może zmarły pan Flitworth zaginął gdzieś w saloniku. Może pomylił gdzieś drogę między bibelotami? Potem przypomniał sobie, że ludzie czasem dziwnie się wyrażają.

AHA.

- Lubił siadywać właśnie na tym fotelu i czytać almanach. Bill Brama poszukał w pamięci.

WYSOKI MĘŻCZYZNA? próbował zgadnąć. Z WĄSEM? BRAKOWAŁO MU CZUBKA MAŁEGO PALCA LEWEJ DŁONI? Panna Flitworth obserwowała go ponad brzegiem filiżanki.

- Znałeś go? - spytała.

SPOTKALIŚMY SIĘ KIEDYŚ.

- Nie wspominał o tobie - oświadczyła z godnością panna Flitworth. - Przynajmniej nie z nazwiska. Niejako o Billu Bramie.

NIE SĄDZĘ, ŻEBY O MNIE WSPOMINAŁ,, stwierdził powoli Bill Brama.

- Nic nie szkodzi. Wiem, jak to jest. Tato też czasem zajmował się przemytem. Cóż, to nie jest duża farma. Trudno z niej wyżyć. Zawsze powtarzał, że człek musi robić to, co potrafi. Przypuszczam, że zajmowałeś się czymś podobnym. Obserwowałam cię. To była twoja praca, zgadłam?

Bill Brama zastanowił się głęboko.

TRANSPORT OGÓLNY, stwierdził.

- To by się zgadzało. Masz jakąś rodzinę, Bill?

CÓRKĘ.

- To miło.

OBAWIAM SIĘ, ŻE STRACILIŚMY KONTAKT.

- Szkoda - stwierdziła panna Flitworth i zdawało się, że mówi to z przekonaniem. - Za dawnych lat bywało, że mieliśmy tu dobrą zabawę. Jeszcze kiedy żył mój chłopak, oczywiście.

MA PANI SYNA? spytał Bill, który trochę się pogubił.

Spojrzała na niego surowo.

- Zachęcam, żebyś zastanowił się nad słowem "panna" - powiedziała z godnością. - W naszych stronach takie sprawy traktuje się poważnie.

PROSZĘ WYBACZYĆ.

- Drobiazg. Miał na imię Rufus. Był przemysłowikiem, jak tato. Chociaż nie takim dobrym. Bardziej artystycznym. Przynosił mi z obcych stron różne rzeczy, ozdoby i biżuterię... I często chodziliśmy na tańce. Pamiętam, miał piękne łydki. Lubię popatrzeć na ładne męskie nogi.

Przez chwilę wpatrywała się w ogień.

- I kiedyś... Pewnego dnia już nie wrócił. Akurat przed naszym ślubem. Tato mówił, że nie powinien próbować przejścia przez góry tuż przed zimą, ale wiem, że chciał mi przynieść odpowiedni prezent. I chciał zarobić trochę pieniędzy, wyrzucić dobre wrażenie na tacie, bo tato był przeciwny...

Chwyciła pogrzebacz i szturchnęła płomienie mocniej, niż na to zasługiwały.

- W każdym razie niektórzy mówili potem, że uciekł do Farferee albo do Ankh-Morpork, ale ja wiem, że nigdy by tak nie postąpił. Badawcze spojrzenie, jakie rzuciła Billowi, przykuło go do fotela.

- A co ty myślisz, Billu Bramo? - zapytała surowo. Poczuł dumę, że potrafił dostrzec pytanie w pytaniu.

PANNO FLITWORTH, GÓRY ZIMĄ BYWAJĄ BARDZO ZDRADLIWE.

Wydawało się, że poczuła ulgę.

- Zawsze to powtarzałam. A wiesz co, Billu Bramo? Wiesz, co sobie pomyślałam?

NIE, PANNO FLITWORTH.

- To było na dzień przed naszym ślubem, jak już wspomniałam. A potem jeden z jego jucznych kucyków wrócił sam, więc ludzie poszli w góry i znaleźli ślady lawiny... I wiesz, co pomyślałam? Pomyślałam, że to śmieszne. Że to głupie. Straszne, prawda? Oczywiście, potem myślałam też inne rzeczy, ale na początku tylko to, że świat nie powinien się zachowywać, jakby był książką. Czy to nie straszne, myśleć coś takiego?

JA TEŻ NIE PRZEPADAM ZA DRAMATEM, PANNO FLITWORTH.

Nie słuchała go.

- I pomyślałam, że teraz świat oczekuje ode mnie, żebym przez lata snuła się dookoła w ślubnej sukni i w końcu całkiem zwariowała. Tego ode mnie chce. Ha! Nic z tego! Schowałam suknię do worka i zaprosiliśmy wszystkich na weselne śniadanie, bo to zbrodnia marnować dobre jedzenie.

Znów zaatakowała ogień pogrzebaczem i rzuciła Billowi megawatowe spojrzenie.

- Uważam, że najważniejsze to wiedzieć, co jest naprawdę ważne, a co nie. Prawda?

PANNO FLITWORTH...

- Słucham.

CZY MOGĘ ZATRZYMAĆ ZEGAR?

Zerknęła na wylupiastooką sowę.

- Co? Aha... Dlaczego?

OBAWIAM SIĘ, ŻE DZIAŁA MI NA NERWY.

- Nie tyka przecież za głośno...

Bill Brama chciał odpowiedzieć, że każde Łyknięcie jest jak uderzenie żelaznym młotem w spiżową kolumnę.

JEST DOŚĆ IRYTUJĄCY PANNO FLITWORTH.

- Zatrzymaj, jeśli ci przeszkadza. Nakręcam go tylko po to, żeby mieć jakieś towarzystwo.

Bill Brama wstał z wdzięcznością, ostrożnie pokonał dżungłę bibelotów i chwycił wahadło w kształcie szyszki. Drewniana sowa spojrzała na niego niechętnie, a tykanie wreszcie ucichło, przynajmniej w świecie fizycznych dźwięków. Zdawał sobie sprawę, że gdzie indziej puls Czasu dudni nieustannie. Jak ludzie mogą to znosić? Wpuszczali Czas do swoich domów, jakby był przyjacielem.

Wrócił na fotel.

Panna Flitworth zaczęła z pasją robić na drutach.

Ogień trzaskał w palenisku.

Bill Brama oparł się wygodnie i patrzył w sufit.

- Twój koń jest zadowolony?

SŁUCHAM?

- Twój koń. Chyba podoba mu się na łące - powtórzyła panna Flitworth.

OCH... TAK

- Biega wkoło, jakby nigdy przedtem nie widział trawy.

LUBIĘ TRAWĘ.

- A ty lubisz zwierzęta. Od razu poznałam. Bill skinął głową. Jego rezerwy swobodnej rozmowy, nigdy zbyt obfite, wyczerpały się ostatecznie.

Siedział w milczeniu kolejne dwie godziny, ściskając poręcz fotela, aż wreszcie panna Flitworth oznajmiła, że idzie spać. Wtedy wrócił do stodoły i zasnął.

Bill Brama nie wiedział, kiedy się tu zjawił. Ale był: szara postać unosząca się w ciemności stodoły. Skądś wziął jego złotą klepsydrę.

Powiedział mu: Billu Bramo, nastąpiła pomyłka.

Szkoło pękło. Drobne złociste sekundy migotały przez chwilę w powietrzu i opadły.

Powiedział mu: Wracaj. Czeka cię praca. To była pomyłka.

Po czym rozpląnął się.

Bill Brama skinął głową. Oczywiście, że to była pomyłka. Każdy widział, że to pomyłka. Bill od samego początku był o tym przekonany.

Rzucił spodnie w kąt i włożył szatę z absolutnej czerni.

No cóż, to było ciekawe doświadczenie. Lecz musiał przyznać, że wolałby go już nie powtarzać. Czuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

Czy na tym właśnie polega życie? To poczucie mroku ciągnącego człowieka w przepaść?

Jak oni mogą z tym żyć? A przecież żyją i nawet widzą w tym jakieś

przyjemne strony, choć jedyną sensowną reakcją jest tylko rozpacz. Zadziwiające - czuć, że jest się maleńką żyjącą istotą wciśniętą między dwa urwiska ciemności. Jak mogą wytrzymać to życie?

Najwyraźniej trzeba się do tego urodzić.

Śmierć osiodłał konia i ruszył przez pola. W dole kukurydza falowała jak morze. Panna Flitworth będzie musiała znaleźć innego pomocnika, żeby zebrać plon.

To dziwne... Odkrył jakieś uczucie. Poczucie winy? Chyba tak... Ale to reakcja Billa Bramy, a Bill Brama... umarł. Nigdy właściwie nie żył. Znowu był sobą, bezpieczny w miejscu, gdzie nie ma uczuć i nie ma wyrzutów.

Nigdy więcej wyrzutów.

Wreszcie znalazł się w swoim gabinecie. To dziwne, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak tu wchodził... Dopiero co siedział na koniu, a zaraz potem w gabinecie z księgami, klepsydrami i instrumentami.

W dodatku gabinet był większy, niż go pamiętał. Oczywiście, Billowi Bramie wydałby się ogromny, a pewnie jakaś resztką Billa jeszcze trwała. Najważniejsze to za dużo nie myśleć. Pogрузić się w pracy.

Na biurku stało już kilka życiometerów. Nie pamiętał, kiedy je tam postawił, ale to nieistotne. Liczy się tylko praca.

Sięgnął po najbliższy i przeczytał imię.

- **K**uku-dawa- je!

Panna Flitworth usiadła na łóżku. Na samej krawędzi snu słyszała inny dźwięk, który musiał obudzić koguta. Po kilku próbach zapaliła świecę, sięgnęła pod łóżko, palce zacisnęła na rękojeści kordelasa, którego zmarły pan Flitworth często używał, podróżując w interesach przez góry.

Zbiegła po trzeszczących schodach w chłód przedświt. Zawahała się u wrót stodoły. Po chwili uchyliła je tak, żeby się wśliznąć do wnętrza.

- Panie Brama!

Coś zaszeleściło w sianie i zaległo czujne milczenie.

PANNA FLITWORTH?

- Wołałeś? Jestem pewna, że ktoś wykrzyczał moje imię. Znowu szelest... Głowa Billa Bramy wysunęła się zza krawędzi stryszku.

PANNA FLITWORTH?

- Tak. A kogo się spodziewałeś? Dobrze się czujesz?

EEE... TAK CHYBA TAK

- Na pewno? Obudziłeś Cyryla.

TAK TAK NA PEWNO. TYLKO ŻE... MYŚLAŁEM, ŻE... TAK

Zdmuchnęła świecę. Było już dostatecznie jasno.

- Jeśli jesteś pewien... A skoro już wstałam, to równie dobrze mogę nastawić owsiankę.

Bill Brama leżał na sianie, aż nabrał pewności, że nogi go utrzymają. Potem zszedł na dół, do domu.

Milczał, kiedy panna Flitworth nalewała owsianki do stojącej przed nim miski i dodawała śmietany. Wreszcie nie mógł się już powstrzymać. Nie wiedział, jak zadawać pytania, ale naprawdę potrzebował odpowiedzi.

PANNO FLITWORTH...

- Słucham.

CO TO JEST... NOCĄ... KIEDY WIDZI SIĘ RÓŻNE RZECZY, ALE

ONE NIE SĄ NAPRAWDĘ?

Znieruchomiała z garnkiem owsianki w jednej ręce i chochlą w drugiej.

- Kiedy coś ci się przyśni?

TO WŁAŚNIE SĄ SNY?

- A ty nie śniesz? Myślałam, że wszyscy śnią.

O RZECZACH, KTÓRE MAJĄ NASTĄPIĆ?

- To przeczucia. Osobiście nigdy nie wierzyłam w przeczucia. Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie wiesz, co to są sny.

NIE. SKĄD. OCZYWIŚCIE, ŻE NIE.

- Coś cię martwi, Bill?

NAGLE ZROZUMIAŁEM, ŻE UMRZEMY.

Przyjrzała mu się w zadumie.

- Tak jak wszyscy - stwierdziła. - I to właśnie ci się przyśniło, tak? Czasami wszystkich nas nachodzi takie uczucie. Na twoim miejscu bym się nie przejmowała. Najlepsze, co można zrobić, to zająć się czymś i nie tracić humoru. Zawsze to powtarzam.

ALE NASZE ŻYCIE KIEDYŚ DOBIEGNIE KOŃCA!

- O tym nic nie wiem - odparła panna Flitworth. - Wszystko chyba zależy od tego, jakie to było życie.

SŁUCHAM?

- Czy jesteś człowiekiem religijnym?

CHCE PANI POWIEDZIEĆ, PANNO FLITWORTH, ŻE TO, CO NAS SPOTKA POTEM, JEST TYM, W CO WIERZYM, ŻE NAS

SPOTKA?

- Byłoby miło, gdyby tak właśnie miało się stać, prawda? - spytała wesoło.

ALE WIDZI PANI, JA WIEM, W CO JA WIERZĘ. WIERZĘ W... W NIC.

- Coś dzisiaj wstaliśmy nie w humorze. Zamiast tak się przejmować, lepiej skończ owsiankę. Mówią, że jest zdrowa na kości. Bill Brama zajrzał do miski.

MOGĘ DOSTAĆ JESZCZE TROCHĘ?

Przez cały ranek Bill Brama rąbał drzewo. Było to przyjemnie monotonne zajęcie.

Zmęczyć się... To najważniejsze. Sypiał przecież przed ostatnią nocą, ale musiał być tak zmęczony, że nic mu się nie śniło. I postanowił, że nigdy więcej nic mu się już nie przyśni. Siekiera wznosiła się i opadała na kloce niczym wahadło. Nie! Tylko nie wahadło!

Kiedy wszedł do kuchni, na piecu stało kilka garnków.

ŁADNIE PACHNIE, stwierdził. Sięgnął po podskakującą pokrywkę.

Panna Flitworth odwróciła się przestraszona.

- Nie dotykaj tego! Nie można tego jeść! To dla szczurów!

PRZECIEŻ SZCZURY SAME SIĘ KARMIA.

- Otóż to. Waśnie dlatego przed zbiorami podajemy im coś na dodatek. Parę porcji tego przy ich norach i... nie ma więcej szczurów.

Bill potrzebował dłuższej chwili, żeby dodać dwa do dwóch, ale kiedy

to już nastąpiło, przypominało gody megalitów.

TO TRUCIZNA?

- Wyciąg spikkli zmieszany z owsem. Nigdy nie zawodzi.

I ONE UMIERAJĄ?

- Natychmiast. Padają na grzbiet i wyciągają łapki. My zjemy chleb z serem - dodała. - Nie będę gotować dwa razy dziennie, a na kolację będzie kura. A skoro o kurach mowa... Chodź.

Zdjęła z haka tasak i wyszła na podwórze. Kogut Cyryl przyglądał się jej podejrzliwie ze stosu odpadków. Jego harem tłustych i trochę podstarzałych kwok, grzebiących spokojnie w ziemi, teraz podbiegł do panny Flitworth tym rozkołysanym, nierównym krokiem kwok na całym świecie. Panna Flitworth szybko wyciągnęła rękę i złapała jedną z nich.

Kura przyglądała się Billowi głupimi, błyszczącymi oczkami.

- Potrafisz oskubać kurę?

Bill spoglądał to na nią, to na ptaka.

PRZECIEŻ JE KARMIMY, powiedział bezradnie.

- Zgadza się. A potem one nas karmią. Ta już od paru miesięcy nie znosi jaj. Tak to bywa w kurzym świecie. Pan Flitworth ukręcał im łebki, aleja nigdy jakoś się tego nie nauczyłam. Tasakiem nie robi się tego tak czysto, a potem trochę jeszcze biegają, ale i tak są martwe i wiedzą o tym.

Bill Brama rozważał możliwości. Kura skupiła na nim wzrok paciorkowatego oka. Kury są o wiele głupsze od ludzi i nie dysponują wyrafinowanymi filtrami myślowymi, które nie pozwalają zobaczyć tego, co jest naprawdę. Teraz kura wiedziała, gdzie jest i kto się jej przygląda.

Bill spojrzał w to proste i nieważne życie; zobaczył przesypujące się ostatnie sekundy.

Nigdy nie zabijał. Zabierał życie, ale tylko wtedy, kiedy już się skończyło. Jest pewna różnica między kradzieżą i zabranie tego, co ktoś wrzucił.

NIE TASAK, powiedział znużonym głosem.

PROSZĘ MI DAĆ TĘ KURĘ.

Na chwilę odwrócił się plecami, po czym wręczył pannie Flitworth bezwładne ciało.

- Dobra robota - pochwaliła go i wróciła do kuchni.

Bill Brama poczuł na sobie oskarżycielski wzrok Cyryla.

Otworzył dłoń. Nad palcami unosiła się maleńka plamka światła.

Dmuchnął na nią delikatnie i rozwiała się bez śladu.

Po obiedzie wyłożyli truciznę na szczury. Czuł się jak morderca.

Zginęło wiele szczurów.

Głęboko w tunelach pod stodołą - w tych najgłębszych, wygrzebanych dawno temu przez zapomnianych już szczurzych przodków - coś pojawiło się w ciemności.

Zdawało się, że ma trudności z decyzją, jaki kształt powinno przybrać.

Zaczęło jak bryła mocno podejrzanego sera. Ale to nie był dobry wybór.

Potem próbowało wyglądać jak mały głodny terier. Ten kształt też został odrzucony.

Na chwilę stało się pułapką z żelaznymi szczękami. Ale pułapka

wyraźnie się nie nadawała.

Zaczął szukać innych pomysłów i - ku jego zdumieniu - jeden pojawił się natychmiast, jakby przybył z bardzo bliska. Nie był to właściwie kształt, ale pamięć kształtu.

Sprawdziło go i przekonało się, że choć zupełnie się nie nadaje do tej pracy, w jakiś głęboko zadowalający sposób jest też jedynym możliwym kształtem.

Coś ruszyło do pracy.

Tego popołudnia miejscowi ćwiczyli na łące strzelanie z łuku. Bill Brama konsekwentnie starał się o reputację najgorszego łucznika w całej historii tego sportu. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że przebijanie strzałami kapeluszy gapiów stojących za plecami, logicznie rzecz biorąc, wymaga większych umiejętności niż zwykłe posyłanie tych samych strzał w kierunku sporej tarczy, oddalonej zaledwie o dwadzieścia pięć sążni.

Zadziwiające, ilu przyjaciół może zyskać człowiek - albo szkielet - kiedy sobie z czymś nie radzi. Pod warunkiem że nie radzi sobie tak bardzo, żeby było to śmieszne.

Dlatego pozwolono mu usiąść na ławie przed gospodą, wśród najstarszych mieszkańców.

Tuż obok z komina wiejskiej kuźni strzelały w górę iskry i spiralą wznosiły się w półmroku. Zza zamkniętych wrót dobiegały głośnie uderzenia młota. Bill Brama zastanawiał się czasem, czemu kuźnia zawsze jest zamknięta. Kowale zwykle pracowali przy otwartych wrotach, przez co ich chata stawała się nieoficjalnym miejscem spotkań. Ten jednak był chyba całkiem zajęty pracą.

- Cześć, szykielecie. Bill obejrzał się.

Córeczka oberżysty obserwowала go najbardziej przenikliwym wzrokiem, jaki wdział.

- Jesteś szykieletem, prawda? - spytała. - Od razu poznałam po tych kościach.

MYLISZ SIĘ, MAŁE DZIECKO.

- Jesteś. Ludzie zmieniają się w szykielety, kiedy już umrą. Ale nie powinni potem chodzić.

HA. HA. HA. SŁYSZYCIE, CO WYGADUJE TEN DZIECIAK?

- To dlaczego ty chodzisz?

Bill Brama zerknął na staruszków. Wszyscy pilnie obserwowali łuczników.

COŚ CI POWIEM, zaproponował zdesperowany. JEŚLI SOBIE PÓJDZIESZ, DOSTANIESZ PÓLPENSÓWKĘ.

- Mam w domu maskę szykieletu, żeby w niej chodzić na łąkocie w Noc Duchowego Ciasta - odpowiedziała. - Jest z papieru, I dostaje się wtedy cukierki.

Bill Brama popełnił błąd, jaki popełniają miliony ludzi w mniej więcej zbliżonych okolicznościach. Odwołał się do rozsądku.

POSŁUCHAJ, MAŁA DZIEWCZYINKO, rzekł. GDYBYM NAPRAWDĘ BYŁ SZKIELETEM. TO PRZECIEŻ CI STARSI PANOWIE MIELIBY CHYBA COŚ DO POWIEDZENIA NA TEN TEMAT.

Przyjrzała się staruszkom na ławie.

- Oni i tak już są prawie jak szykielety - stwierdziła. - Dlatego wolą nie widzieć jeszcze jednego. Zrezygnował.

MUSZĘ PRYZNAĆ, ŻE W TEJ KWESTII SIĘ NIE MYLISZ.

- To dlaczego się nie rozpadasz na kawałki?

NIE WIEM. NIGDY SIĘ JAKOŚ NIE ROZPADŁEM.

- Widziałam szykielety ptaków i różnych innych i one zawsze się rozpadają.

MOŻE DLATEGO ŻE SĄ TYM, CO CZYMŚ BYŁO. A JA JESTEM TYM, CZYM JESTEM.

- Aptekarz, który robi lekarstwa w Chambly, ma takiego szykieleta. Wisi na haku i cały jest powiązany drutem, żeby kości się trzymały razem - oznajmiła dziewczynka z miną osoby, która przekazuje informację zdobytą po długich studiach tematu.

JA NIE MAM DRUTU.

- Jest jakaś różnica między żywymi szykieletami i martwymi?

TAK.

- To znaczy, że on ma tam u siebie nieżywego szykieleta?

TAK

- Takiego, co kiedyś był w kimś?

TAK

- Eee... Blee.

Dziecko przez chwilę wpatrywało się w daleki horyzont, po czym oświadczyło:

- Mam nowe skarpetki. TAK?

- Jak chcesz, to możesz obejrzeć.

Brudna stopa została wyciągnięta do przodu i poddana inspekcji.

NO, NO. COŚ PODOBNEGO. NOWE SKARPETKI.

- Mama zrobiła je na drutach. Z owcy.

NIE DO WIARY.

Horyzont został przestudiowany po raz drugi.

- A wiesz... - zaczęła. - Wiesz... że dziś piątek?

TAK.

- Znalazłam łyżeczkę.

Bill Brama odkrył nagle, że czeka niecierpliwie, co dalej. Nie miał doświadczenia w rozmowach z ludźmi o czasie koncentracji uwagi poniżej trzech sekund.

- Pracujesz u panny Flitworth?

TAK

- Tato mówi, że u niej trzeba porządnie trzymać nogi pod stołem.

Bill Brama nie wiedział, co na to odpowiedzieć, ponieważ nie zrozumiał, co to znaczy. Było to jedno z tych prostych stwierdzeń, które wypowiadają ludzie, i które naprawdę są tylko maską dla czegoś bardziej subtelного, często przekazywanego tylko tonem głosu czy spojrzeniem, czego dziecko jednak nie zrobiło.

- Tato mówi, że ma tam skrzynie pełne skarbów.

TAK?

- A ja mam dwa pensy.

NA BOGÓW!

- Sal!

Oboje się obejrżeli. Na progu stanęła pani Lifton.

- Pora do łóżka. Przestań męczyć pana Bramę.

ALEŻ ZAPEWNIAM, ŻE WCALE...

- Powiedz grzecznie dobranoc.

- A jak śpią szykielety? Przecież nie mogą zamknąć oczu, bo... Przez chwilę słyszał jeszcze stłumione głosy z wnętrza gospody.

- Nie wolno tak nazywać pana Bramy, bo on... on jest... bardzo... on jest po prostu bardzo chudy.

- Nic nie szkodzi. Nie jest z tych umarłych.

W głosie pani Lifton zabrzmiał znajomy ton niepokoju, typowy dla ludzi, którzy nie mogą się zmusić do wiary w to, co widzą na własne oczy.

- Może niedawno był bardzo chory...

- Myślę, że był taki chory, jak w ogóle można być.

Bill Brama wrócił do domu zamyślony.

W kuchni paliło się światło, ale poszedł prosto do stodoły, wspiął się po drabinie i położył.

Mógł walczyć ze snami, ale nie mógł powstrzymać wspomnień.

Patrzył w ciemność.

Po chwili usłyszał cichy tupot. Obejrzał się.

Strumień bladych, szczurokształtnych duchów sunął po belce dachu ponad jego głową. Rozwiewały się biegnąc, tak że po chwili nie pozostało już nic prócz uderzeń łapek.

Za duchami postępował... kształt.

Miał około sześciu cali wzrostu. Nosił czarną szatę. W szkieletowej łapce ścisnął kosę. Białe jak kość nos z widmowymi szarymi wąsikami sterczał spod cieniściego kaptura.

Bill Brama podniósł go. Kształt nie opierał się, ale stał mu na dłoni i spoglądał na niego jak jeden profesjonalista na drugiego.

JESTEŚ... odezwał się Bill.

Śmierć Szczurów przytaknęła.

PIP.

PAMIĘTAM, rzeki Bill, JAK KIEDYŚ BYŁEŚ CZĘŚCIĄ MNIE.

Śmierć Szczurów pisnął znowu.

Bill Brama pogrzebał po kieszeniach spodni. Schował tam swoje kanapki... O, są.

PRZYPUSZCZAM, powiedział, ŻE CHĘTNIE ZAMORDUJESZ KAWAŁEK SERA.

Śmierć Szczurów przyjął ser z wdzięcznością.

Bill Brama przypomniał sobie, że kiedyś odwiedził pewnego starca - tylko raz - który prawie całe życie spędził zamknięty w celi na wieży, skazany za takie czy inne rzekome przestępstwo. Oswoił ptaszki, żeby dotrzymać - mu towarzystwa w dożywotnim wyroku. Ptaszki brudziły mu na łóżko i wyjadały jedzenie, ale tolerował je i uśmiechał się, widząc, jak wlatują i wylatują przez wąskie zakratowane okno. Śmierć zastanawiał się wtedy, dlaczego ktoś miałby się tak zachowywać.

NIE CHCĘ CIĘ ZATRZYMYWAĆ, powiedział. PEWNIENIE MASZ PRACĘ DO WYKONANIA, SZCZURY DO ODWIEDZENIA. WIEM, JAK TO JEST.

Teraz zrozumiał.

Odstawił postać na belkę i ułożył się na sianie.

WPADNIJ, GDYBYŚ BYŁ KIEDY W POBLIŻU.

Potem Bill Brama znowu wpatrzył się w ciemność.

Sen... Czuł, jak krąży wokół niego. Sen, a wraz z nim senne zjawy.

Leżał w ciemności i walczył.

Wołanie panny Flitworth poderwało go nagle. Ku jego uldze, nadal je słyszał.

Wrota stodoły otworzyły się z trzaskiem.

- Bill! Zejdź na dół! Szybko!

Spuścił nogi na drabinę.

CO SIĘ DZIEJE, PANNO FLITWORTH?

- Pali się!

Przebiegli przez podwórze na gościniec. Niebo nad wioską było czerwone.

- Chodź!

ALE TO NIE NASZ OGIEŃ.

- Niedługo będzie wszystkich! Przenosi się po strzechach jak szalony!

Dotarli do marnej imitacji rynku. Gospoda stała już w płomieniach; jej strzecha z rykiem wysyłała ku niebu miliony wirujących iskieł.

- Patrz, tylko się gapią! - burknęła panna Flitworth. - Przecież jest

pompa, wszędzie stoją wiadra! Dlaczego ci ludzie nie myślą?

Kawałek dalej wybuchła szamotanina - to kilku klientów próbowało powstrzymać oberżystę Liftona wyrywającego się w stronę budynku. Krzyczał na nich.

- Dziewczynka została w środku? - upewniła się panna Flitworth. - Tak powiedział?

- TAK.

Płomienie wylewały się ze wszystkich okien na piętrze.

- Musi być jakiś sposób - stwierdziła panna Flitworth. - Może znajdziemy drabinę...

NIE POWINNIŚMY.

- Co? Przecież musimy spróbować. Nie możemy zostawiać tam ludzi!

NIE ROZUMIE PANI, tłumaczył jej Bill Brama. MAJSTROWANIE PRZY LOSIE JEDNEJ OSOBY MOŻE ZNISZCZYĆ CAŁY ŚWIAT.

Panna Flitworth spojrzała na niego, jakby nagle oszalała.

- Co to za bzdury?

CHCĘ POWIEDZIEĆ, ŻE NA KAŻDEGO PRZYCHODZI WŁAŚCIWY CZAS.

Spojrzała na niego. Podniosła rękę i z rozmachem uderzyła go w twarz.

Policzek był twardszy, niż się spodziewała. Krzyknęła i podniosła dłoń do ust.

- Jeszcze dziś opuścisz moją farmę - oznajmiła. - Zrozumiano?

Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę pompy.

Kilku ludzi przyniosło długie drągi z hakami, żeby zerwać z budynku płonącą strzechę. Panna Flitworth zorganizowała grupę, która oparła drabinę o jedno z okien na piętrze. Zanim jednak zdołała kogoś przekonać, by wszedł na górę pod parującą osłoną mokrej derki, szczyt drabiny już się tlił.

Bill Brama obserwował płomienie.

Wyjął z kieszeni złotą klepsydrę. Odbity w szkło ogień jarzył się czerwienią. Bill schował klepsydrę.

Część dachu się zapadła.

PIP.

Bill spojrzał pod nogi. Niewielka figurka w czarnej szacie przeszła mu między stopami i ruszyła do ognistych drzwi gospody.

Ktoś wrzeszczał o jakichś beczkach brandy.

Bill Brama raz jeszcze wyjął z kieszeni klepsydrę. Mimo huku płomieni usłyszał szelest spadającego piasku. Przyszłość przesypywała się w przeszłość, a tej przeszłości było o wiele więcej niż przyszłości. Uderzyło go nagłe odkrycie, że wszystko to zawsze płynęło przez teraz.

Ostrożnie schował klepsydrę.

Śmierć wiedział, że majstrowanie przy losie jednego człowieka może zniszczyć cały świat. Ta wiedza była w niego wbudowana. Ale uświadomił sobie, że dla Billa Bramy to tylko głupstwa. A NIECH TO, powiedział. I wszedł w ogień.

- **H**ej, bibliotekarzu! - zawołał Windle Poons, usiłując krzyczeć przez dziurkę od klucza. - Toja, Windle Poons. Kilka razy załomotał w drzwi.

- Dlaczego nie odpowiada?

- Nie wiem - odpowiedział mu jakiś głos zza pleców.
- Schleppel?
- To ja, panie Poons.
- Dlaczego za mną chodzisz?
- Muszę stać za czymś, panie Poons. Tak zawsze robi strach.
- Bibliotekarzu! - Windle uderzył pięścią w drzwi.
- Uuk.
- Czemu nie chcesz mnie wpuścić?
- Uuk.
- Ale muszę coś sprawdzić!
- Uuk, uuk!
- No owszem, jestem. Ale co to ma wspólnego...?
- Uuk!
- To... to niesprawiedliwe!
- Co on mówi, panie Poons?
- Że nie wpuści mnie do środka, ponieważ jestem martwy.
- Typowe. Właśnie z takim traktowaniem walczy Reg Shoe.
- Czy jest ktoś jeszcze, kto zna się na sile życia?
- Zawsze pozostaje jeszcze pani Cake. Ale ona jest trochę dziwna.
- Kim jest pani Cake? - zapytał Windle i uświadomił sobie, co takiego powiedział Schleppel. - Przecież sam też jesteś dziwny. Jesteś strachem.

- Nie słyszał pan o pani Cake?

- Nie.

- Nie sędzę, żeby interesowała się magią. Poza tym pan Shoe mówił, że nie powinniśmy z nią rozmawiać. Wykorzystuje martwych. Tak uważa.

- W jaki sposób?

- Jest medium. No, dosyć małym.

- Naprawdę? No dobrze, chodźmy ją odwiedzić. I jeszcze coś... Schleppel.

- Słucham.

- To irytujące uczucie, mieć cię stale za plecami.

- Bardzo się denerwuję, jeśli się za czymś nie chowam, panie Poons.

- A nie mógłbyś się przyczaić za czymś innym?

- Co pan proponuje, panie Poons?

Windle zastanowił się szybko.

- Tak, to może się udać - mruknął pod nosem. - jeśli tylko znajdę śrubokręt.

Ogrodnik Modo na klęczkach okopywał dalej, kiedy usłyszał za sobą rytmiczne zgrzytania i stuknięcia, jakie zwykle powoduje ktoś, kto próbuje przesunąć ciężki przedmiot. Obejrzał się.

- Dobry wieczór, panie Poons. Widzę, że wciąż jest pan martwy.

- Dobry wieczór, Modo. Ładnie tu u ciebie.

- Ktoś ciągnie za panem drzwi, panie Poons.

- Tak, wiem.

Drzwi przesuwają się ostrożnie wzdłuż alejki. Kiedy mijały Modę, odwróciły się niezgrabnie, jakby ten, kto je niósł, starał się za nimi chować.

- To takie drzwi dodające pewności siebie - wyjaśnił Windle.

Urwał. Coś tu było nie tak. Nie mógł dokładnie określić, o co chodzi, ale nagle wokół wyczuł nieprawidłowość, jakby ktoś w orkiestrze zagrał fałszywą nutę. Zbadał wzrokiem okolicę.

- Co to jest, do czego wrzucasz chwasty? - zapytał. Modę zerknął na stojący przy nim obiekt.

- Niezły, prawda? - powiedział z dumą. - Znalazłem go przy pryzmach kompostu. Moje taczki się popsuły, a tam...

- Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego - stwierdził Windle. - Kto by chciał robić koszyk z drutu? A te kółka wdają się za małe.

- Ale wygodnie się go popycha za tę rączkę - zauważył Modę. - Dziwię się, że ktoś wyrzucił coś takiego. Dlaczego ktoś miałby wyrzucać taki wygodny wózek, panie Poons?

Windle przyjrzał się wózkowi. Nie mógł się pozbyć uczucia, że wózek przygląda się jemu.

Usłyszał własny głos:

- A może sam tam trafił?

- Zgadza się, panie Poons! Pewno szukał odrobiny spokoju! - ucieszył się Modę. - Pan to ma głowę.

- Tak - zgodził się Windle. - Na to chyba wygląda.

Wyszedł do miasta; cały czas słyszał za sobą stukanie i zgrzytanie

drzwi.

Gdyby miesiąc temu ktoś mi powiedział, że kilka dni po śmierci będę sobie szedł ulicą w towarzystwie nieśmiałego stracha schowanego za drzwiami... Boja wiem? Chybabym go wyśmiał.

Nie, raczej nie. Powiedziałbym "eee?" i "co?", i "mów głośniej!", a i tak nic bym w końcu nie zrozumiał.

- Ktoś obok zaszczeakał.

Jakiś pies przyglądał mu się uważnie. Bardzo duży pies. Właściwie jedynym powodem, dla którego należało go uznać za psa, a nie wilka, był powszechnie znany fakt, że wilki nie pojawiają się w miastach.

Pies mrugnął. Windle pomyślał: Nie było pełni.

- Lupine? - odgadł. Pies przytaknął.

- Możesz mówić? Pies pokręcił głową.

- A co teraz robisz? Lupine wzruszył ramionami.

- Chcesz iść ze mną?

Kolejne wzruszenie ramion, które jasno jak słowa wyraziło myśl: Dlaczego nie? Co jeszcze mam do roboty?

Gdyby miesiąc temu ktoś mi powiedział, myślał Windle, że kilka dni po śmierci będę sobie szedł ulicą w towarzystwie nieśmiałego stracha schowanego za drzwiami i czegoś w rodzaju odwrotnej wersji wilkołaka... no, nie wiem... Prawdopodobnie bym go wyśmiał. Kiedy już powtórzyły to kilka razy, bardzo głośno.

Śmierć Szczurów zagonił swych ostatnich klientów, z których wielu ukrywało się w słomie dachu, i poprowadził przez płomienie do miejsca,

gdzie trafiają dobre szczury. Ze zdziwieniem minął ognistą postać przedzierającą się przez gorącą masę zwalonych belek i zapadających się podłóg. Kiedy wspinała się na płonące schody, wyjęła coś z rozpadających się resztek ubrania i chwyciła w zęby.

Śmierć Szczurów nie czekał, co się zdarzy. Pod pewnymi względami był wprawdzie tak pradawny jak pierwsze protoszczury, ale pojawił się przecież ledwie wczoraj i wciąż trochę zgadywał, jak Śmierć powinien się zachowywać. Być może, zdawał sobie też sprawę, że głęboki, dudniący odgłos, od którego dygotały ściany, wydaje brandy, która zaczyna już wrzeć w swych beczułkach.

A istotną cechą wrzącej brandy jest to, że nie wrze zbyt długo.

Kula ognia rozrzuciła kawałki gospody na całe mile dookoła. Białe od żaru płomienie wystrzeliły z otworów, gdzie kiedyś były okna i drzwi. Ściany eksplodowały. Płonące krokwie przeleciały nad głowami. Niektóre trafiły na sąsiednie dachy, wywołując kolejne pożary.

Pozostała tylko plama jasności, od której łzawiły oczy.

A potem niewielkie kałuże cienia w tej jasności.

Przesuwały się i zbiegały razem, aż utworzyły wysoką sylwetkę idącą długim krokiem i niosącą coś przed sobą.

Minęła poparzonych gapiów i chłodną, mroczną drogą pomaszerowała w stronę farmy. Ludzie otrząsali się i podążali za nią niczym warkocz ciemnej komety.

Bill Brama wszedł do sypialni panny Flitworth i ułożył dziecko na łóżku.

MÓWIŁA, ŻE GDZIEŚ NIEDALEKO JEST APTEKARZ.

Panna Flitworth przecisnęła się przez tłumek na schodach.

- Jeden mieszka w Chambly - przypomniała sobie. - Ale jest też czarownica przy drodze do Lancre.

ŻADNYCH CZAROWNIC. ŻADNEJ MAGII. PROSZĘ PO NIEGO POSŁAĆ. A WSZYSCY INNI WYJDA.

To nie była prośba. To nawet nie był rozkaz. To było po prostu stwierdzenie faktu.

Panna Flitworth zamachała chudymi rękami.

- No już! Widowisko skończone! Uciekać stąd! Jesteście w mojej sypialni! No już, wynocha!

- Jak on to zrobił? - odezwał się ktoś z tylnych szeregów. - Nikt nie mógł wyjść stamtąd żywy! Widzieliśmy, że wszystko wyleciało w powietrze!

Bill Brama odwrócił się powoli.

SCHOWALIŚMY SIĘ, powiedział. W PIWNICY.

- No właśnie. Widzicie? - powiedziała panna Flitworth. - W piwnicy. Bardzo rozsądnie.

- Przecież gospoda nie miała... - zaczął ktoś z powątpiewaniem, ale urwał nagle. Bill Brama patrzył na niego. - W piwnicy... - poprawił się szybko. - Tak. Zgadza się. Sprytnie.

- Bardzo sprytnie - dodała panna Flitworth. - A teraz idźcie stąd wszyscy.

Słyszał, jak wypędza gapiów ze schodów i z chaty. Trzasnęły drzwi. Nie słyszał, jak wraca na górę z miską chłodnej wody i ręcznikiem - jeśli tylko chciała, panna Flitworth potrafiła chodzić bezszelestnie.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Rodzice będą chcieli ją zobaczyć - oznajmiła. - Matka zemdlą, a Duży Henry z młyna musiał powalić jej ojca, bo chciał wrócić w płomienie.

Ale i tak zaraz się tu zjawia.

Pochyliła się i otarła dziewczynce czoło.

- Gdzie była?

SCHOWAŁA SIĘ W KREDENSIE.

- Przed ogniem?

Bill Brama wzruszył ramionami.

- Dziwię się, że potrafiłeś ją znaleźć w tym ogniu i dymie...

MOŻNA TO CHYBA NAZWAĆ DAREM,

- I nie ma żadnej rany...

Bill Brama zignorował brzmiące w głosie pytanie.

CZY POSŁAŁA PANI KOGOŚ PO APTEKARZA?

- Tak.

NIE WOLNO MU NICZEGO STĄD ZABIERAĆ.

- Nie rozumiem.

PROSZĘ TU ZOSTAĆ, KIEDY PRZYJDZIE. NIE WOLNO WAM
NICZEGO WYNIIEŚĆ Z TEGO POKOJU.

- To bez sensu. Dlaczego miałby coś wynosić? I co miałby zabierać?

TO BARDZO WAŻNE. A TERAZ MUSZĘ PANIĄ OPUŚCIĆ.

- Dokąd idziesz?

DO STODOŁY. PEWNYCH RZECZY MUSZĘ DOPILNOWAĆ. NIE
ZOSTAŁO ZBYT WIELE CZASU.

Panna Flitworth spojrzała na dziecko. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Mogła tylko zgadywać.

- Wygląda, jakby spała - stwierdziła bezradnie. - Co właściwie jej jest?

Bill Brama przystanął u szczytu schodów.

ŻYJE W POŻYCZONYM CZASIE, wyjaśnił.

Za stodołą wznosiła się stara kuźnia, nieużywana już od lat. Ale teraz czerwone i żółte błyski zalewały podwórze i pulsowały niczym serce. I jak u serca, rozbrzmiewało regularne dudnienie. Z każdym uderzeniem światło rozbłyskiwało błękitem.

Panna Flitworth zajrzała przez otwarte wrota. Gdyby była osobą, która przysięga, mogłaby się zaklinać, że nie wydała żadnego dźwięku, który byłby słyszalny przez trzask ognia i uderzenia młotka. Jednak Bill Brama odwrócił się i stanął pochylony, trzymając przed sobą zakrzywione ostrze.

- To ja!

Rozluźnił się, a przynajmniej przeszedł na inny poziom napięcia.

- Co ty tu robisz, do demona?

Spojrzał na ostrze w rękę, jakby widział je po raz pierwszy.

POMYŚLAŁEM, ŻE NAOSTRZĘ KOSE, PANNO FLITWORTH.

- O pierwszej w nocy?

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

W NOCY JEST TAK SAMO TĘPA, PANNO FLITWORTH.

Po czym uderzył kosą o kowadło.

I NIE MOGĘ NAOSTRZYĆ JEJ DOŚĆ DOBRZE!

- Myślę, że zaszkodziło ci to gorąco - stwierdziła i ujęła go za ramię. - Poza tym wygląda na całkiem ostrą... - zaczęła i urwała nagle. Palce przesunęły się po kości ramienia, cofnęły na chwilę i zacisnęły znowu.

Bill Brama zadrżał.

Panna Flitworth nie wahała się długo. Przez siedemdziesiąt pięć lat widziała wojny, głód, niezliczone chore zwierzęta, kilka epidemii i tysiące drobnych, codziennych tragedii. Smutny szkielet nie mieścił się nawet w górnej dziesiątce Najgorszych Rzeczy, jakie знаła.

- Więc to ty... - powiedziała tylko.

PANNO FLITWORTH, JA...

- Zawsze wiedziałam, że w końcu przyjdiesz.

CHYBA JEDNAK POWINIENEM...

- Wiesz, przez większą część życia czekałam na rycerza na białym koniu. - Panna Flitworth uśmiechnęła się. - Zażartowałeś ze mnie, co?

Bill Brama usiadł ciężko na kowadle.

- Przyjechał aptekarz - poinformowała go panna Flitworth. - Powiedział, że nic nie może zrobić. Twierdzi, że małej nic nie dolega. Tyle że nie potrafi jej obudzić. A wiesz, ledwie nam się udało rozewrzeć jej palce, tak mocno to trzymała.

MÓWIŁEM, ŻE NIE WOLNO NICZEGO ZABIERAĆ!

- W porządku, nic się nie stało. Zostawiliśmy jej to w ręce.

DOBRZE.

- Co to jest?

MÓJ CZAS.

- Słucham?

MÓJ CZAS. CZAS MOJEGO ŻYCIA.

- Wygląda jak taka klepsydra do gotowania bardzo drogich jajek.

Bill Brama zdziwił się wyraźnie.

NO TAK. W PEWNYM SENSIE. ODDAŁEM JEJ CZĘŚĆ MOJEGO CZASU.

- Jak to możliwe, że potrzebujesz czasu?

WSZYSTKIE ŻYWE ISTOTY POTRZEBUJĄ CZASU. A KIEDY SIĘ SKOŃCZY, UMIERAJĄ. KIEDY TEN CZAS UPŁYNIE, ONA UMRZE. I JA TEŻ UMRĘ. ZA KILKA GODZIN.

- Przecież nie możesz...

MOGĘ. TRUDNO TO WYTŁUMACZYĆ.

- Posuń się.

CO?

- Mówię: posuń się. Chcę usiąść.

Bill Brama zrobił jej miejsce na kowadle. Panna Flitworth usiadła.

- Czyli umrzesz... - powiedziała.

TAK.

- Ale nie chcesz?

NIE.

- Dlaczego nie?

Spojrzał na nią, jakby nagle wpadła w obłęd.

PONIEWAŻ WTEDY NIE BĘDZIE JUŻ NICZEGO. PONIEWAŻ
NIE BĘDĘ ISTNIAŁ.

- To samo dzieje się z ludźmi, prawda?

NIE SĄDZĘ. DLA WAS WYGLĄDA TO INACZEJ. MACIE TO
LEPIEJ ZORGANIZOWANE.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w gasnące węgle na palenisku kuźni.

- W takim razie po co ostrzyłeś tę kosę? - spytała panna Flitworth.

POMYŚLAŁEM, ŻE MÓGLBYM... WALCZYĆ.

- Czy komuś się to udało? Znaczący, przeciw tobie?

NA OGÓŁ NIE. CZASAMI LUDZIE PROponują MI GRĘ. WIE
PANI, O SWOJE ŻYCIE.

- Czy któryś wygrał?

NIE. CHOCIAŻ W ZESZŁYM ROKU KTOŚ ZDOBYŁ TRZY
ULICE I WSZYSTKIE USŁUGI.

- Co? Jaka to była gra?

NIE PAMIĘTAM. NAZYWAŁA SIĘ CHYBA "WYŁĄCZNE
POSIADANIE". BYŁEM W ARESZCIE.

- Chwileczkę - przerwała mu panna Flitworth. - Skoro ty jesteś tobą, to
kto po ciebie przyjdzie?

ŚMIERĆ. W CZORAJ W NOCY KTOŚ WSUNĄŁ MI TO POD
WROTA.

Śmierć pokazał jej przybrudzony skrawek papieru, na którym panna Flitworth z pewnym wysiłkiem odczytała słowo: OooooEEEEEOOOooEEEEEOOOooooEEEEE.

OTRZYMAŁEM NIESTARANNIE NAPISANY LIŚCIK OD BANSHEE.

Panna Flitworth pochyliła głowę.

- Ale przecież... popraw mnie, jeśli się mylę... przecież... NOWY ŚMIERĆ. Bill Brama sięgnął po kosę.

BĘDZIE STRASZNY.

Ostrze przekreśliło mu się w dłoniach. Na krawędzi błysnęło niebieskie światło.

JA BĘDĘ PIERWSZY.

Panna Flitworth zafascynowana wpatrywała się w odbłyски.

- A jak straszny?

JAKIEGO STRASZNEGO MOŻE PANI SOBIE WYOBRAZIĆ?

-Och.

WŁAŚNIE TAKI.

Ostrze pochylało się w tę i w tamtą stronę.

- Po dziecko też? - upewniła się panna Flitworth.

TAK

- Nie sądzę, żebym była ci coś winna, Billu Bramo. Nie sądzę, żeby ktokolwiek na całym świecie był ci coś winien.

MOŻE MA PANI RACJĘ.

- Ale życie też odpowiada za to czy owo. Bądźmy sprawiedliwi.

TRUDNO MI POWIEDZIEĆ.

Panna Flitworth raz jeszcze przyjrzała mu się badawczo.

- W kącie leży całkiem dobry kamień szlifierski - poinformowała.

JUŻ GO UŻYWAŁEM.

Miała wrażenie, że poruszenia ostrza wywołują dźwięk, rodzaj cichego jęku naprężonego powietrza.

- A na półce leży osełka.

JEJ TEZ UŻYŁEM.

- I wciąż nie jest dość ostra?

Bill Brama westchnął.

MOŻE NIGDY NIE BĘDZIE DOŚĆ OSTRA.

- Daj spokój. Nie można się poddawać - stwierdziła pocieszająco panna Flitworth. - Póki trwa życie, prawda?

PÓKI TRWA ŻYCIE, PRAWDA CO?

- Poty jest nadzieja.

A JEST?

- Pewno.

Bill Brama przesunął kościstym palcem po ostrzu.

NADZIEJA?

- A zostało ci jeszcze coś, co mógłbyś wypróbować? Bill pokręcił

głową. Sprawdził już kilka emocji, ale ta była całkiem nowa.

MOŻE MI PANI PRZYNIEŚĆ STAL?

Minęła godzina.

Panna Flitworth przeszukała worek ze szmatami. - Co teraz? - spytała.

A CO MIELIŚMY DO TEJ PORY?

- Chwileczkę... Jutę, perkal, płótno... Może atlas? Masz tu kawałek.

Bill Brama wziął szmatkę i przejechał nią delikatnie po ostrzu. Panna Flitworth sięgnęła głębiej i wyjęła zwitek białej materii.

TAK?

- Jedwab - wyjaśniła cicho. - Najcieńszy biały jedwab. Prawdziwy. Nigdy nienoszony.

Usiadła i zapatrzyła się w materiał.

Po chwili Bill delikatnie wyjął jej go z dłoni.

DZIĘKUJĘ.

- No dobrze. - Ocknęła się. - Wystarczy już?

Kiedy poruszył kosą, wydała dźwięk jak "uommm". Ogień w palenisku ledwie się żarzył, ale ostrze płonęło blaskiem ostrym jak brzytwa.

- Ostrzona jedwabiem... - Panna Flitworth westchnęła. - Kto by pomyślał.

I CIĄGLE TĘPA.

Bill Brama rozejrzał się po kuźni i skoczył do kąta.

Światło uderzyło... rozpadło się... zsunęło... Zresztą mag pewnie nie zwracałby na to uwagi, ponieważ martwiłby się raczej o pięć tysięcy mil drogi powrotnej do domu.

- Co znalazłeś?

PAJĘCZYNE.

Zabrzmiął wydłużony, cienki jęk, jakby ktoś torturował mrówki.

- Pomogło?

JESZCZE ZA TĘPA.

Patrzyła, jak Bill Brama wychodzi z kuźni; pobiegła za nim. Stanął na środku podwórza, wystawiając ostrze kosa na lekki poranny wiaterek.

Buczało cicho.

- Jak ostra może być kosa, na miłość bogów?

MOŻE BYĆ OSTRZEJSZA NIŻ TERAŻ.

W głębi kurnika Cyryl obudził się i spojrzał zaspanymi oczami na zdradzieckie litery wypisane kredą na desce. Nabrał tchu.

- Kuru-duo-di!

Bill Brama spojrzał na krawędziowy horyzont, a potem w zamyśleniu na niewielki pagórek za kurnikiem.

I ruszył biegiem, stukając nogami nad ziemią.

Światło dnia rozlewało się po świecie. Światło Dysku jest stare, powolne i ciężkie; gnało przed siebie jak szarża kawalerii. Czasami na chwilę spowalniała je jakaś dolina, a tu i tam powstrzymywał łańcuch górski, dopóki nie przelało się nad szczytami i nie spłynęło po zboczu.

Sunęło przez morze, zalewało plaże, przyspieszało na równinach poganiane smagnięciami słońca.

Na legendarnym, ukrytym kontynencie XXXX, gdzieś w pobliżu krawędzi, istnieje kolonia magów, którzy przyczepiają korki do swych spiczastych kapeluszy i żywią się wyłącznie krewetkami. Tam światło wciąż jest dzikie i świeże, gdyż spływa prosto z kosmosu, a oni surfują na spienionym styku nocy i dnia.

Gdyby któregoś z nich fala poniosła tysiące mil w głąb Dysku, mógłby zobaczyć - kiedy światło pędziłoby przez wyżyny - chudą postać wspinającą się na pagórek wyrastający na ścieżce poranka.

Postać dotarła na szczyt na chwilę przed przybyciem światła, odetchnęła, odwróciła się i przykucnęła lekko, szczerząc zęby w uśmiechu.

W wyciągniętych rękach trzymała długie ostrze.

Światło uderzyło...rozpadło się... zsunęło

Zresztą mag pewnie nie zwracałby na to uwagi, ponieważ martwiłby się raczej o pięć tysięcy mil drogi powrotnej do domu.

Panna Flitworth, sapiąc, wspinała się na górę; nowy dzień spływał wokół niej. Bill Brama stał całkowicie nieruchomo, tylko ostrze poruszało mu się między palcami, kiedy nachylał je do światła.

Wreszcie przerwał, zadowolony.

Odwrócił się i na próbę machnął nim w powietrzu.

Panna Flitworth podparła się pod boki.

- Daj spokój - powiedziała. - Nikt nie może ni/

/czego

/ostrzyć/ /świetle/

na/ /na/ /dnia.

Urwała.

Machnął jeszcze raz.

- Wiel/ /ba!

/kie nie/

W dole, na podwórzu, Cyryl wyciągnął łysą szyję, gotów do kolejnej próby. Bill uśmiechnął się i machnął ostrzem w stronę dźwięku.

- Kur/ /ra- j/

/a-du/ /es!

Opuścił klingę.

TERAZ JEST OSTRA.

Uśmiech znikł mu z twarzy, a przynajmniej znikł w takim stopniu, w jakim jest to możliwe.

Panna Flitworth odwróciła się i podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem, aż przecięło się z delikatną mgiełką ponad polami kukurydzy.

Wyglądała jak jasnoszara szata, pusta, ale wciąż zachowująca kształt noszącego, jak schnące na sznurze ubranie wzdymane wiatrem.

Falowała przez chwilę i zniknęła.

- Widziałam to...

TO NIE BYŁO TO. TO BYLI ONI.

- Jacy oni?

SĄ JAK... Bill Brama bezradnie machnął ręką. JAK SŁUDZY
OBSERWATORZY. AUDYTORZY INSPEKTORZY.

Panna Flitworth zmrużyła oczy.

- Inspektorzy? Znaczy się, tacy ze Skarbowy?

CHYBA TAK...

Panna Flitworth rozpromieniła się.

- Dlaczego nic nie mówiłeś?

NIE ROZUMIEM.

- Ojciec kazał mi przysiąc, że nigdy nie pomogę Skarbówie. Samo myślenie o Skarbówie, mawiał, sprawia, że ma ochotę gdzieś się schować. Mówił, że jest śmierć i podatki, ale podatki są gorsze, bo śmierć przynajmniej nie trafia się człowiekowi co roku. Kiedy naprawdę się zdenerwował Skarbową, musieliśmy wychodzić z pokoju. Paskudne stworzenia. Wszędzie wścibiają nosy i pytają, co masz schowane pod sągiem drewna, za ukrytymi płytami w piwnicy i o różne inne sprawy, które nikogo nie powinny obchodzić.

Prychnęła gniewnie.

Bill Brama był pod wrażeniem. Panna Flitworth potrafiła nadać słowu "skarbowy", mającemu trzy samogłoski i kilka spółgłosek, całą skrótowość i dosadność słowa "śmieć".

- Powinieneś od razu powiedzieć, że cię gonią. Skarbową nie jest w tej okolicy lubiana. Za czasów ojca, kiedy jakiś skarbowiec zjawiał się tu sam i próbował węszyć, przywiązywaliśmy mu kamienie do nóg i wrzucaliśmy do

stawu.

PRZECIEŻ TEN STAW MA TYLKO PARĘ CALI GŁĘBOKOŚCI,
PANNO FLITWORTH.

- Owszem, ale zabawnie było patrzeć, jak się o tym przekonują.
Powinieneś uprzedzić. Wszyscy myśleli, że masz coś wspólnego z
podatkami.

NIE. Z PODATKAMI NIE.

- No, no. Nie wiedziałam, że Tam-w-Górze też jest Skarbowa.

TAK. W PEWNYM SENSIE. Przysunęła się bliżej.

- Kiedy on przyjdzie?

DZISIAJ W NOCY NIE WIEM DOKŁADNIE. DWOJE LUDZI ŻYJE
NA TEJ SAMEJ KLEPSYDRZE. TO CZYNI SYTUACJĘ NIEPEWNA.

- Nie wiedziałam, że ludzie mogą oddać innym ludziom trochę swojego
życia.

TAK CIĄGLE SIĘ ZDARZA.

- I jesteś pewien, że to dzisiaj?

TAK.

- Ale ta kosa podziła, prawda?

NIE WIEM. TO SZANSA JEDNA NA MILION.

- Aha. To znaczy, że resztę dnia masz wolną?

TAK?

- W takim razie możesz zacząć żniwa.

SŁUCHAM?

- Będziesz miał jakieś zajęcie. Nie będziesz się tak denerwował. Poza tym place ci sześć pensów. A sześć pensów to jednak sześć pensów.

Dom pani Cake także stał przy ulicy Wiązów. Windle zastukał do drzwi. Po chwili odezwał się stłumiony głos:

- Czy jest tam kto?

- Niech pan zastuka raz na "tak" - poradził Schleppel. Windle odchylił kłapkę w szczelinie na listy'.

- Przepraszam bardzo! Czy pani Cake?

Drzwi się otworzyły.

Pani Cake okazała się całkiem inna, niż Windle się spodziewał. Była duża, ale to nie znaczy, że gruba - po prostu zbudowana w skali nieco większej od normalnej. Takie osoby idą przez życie nieco przygarbione i z przeproszącą miną na wypadek, gdyby niechcący nad kimś wrastały. Miała wspaniałe włosy - zwieńczały koroną jej głowę i spływały na plecy niczym płaszcz. Miała też lekko spiczaste uszy i zęby, które - choć białe i bardzo ładne - w niepokojący sposób odbijały światło. Windle zdumiał się szybkością, z jaką jego wyczulone zmysły zombie doprowadziły go do konkluzji. Spojrzał w dół.

Lupine siedział sztywno, zbyt podniecony, by choćby zamerdać ogonem.

- Nie wydaje mi się, żebyś była panią Cake - stwierdził Windle.

- Szuka pan mamy - odpowiedziała wysoka dziewczyna. - Mamo! Jakiś pan do ciebie!

Dalekie mamrotanie stało się bliskim mamrotaniem, po czym pani

7Cake wynurzyła się zza córki niby niewielki księżyc wyłaniający się z cienia planety.

- Czego pan chce? - spytała.

Windle cofnął się o krok. W przeciwieństwie do swej córki pani Cake była dość niska i niemal idealnie okrągła. I - wciąż w przeciwieństwie do córki, której cała postawa miała uczynić ją mniejszą - pani Cake dominowała nad otoczeniem. Głównym tego powodem był jej kapelusz, który - jak się Windle potem dowiedział - nosiła zawsze, z oddaniem godnym maga. Kapelusz był wielki, czarny i miał na sobie różne rzeczy, takie jak skrzydła ptaków, woskowe wisienki i szpilki. Carmen Miranda mogłaby nosić taki kapelusz na pogrzebie kontynentu. Pani Cake podróżowała pod nim, tak jak kosz podróżuje pod balonem. Ludzie często odruchowo zaczęli rozmawiać z jej kapeluszem.

- Pani Cake? - zapytał zafascynowany Windle.

- Tu jestem, na dole - odezwał się pełen wyrzutu damski głos. Windle spuścił wzrok.

- To właśnie ja - oświadczyła pani Cake.

- Czy rozmawiam z panią Cake? - spytał Windle.

- Tak, wiem.

- Nazywam się Windle Poons.

- To też wiem.

- Widzi pani, jestem magiem...

- Dobrze, tylko proszę wytrzeć nogi.

- Czy mogę wejść?

Windle Poons urwał. W brzęczącej sterowni mózgu odtworzył po raz drugi ostatnie kilka zdań rozmowy. I uśmiechnął się.

- Zgadza się - przyznała pani Cake.

- Czy nie jest pani przypadkiem naturalnym jasnowidzem?

- Zwykle jakieś dziesięć sekund, panie Poons. Windle zawahał się.

- Musi pan zadać pytanie - uprzedziła go szybko pani Cake. - Dostaję migreny, kiedy ktoś złośliwie nie zadaje pytań, jak już je przewidziałam i odpowiedziałam.

- Jak daleko w przyszłość pani widzi, pani Cake?

Kiwnęła głową.

- Dobrze - stwierdziła, najwyraźniej udobruchana. Wprowadziła go przez korytarzyk do maleńkiego saloniku. - A to straszdyło też może wejść, tylko musi zostawić drzwi na dworze i iść do piwnicy. Nie lubię, kiedy strachy kręcą mi się po domu.

- Rany, od wieków nie byłem w porządnej piwnicy - ucieszył się Schleppel.

- Są tam pająki - dodała pani Cake zachęcająco.

- Cudo!

- A pan napije się herbaty - zwróciła się pani Cake do Windle. Ktoś inny mógłby powiedzieć "Pewnie napije się pan herbaty" albo "Czy napije się pan herbaty?", ale pani Cake zwyczajnie stwierdziła fakt.

- Tak, proszę - zgodził się Windle. - Z przyjemnością wypiję filiżankę.

- Nie powinien pan. Od tego zęby się psują. Windle przemyślał tę wypowiedź.

- Dwie kostki cukru, jeśli wolno - poprosił.

- Nie narzekam.

- Ładnie pani mieszka, pani Cake - pochwalił Windle. Myśli pędziły mu jak szalone. Zwyczaj gospodyni, by odpowiadać na pytania, które dopiero formują się w umyśle rozmówcy, nawet dla najsprawniejszego mózgu stanowił ciężką próbę.

- Nie żyje od dziesięciu lat - powiedziała.

- Ehm... - zaczął Windle, ale pytanie miał już na końcu języka. - Mam nadzieję, że pan Cake cieszy się dobrym zdrowiem.

- Nie szkodzi. Rozmawiam z nim od czasu do czasu.

- Bardzo mi przykro...

- Dobrze, jeśli tak panu wygodniej.

- Przepraszam, pani Cake, ale to trochę kłopotliwe. Czy mogłaby pani... wyłączyć... swoje jasnowidzenie? Skinęła głową.

- Przepraszam. Przyzwyczaiłam się je zostawiać - odparła. - Zwykle jestem tu tylko ja, Ludmiła i Człowiek-Wiadro. To duch -dodała. - Wiedziałam, że pan zapyta.

- A tak, słyszałem, że media mają zwykle duchowych przewodników.

- Tak? Właściwie to on nie jest przewodnikiem, to taki duch do wszystkiego. Nie lubię tych zabaw z kartami, trąbkami i mistycznymi tablicami. A ektoplazma jest zwyczajnie obrzydliwa. Nie życzę sobie czegoś takiego w moim domu. O nie! Potem nie można się doczyścić dywanów, nawet octem.

- Coś podobnego - wtrącił Windle.

- Albo te wycia. Albo kontakty z siłami nadprzyrodzonymi. Takie nadprzyrodzone siły nie są przyrodzone człowiekowi. Nie życzę sobie takich rzeczy.

- Tego... - zaczął ostrożnie Windle. - Pewnie niektórzy skłonni by byli uznać, że bycie medium też jest trochę... no, wie pani... nadprzyrodzone.

- Co? Co!? Niby co jest nadprzyrodzonego w martwych ludziach? Stek bzdur. Każdy prędzej czy później umiera.

- Mam taką nadzieję, pani Cake.

- Zatem czego pan chce ode mnie, panie Poons? Wyłączyłam przeczucie, więc musi mi pan powiedzieć.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje, pani Cake.

Spod podłogi dobiegł głuchy stuk i radosny okrzyk Schleppela:

- A niech mnie! Szczury też!

- Poszłam i próbowałam powiedzieć magom - oznajmiła z godnością pani Cake. - Ale nikt mnie nie słuchał. Wiedziałam, że nie będą słuchać, ale musiałam spróbować, bo inaczej bym nie wiedziała.

- Z kim pani rozmawiała?

- Z takim dużym w czerwonej szacie i z wąsem, jakby próbował połknąć kota.

- Aha. To nadrektor - domyślił się Windle.

- I był jeszcze taki wielki i gruby. Chodził jak kaczka.

- Rzeczywiście tak chodzi. To dziekan.

- Nazwali mnie swoją dobrą kobietą - poskarżyła się pani Cake. - I kazali zająć się swoimi sprawami. Nie rozumiem, po co mam się męczyć i pomagać magom, którzy nazywają mnie swoją dobrą kobietą, kiedy ja chcę tylko pomóc.

- Rzeczywiście, magowie często nie słuchają - przyznał Windle. - ja sam nigdy nie słuchałem, przez sto trzydzieści lat.

- Dlaczego?

- Bo mógłbym usłyszeć, jakie bzdury wygaduję. Tak sędzę. Ale co się dzieje, pani Cake? Może mi pani powiedzieć. Jestem wprawdzie magiem, ale martwym.

- No...

- Schleppel mówił, że ma to związek z siłą życiową.

- Ona wzbiera, rozumie pan.

- Ale co to znaczy?

- Jest jej za dużo. Robi się... - zamachała rękami. - Tak jak wtedy, kiedy coś leży na wadze, ale nie to samo na obu szalkach...

- Nierównowaga?

Pani Cake, która wyglądała, jakby odczytywała niewidzialne pismo, przytaknęła.

- Coś w tym rodzaju, zgadza się. Widzi pan, czasami pojawia się jej trochę i wtedy przychodzą duchy, bo w ciele nie ma już życia, ale życie nie zniknęło. Zimą jest jej mniej, bo tak jakby odpływa, ale wraca na wiosnę. A niektóre rzeczy skupiają ją w sobie...

Ogrodnik Modo nucił pod nosem, popychając niezwykle wózek do swojego zakątka pomiędzy Biblioteką a budynkiem Magii Wysokich Energii[13]. Wiózł stos chwastów na kompost.

Miał wrażenie, że ostatnio panuje tu spore zamieszanie. Cóż, praca wśród magów z pewnością jest bardzo ciekawa.

Wszyscy tu pracowali. Oni szukali kosmicznej równowagi, uniwersalnych harmonii i wymiarowych balansów, a on pilnował, żeby mszyce nie dobierały się do róż.

Coś brzęknęło metalicznie. Modo wyrżał ponad stosem chwastów.

- Jeszcze jeden?

Na ścieżce stał lśniący metalowy kosz na kółkach.

Może magowie kupili go specjalnie dla niego? Pierwszy okazał się bardzo użyteczny, chociaż nieco trudny w kierowaniu. Zdawało się, że te małe kółka chcą jechać każde w inną stronę. Pewnie potrzebna jest odrobina wpraw.

A ten drugi przyda się do wożenia tac z sadzonkami.

Odepchnął drugi wózek na bok i usłyszał za sobą dźwięk, który - gdyby miał być zapisany i gdyby Modo umiał pisać - zapisałby pewnie jako "glop".

Obejrzał się. Największa z pryzm kompostowych pulsowała lekko w mroku.

- Patrz, co ci przywiozłem na podwieczorek - powiedział. I wtedy zobaczył, że pryzma się porusza.

- ... **I** niektóre miejsca też - dokończyła pani Cake.

- Ale dlaczego wzbiera? - spytał Windle.

- To jest jak burza. Wie pan, przed burzą czasem się czuje takie mrowienie. Coś takiego dzieje się teraz.

- Tak, ale dlaczego, pani Cake?

- Cóż... Człowiek-Wiadro mówi, że nic nie umiera.

- Co?

- Głupie, prawda? Mówi, że życie dobiega końca, ale nie odchodzi. I

oni tam zostają.

- To znaczy duchy?

- Nie tylko duchy. To jakby... kałuże. Kiedy zbierze pan dużo kałuż, są jak morze. Poza tym duchy powstają tylko z kogoś takiego jak ludzie. Nie ma duchów kapusty.

Windle Poons wyprostował się na krześle. Zobaczył wizję ogromnego stawu życia, jeziora zasilanego milionami krótkotrwałych dopływów żywych istot, których istnienie dobiegło końca. A siła życiowa wyciekała, gdy rosło ciśnienie. Wyciekała gdzie tylko mogła.

- Czy mógłbym zamienić słowo z Człó... - zaczął i zamilkł. Wstał i powłócząc nogami podszedł do kominka pani Cake. - Od dawna pani to ma, pani Cake? - zapytał, podnosząc z półki znajomy lśniący przedmiot.

- To? Wczoraj kupiłam. Ładne, prawda?

Windle potrząsnął kulą. Była prawie identyczna z tymi, które znalazł u siebie pod podłogą. Płatki śniegu zawirowały i osiadły na pięknym modelu Niewidocznego Uniwersytetu.

Coś mu to przypominało. No tak, budynek oczywiście przypominał uniwersytet, ale w kształcie tej zabawki była jakaś sugestia, coś, co budziło skojarzenie...

...ze śniadaniem?

- O co tu chodzi? - mruknął na wpół do siebie. - Te kule zjawiają się dosłownie wszędzie.

Magowie biegli korytarzem.

- Jak można zabić ducha?

- Skąd mam wiedzieć? Zwykle nie pojawia się taki problem.

- Myślę, że potrzebne są egzorcyzmy.

- Co? Trzeba je wysyłać do ciepłych krajów? Dziekan był gotów na takie pytanie.

- Chodzi o egzorcyzmy, panie nadrektorze, nie o egzotykę. Nie sądzę, żeby wypoczynek w egzotycznych krajach był tu niezbędny.

- No pewno, chłopie. Nie chcemy chyba, żeby kręciły się tu stada wypoczętych duchów.

Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Odbił się echem od mrocznych kolumn i łuków, po czym ucichł nagle.

Nadrektor zatrzymał się. Magowie wpadli na niego z tyłu.

- Według mnie brzmiało to jak krzyk mrozący krew w żyłach - oświadczył. - Za mną!

Skręcił za róg.

Zabrzmiał metaliczny trzask, a potem kilka przekleństw.

Coś małego w żółto-czerwone paski, z maleńkimi ociekającymi kłami i trzema parami skrzydeł wyfrunęło zza zakrętu i przemknęło nad głową dziekana, brzęcząc jak miniaturowa piłka tarczowa.

- Ktoś wie, co to było? - spytał nieśmiało kwestor. Stwór zatoczył krąg wokół magów i zniknął w mroku pod sufitem. - Wolałbym, żeby on tak nie przeklinał.

- Chodźmy- rzucił dziekan. - Musimy sprawdzić, co mu się stało.

- Musimy? - spytał z powątpiewaniem pierwszy prymus. Wyjrżeli za róg. Nadrektor siedział na posadzce i rozcierał kostkę.

- Co za idiota to tutaj zostawił? - powiedział.

- Co zostawił? - zdziwił się dziekan.

- Ten piekielny druciany kosz na kółkach - odparł nadrektor.

Tuż za nim zmaterializowało się w powietrzu maleńkie, fioletowe, pająkopodobne stworzenie i szybko odbiegło w stronę szczeliny w ścianie. Magowie nawet go nie zauważyli.

- Jaki druciany kosz na kółkach? - zapytali chórem. Ridcully rozejrzał się niepewnie.

- Mógłbym przysiąc... - zaczął. Rozległ się kolejny krzyk. Ridcully poderwał się na nogi.

- Za mną, chłopcy! - zawołał i utykając, bohatersko ruszył naprzód.

- Dlaczego zawsze wszyscy biegną w stronę mrozącego krew w żyłach krzyku? - mruczał pod nosem pierwszy prymus. - Przecież to wbrew rozsądkowi.

Przebiegli przez krużganki i wypadli na dziedziniec.

Pośrodku starożytnego trawnika wyrastał ciemny, zaokrąglony pagórek. Wydobywały się z niego wąskie, syczące strużki pary.

- Co to jest?

- Chyba nie pryzma kompostu na samym środku trawnika?

- Modo będzie zły.

Dziekan przyjrzał się uważnie.

- Hm... Zwłaszcza że, jak się zdaje, to jego nogi wystają spod pryzmy.

Pagórek pochylił się w stronę magów. Usłyszeli ciche "glop, glomp".

A potem ruszył.

- No dobrze. - Ridcully zatarł ręce. - Który z was, panowie, dysponuje w tej chwili jakimś zaklęciem przeciwko czemuś takiemu?

Magowie zaczęli z zakłopotaniem poklepywać się po kieszeniach.

- W takim razie ja ściągnę uwagę tej pryzmy, a kwestor z dziekanem spróbują wyciągnąć Moda.

- No pięknie - westchnął cicho dziekan.

- Jak można ściągnąć uwagę pryzmy kompostu? - zdziwił się pierwszy prymus. - Moim zdaniem ona niczego takiego nie ma. Ridcully zdjął kapelusz i ostrożnie wysunął się do przodu.

- Kupa śmieci! - wrzasnął.

Pierwszy prymus jęknął i zasłonił oczy.

Ridcully zamachał kapeluszem.

- Biodegradowalne odpadki!

- Nędzne zielone ścinki! - odpowiedział wykładowca run współczesnych.

- O to chodzi - pochwalił go nadrektor. - Postarajcie się rozwścieczyć drania.

Tuż za nim pojawiła się w powietrzu i odfrunęła trochę inna odmiana oszalałej, owadopodobnej kreatury.

Pryzma zaatakowała kapelusz.

- Pomyje! - oświadczył Ridcully.

- Bez przesady - odezwał się zaszokowany wykładowca run współczesnych.

Dziekan i kwestor podkradli się od tyłu, chwycili nogi ogrodnika i

pociągnęli. Modo wysunął się z przyzmy.

- Przeżarła mu ubranie! - zawołał dziekan.

- Ale czy nic mu się nie stało?

- Jeszcze oddycha - poinformował kwestor.

- Jeśli ma szczęście, stracił zmysł węchu - dodał dziekan. Pryzma spróbowała złapać kapelusz nadrektora. Rozległo się "glop". Czubek kapelusza znikł.

- Zaraz! Tam było jeszcze prawie pół butelki! - wrzasnął Ridcully. Pierwszy prymus chwycił go za rękę.

- Chodźmy, nadrektorze!

Pryzma obróciła się i zaatakowała kwestora.

Magowie cofnęli się nieco.

- Nie jest chyba inteligentna, prawda? - upewnił się kwestor.

- Ona tylko przesuwająca się powoli i wyżera, co złapie - uspokoił go dziekan.

- Wystarczy wsadzić jej spiczasty kapelusz, a nadawałaby się do grona profesorskiego - mruknął nadrektor. Pryzma ruszyła za nimi.

- Nie nazwałbym tego "powoli" - zauważył dziekan. Spojrzeli wyczekująco na nadrektora.

- Biegiem! - zdecydował Ridcully.

Choć byli w większości dość korpulentni, osiągnęli na kruzgankach całkiem przyzwoitą prędkość. Przecisnęli się przez drzwi i zatrzasnęli je za sobą. Zaraz potem z drugiej strony dobiegło wilgotne, ciężkie uderzenie.

- Wyrwaliśmy się - odetchnął kwestor. Dziekan spojrzał pod nogi.

- Wydaje mi się, że przechodzi przez drzwi, nadrektorze - powiedział słabym głosem.

- Nie bądź durniem, człowieku. Przecież je trzymamy.

- Nie mówię, że przez, tylko... przez... Nadrektor pociągnął nosem.

- Co się pali?

- Pańskie buty, nadrektorze - odparł dziekan.

Ridcully spojrzał. Pod drzwiami rozlewała się zielonożółta kałuża. Drewno czerniało, posadzka syczała cicho, a podeszwy jego butów wyraźnie miały kłopoty. Czuł, że staje się coraz niższy.

Schylił się do sznurówek, po czym wykonał skok z miejsca na suchy kawałek posadzki.

- Kwestorze!

- Słucham, nadrektorze.

- Proszę mi oddać swoje buty.

- Co?

- Do demona, człowieku, rozkazuję ci oddać mi swoje przeklęte buty!

Tym razem jakieś podłużne stworzenie z czterema parami skrzydeł, po dwie na każdym końcu, i z trzema oczami, pojawiło się nad głową Ridcully'ego i wpadło mu do kapelusza.

- Ale...

- Jestem twoim nadrektorem!

- Tak, ale...

- Wydaje mi się, że puszczają zawiasy - oznajmił wykładowca run

współczesnych.

Ridcully rozejrzał się desperacko.

- Przegrupujemy się w Głównym Holu - polecił. - Teraz... strategicznie wycofujemy się na z góry upatrzone pozycje.

- A kto je upatrzył? - chciał wiedzieć dziekan.

- Sami je upatrzymy, jak już je zajmiemy - rzucił nadrektor przez zaciśnięte zęby. - Kwestorze! Buty! Natychmiast!

Dopadli podwójnych wrót Głównego Holu w chwili, gdy drzwi za nimi na wpół się rozpadły, na wpół rozpuściły. Odrzwia Głównego Holu były o wiele solidniejsze. Rygle i sztaby opadły na miejsca.

- Oczyszczyć stoły i zsuńcie je przed drzwiami! - polecił Ridcully.

- Przecież ona przeżera się przez drewno - przypomniał dziekan.

Rozległ się cichy jęk. Oparty o krzesło Modo otworzył oczy.

- Szybko! - rzucił Ridcully. - Jak można zabić pryzmę kompostu?

- Ehm. Myślę, że nie można, panie Ridcully, magnificencjo - odpowiedział ogrodnik.

- A gdyby tak ogniem? - zaproponował dziekan. - Chyba poradziłbym sobie z niewielką kulą ognistą.

- Nic z tego. Za mokra - stwierdził Ridcully.

- Jest już za progiem! Przeżera drzwi! Przeżeeera drzwi! - zaśpiewał wykładowca run współczesnych. Magowie cofnęli się w głąb holu.

- Mam nadzieję, że nie naje się drewna - odezwał się oszołomiony i szczerze zatroskany Modo. - Demon w nie wstępuje, wybaczcie mój klatchiański, jeśli dostaną za dużo węgla. Za mocno się rozgrzewają.

- Świetna pora na wykład o dynamice powstawania kompostu, Modo - burknął dziekan.

Krasnoludy nie rozumieją słowa "ironia".

- Jak pan sobie życzy. Ehm. Odpowiednie zrównoważenie materiałów, ułożonych w prawidłowe warstwy, zgodnie z...

- Już po drzwiach - przerwał mu wykładowca run współczesnych.

Stos mebli ruszył nagle z miejsca.

Nadrektor rozejrzał się zrozpaczony po sali. Nie wiedział, co robić. I nagle na jednym z kredensów dostrzegł znajomą ciężką butlę.

- Węgiel - powiedział. - Taki jak drzewny, prawda?

- Skąd mogę wiedzieć? - prychnął dziekan. - Nie jestem alchemikiem.

Pryzma kompostu wynurzyła się spod odłamków. Parowała.

Nadrektor spojrzał tęsknie na butlę sosu wow-wow. Odkorkował ją. Powąchał z uczuciem.

- Tutejsi kucharze nie umieją go przygotować jak należy - stwierdził. - Miną tygodnie, zanim dostarczą mi z domu nową porcję.

Po czym rzucił butelkę ku zbliżającej się pryzmie.

Zniknęła w bulgoczącej masie.

- Zawsze przydatne są pokrzywy - mówił dalej Modo za jego plecami. - Dodają żelaza. I żywokost. Żywokostu nigdy nie jest za dużo. Z powodu minerałów, znaczy. Osobiście też zawsze uważałem, że niewielki dodatek dzikiego krwawnika...

Magowie wyjrzeli ponad blatem przewróconego stołu.

Pryzma znieruchomiała.

- Czy mi się zdaje, czy ona rośnie? - zapytał pierwszy prymus.

- I wygląda na zadowoloną - dodał dziekan.

- Okropnie cuchnie - zauważył kwestor.

- Szkoda. To prawie pełna butelka sosu - powiedział zasmucony Ridcully. - Dopiero co ją otworzyłem.

- Natura jest cudowna, jeśli się nad tym zastanowić - oznajmił pierwszy prymus. - I nie musicie tak na mnie patrzeć. To była tylko luźna uwaga.

- Są takie chwile, kiedy... - zaczął nadrektor, ale wtedy przyzma kompostu eksplodowała.

Nie rozległ się huk ani trzask - była to najwilgotniejsza, najbardziej mlaszcząca erupcja w historii śmiertelnych wzdęć. Ciemnoczerwony płomień wystrzelił aż pod sufit, sypiąc czarnymi iskrami. Odpryski przyzmy przeniknęły po holu i rozpląszczyły się miękko na ścianach.

Magowie wyjrzeni zza barykady, w tej chwili aż grubej od herbacianych fusów.

Głęb kapusty spadł miękko dziekanowi na głowę. Dziekan uśmiechnął się szeroko.

- Łój - powiedział.

Pozostali magowie prostowali się z wolna. Dawki adrenaliny rozpoczynały już swe uwodzicielskie działanie: uśmiechali się i klepali nawzajem po ramionach.

- Żłop ostry sos! - huknął nadrektor.

- Pod żywopłot, sfermentowany śmieciu!

- Możemy skopać tyłek, czy możemy skopać tyłka? - mamrotał zachwycony dziekan.

- Za drugim razem miało być "nie możemy" - poprawił go pierwszy prymus. - I nie jestem pewien, czy można uznać, że pryzma kompostu ma...

Ale jego także zalała fala podniecenia.

- Ta pryzma na pewno nie będzie już zaczepiać magów -stwierdził dziekan, nabierając rozpędu. - Jesteśmy groźni, jesteśmy twardzi...

- Modo mówi, że w ogrodzie są jeszcze trzy - odezwał się kwestor.

Umilkli.

- Możemy chyba wrócić i zabrać nasze laski, prawda? - upewnił się dziekan.

Nadrektor czubkiem buta kwestora trącił fragment rozsypanej pryzmy.

- Rzeczy martwe nabierają życia - mruknął. - To mi się nie podoba. Co będzie następne? Chodzące pomniki?

Magowie spojrzeli na posągi nieżyjących nadrektorów stojące pod ścianami Głównego Holu, a także większości korytarzy na uniwersytecie. Niewidoczny Uniwersytet istniał już od tysięcy lat, a przeciętny nadrektor sprawował urząd przez mniej więcej jedenaście miesięcy. Dlatego posągów nie brakowało.

- A wie pan, naprawdę bym wolał, żeby pan tego nie mówił -wyznał wykładowca run współczesnych.

- Tak sobie tylko pomyślałem - uspokoił go Ridcully. - Chodźmy, obejrzymy sobie pozostałe pryzmy.

- Tak jest! - zawołał dziekan, który wpadł w otchłań dzikiego, niemagowego machismo. - Jesteśmy twardzi! Tak! Jesteśmy twardzi?

Nadrektor uniósł brwi i zwrócił się do pozostałych.

- Jesteśmy twardzi?

- Tego... Czuję się w miarę twardy - przyznał wykładowca run współczesnych.

- A ja jestem zdecydowanie twardy i zły - zapewnił kwestor. - Przez to chodzenie bez butów - dodał wyjaśniająco.

- Będę twardy, jeśli wszyscy inni też będą - obiecał pierwszy prymus.

- Tak - odpowiedział nadrektor dziekanowi. - Wydaje się, że wszyscy jesteście twardzi.

- Yo! - zawołał dziekan.

- Yo co? - zdziwił się Ridcully.

- To nie było yo do czegoś, to było po prostu yo - wyjaśnił pierwszy prymus. - Takie pozdrowienie uliczne, powszechnie stosowane w zamkniętych grupach militarnych, mające silne podteksty męskiego rytuału połączenia.

- Co? Jak? Coś w rodzaju "a niech mnie"?

- Z grubsza biorąc, nadrektorze - przyznał z wahaniem pierwszy prymus.

Ridcully był zadowolony. W Ankh-Morpork brakowało dobrych terenów myśliwskich. Nie spodziewał się, że na własnym uniwersytecie może mieć taką zabawę.

- Dobra! - krzyknął. - Chodźmy załatwić te pryzmy!

- Yo!

- Yo!

- Yo!

Ridcully westchnął ciężko.

- Kwestorze...
- Słucham, nadrektorze.
- Niech pan chociaż spróbuje zrozumieć, dobrze?

Chmury zbierały się nad górami. Bill Brama chodził tam i z powrotem po pierwszym polu, używając jednej ze zwykłych kos z farmy. Ta najostrzejsza została chwilowo złożona w stodole, żeby nie stępiły jej prądy konwekcyjne powietrza. Kilku dzierżawców panny Flitworth podążało za nim; wiązali i ustawiali snopki. Jak się przekonał Bill Brama, panna Flitworth nigdy nie zatrudniała więcej niż jednego człowieka; dla oszczędności wynajmowała innych do pomocy w miarę potrzeby.

- Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś ciął kukurydzę kosą - stwierdził jeden z nich. - To robota dla sierpa.

Przerwali na drugie śniadanie i zjedli je pod żywopłotem.

Bill Brama nigdy nie poświęcał uwagi imionom i twarzom ludzi - tylko tyle, ile było mu potrzebne przy pracy. Kukurydza porastała całe zbocze; składała się z pojedynczych łodyg, a dla każdej łodygi inna mogła być imponująca, z dziesiątkiem zabawnych i odrębnych manieryzmów, które odróżniały ją od pozostałych łodyg. Ale dla kosiarza łodygi to tylko... łodygi.

Dopiero teraz zaczął dostrzegać niewielkie różnice.

Pracowali z nim William Kurek, Paplacz Kołarz i Diuk Dennik. Starzy mężczyźni, o ile Bill mógł to ocenić, o skórze jak rzemień. Owszem, we wsi zdarzali się też młodzi mężczyźni i kobiety, ale w pewnym wieku przeskakiwali bezpośrednio do starości, bez żadnych stanów pośrednich. A potem bardzo długo zostawali starzy. Panna Flitworth mawiała, że aby w tej okolicy ktoś potrzebował grobu, trzeba mu przyłożyć po głowie łopatą.

William Kurek często śpiewał przy pracy: wydawał przeciągłe, nosowe

jęki, co oznaczało, że zaraz wykona ludową piosenkę. Paplacz Kołarz nigdy nic nie mówił; właśnie dlatego, tłumaczył Kurek, nazywali go Paplaczem. Bill Brama nie zdołał pojąć logiki tego rozumowania, chociaż innym wydawała się oczywista. A Diuk Dennik otrzymał imię od rodziców pełnych ambicji, choć wyznających dość uproszczoną wizję struktury klasowej; jego trzech bracia nosili imiona Baron, Hrabia i Król.

Teraz siedzieli rzędem pod żywopłotem, odsuwając chwilę, kiedy trzeba będzie wrócić do pracy. Z jednego końca rzędu dobiegał bulgot.

- To nie było jednak złe lato - stwierdził Kurek. -1 dla odmiany mamy pogodę na żniwa.

- Wiele może się zdarzyć między suknią a reformą - odparł Diuk. - Zeszłej nocy widziałem pajaka, który tkał pajęczynę do tyłu. To pewny znak, że będzie straszna burza.

- Niby skąd pajak miałby to wiedzieć?

Paplacz Kołarz podał Billowi duży gliniany dzban. Coś zachlupotało.

CO TO JEST?

- Sok jabłkowy - powiedział Kurek.

Dwaj pozostali wybuchnęli śmiechem.

AHA, domyślił się Bill Brama. MOCNY DESTYLOWANY NAPÓJ ALKOHOLOWY, PODAWANY ŻARTOBLIWIE NICZEGO NIEPODEJRZEWAJĄCEMU NOWICJUSZOWI, BY W TEN SPOSÓB OSIĄGNAĆ PROSTĄ ROZRYWKĘ, KIEDY NOWICJUSZ NIEŚWIADOMIE DOPROWADZI SIĘ DO STANU NIETRZEŻWOŚCI.

- A niech mnie - powiedział Kurek. Bill Brama pociągnął z dzbana.

- I widziałem, że jaskółki nisko latają - mówił dalej Diuk. - A kuropatwy biegły do lasu. I jeszcze pełno jest wszędzie wielkich ślimaków. I...

- Nie wydaje mi się, żeby miały jakieś pojęcie o meteorologii - stwierdził Kurek. - Moim zdaniem to tyje uprzedzasz. Przyznaj się. Mówisz: "Idzie burza, panie pająku, więc niech pan się weźmie do roboty i zrobi coś folklorystycznego".

Bill Brama napił się znowu.

JAK SIĘ NAZYWA KOWAŁ W TEJ WSI?

Kurek pokiwał głową.

- To by był Ned Simnel, przy łące. Co prawda ma teraz kupę roboty; są przecież żniwa i w ogóle.

MAM DLA NIEGO PRACĘ. Bill Brama wstał i ruszył w stronę wsi.

- Bill!

Zatrzymał się. SŁUCHAM.

- W takim razie możesz zostawić brandy.

W wiejskiej kuźni było gorąco i zupełnie ciemno, ale Bill Brama miał znakomity wzrok.

Coś poruszało się wśród skomplikowanej konstrukcji z metalu. Okazało się, że to dolna połowa mężczyzny. Górna część jego ciała tkwiła gdzieś w maszynerii, skąd od czasu do czasu dobiegało ciche sieknięcie.

Kiedy Bill Brama podszedł bliżej, z konstrukcji wysunęła się ręka.

- Dobrze, że jesteś. Daj mi zacisk trzy ósme. Bill rozejrzał się. W kuźni leżało sporo narzędzi.

- No już, szybciej - ponaglił go głos z maszyny. Bill Brama wybrał i włożył w czekającą dłoń pierwszy z brzegu kawałek uformowanego metalu.

Zabrzmiął głośny brzęk i sieknięcie.

- Powiedziałem: zacisk. A to jest... - Rozległ się zgrzytliwy odgłos ustępującego żelaza. - Mój palec, mój palec! Przez ciebie... -Potem brzęk. - Auu! To moja głowa! Patrz, co narobiłeś! A sprężyna zapadki znów zeskoczyła z armatury czopa. Widzisz?

NIE. PRZYKRO MI.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Czy to ty; młody Egbercie?

NIE, TO JA. STARY BILL BRAMA.

Nastąpiła seria zgrzytów i stuków, kiedy górna połowa ciała wypłatywała się z zakamarków maszynerii. Okazało się, że należy do młodego człowieka z kędzierzawymi czarnymi włosami, z czarną twarzą, w czarnej koszuli i czarnym fartuchu. Kowal przejechał ścierką po twarzy, pozostawiając różowy ślad, i zamrugnął, by strząsnąć z rzęs krople potu.

- Kim pan jest?

DOBRY STARY BILL BRAMA. PRACUJĘ U PANNY FLITWORTH.

- A tak. Człowiek z pożaru. Chwilowy bohater, jak słyszałem. Proszę podać...

Wyciągnął czarną dłoń. Bill Brama spojrzał, nie rozumiejąc.

PRZEPRASZAM, ALE WCIAŻ NIE WIEM, CO TO JEST ZACISK TRZY ÓSME.

- Chodzi mi o pańską rękę, panie Brama.

Bill Brama zawahał się, ale ucisnął dłoń młodego człowieka. Oczy pod brudnymi od smaru powiekami na moment zaszły mgłą, kiedy mózg wygaszał impulsy zmysłu dotyku, i kowal się uśmiechnął.

- Nazywam się Simnel. Co pan o tym myśli?

TO DOBRE IMIĘ.

- Nie, chodzi mi o maszynę. Pomysłowa, prawda?

Bill Brama obejrzał ją z uprzejmym niezrozumieniem. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak przenośny wiatrak zaatakowany przez gigantycznego owada, a na drugi rzut jak wędrowną izbę tortur, która zapragnęła ruszyć na wycieczkę i zaczerpnąć świeżego powietrza. Pod różnymi kątami sterczały z niej tajemnicze wieloelementowe ramiona, były też pasy i długie sprężyny. Całość opierała się na metalowych kołach ze szpikulcami.

- Oczywiście, kiedy stoi w miejscu, nie wdać, do czego jest zdolna - wyjaśnił Simnel. - Potrzebny jest koń, żeby ją ciągnął. To znaczy na razie. Mam jeden czy dwa przełomowe pomysły w tej kwestii - dodał rozmarzony.

CZY TO JAKIŚ APARAT?

Simnel zrobił urażoną minę.

- Wolę określenie "maszyna" - powiedział. - Zrewolucjonizuje metody rolnicze i wciągnie je, mimo oporu, w Stulecie Nietoperza. Moja rodzina ma tę kuźnię od trzystu lat, ale Ned Simnel nie zamierza spędzić reszty życia na przybijaniu do końskich kopyt kawałków pogiętego żelaza. To pewne.

Bill przyjrzał mu się niepewnie. Potem schylił się i zajrzał pod maszynę. Tuzin sierpów przymocowano tam do wielkiego, poziomo ułożonego koła, a sprytne połączenia przenosiły energię z kół jezdnych poprzez liczne bloki na płataninę metalowych ramion.

Opanowało go straszne przeczucie; mimo to zapytał.

- Sercem tej maszyny jest ten tutaj wał rozrządu - tłumaczył Simnel, ucieszony zainteresowaniem gościa. - Moc poprzez wielokrażki dociera tutaj, krzywki poruszają ramionami zgarniającymi... to te... a wrota chesarkowe, uruchamiane mechanizmem posuwisto-zwrotnym, opadają, kiedy przesłona chwytakowa opada w tę szczelinę... o tutaj... i oczywiście równocześnie te

dwie mosiężne kule kręcą się w koło, a płachty nośne usuwają słomę, natomiast ziarno spada za pomocą grawitacji na śrubę segregującą i do kosza. Proste.

A ZACISK TRZY ÓSME?

- Dobrze, że mi pan przypomniał. - Simnel rozejrzał się wśród narzędzi na podłodze, wybrał niewielki, okrągły i ponacinany przedmiot, po czym nakręcił go na sterzący element mechanizmu.

- To bardzo ważne. Blokuje mimośród, żeby nie zsuwał się po wale osiowym i nie uderzał o złącze kołnierza, co mogłoby doprowadzić do katastrofalnych skutków, jak się pan zapewne domyśla.

Simnel cofnął się i wytarł ręce w szmatę, dzięki czemu pokryły się nieco grubszą warstwą smaru.

- Nazywam to Kombinatorem Żniwnym.

Bill Brama poczuł się nagle bardzo stary. Owszem, był bardzo stary, ale nigdy jeszcze tak się nie czuł. Gdzieś w mrocznej głębi duszy wiedział, bez żadnych wyjaśnień kowala, co takiego ma robić Kombinator Żniwny.

AHA.

- Dziś po południu chcę przeprowadzić próbny rozruch na dużym polu starego Peedbury'ego. Muszę przyznać, że sprawa wygląda obiecująco. To, na co patrzy pan w tej chwili, panie Brama, to przyszłość.

TAK.

Bill Brama przesunął dłonią po konstrukcji.

A SAM PLON?

- Słucham? Co zboże?

CO O TYM POMYŚLI? CZY BĘDZIE WIEDZIEĆ?

Simnel zmarszczył nos.

- Wiedzieć? Wiedzieć? Niczego nie będzie wiedzieć. Zboże to zboże.

A SZEŚĆ PENSÓW TO SZEŚĆ PENSÓW.

- Otóż to. - Simnel zastanowił się. - A po co pan właściwie przyszedł?

Wysoki przybysz smętnie przejechał palcem po metalowej ramie.

- Panie Brama?

SŁUCHAM? A TAK CHCIAŁEM PANU COŚ ZLECIĆ...

Wyszedł z kuźni i niemal natychmiast wrócił z długim przedmiotem owiniętym w jedwab. Rozwinął go ostrożnie.

Dorobił do ostrza nowe drzewce - nie proste, jakiego używają w górach, ale ciężkie, podwójnie wygięte drzewce z równin.

- Mam ją skuć? Może nowy zbierak do trawy? Wymienić mocowania?

Bill Brama pokręcił głową.

CHCĘ, ŻEBY PAN JĄ ZABIŁ.

- Zabił?

TAK. CAŁKOWICIE. ZNISZCZYŁ KAŻDĄ CZĄSTKĘ. ŻEBY BYŁA ABSOLUTNIE MARTWA.

- Ładna kosa - zauważył Simnel. - Aż szkoda. Nieźle ją pan wyostrzył...

NIE DOTYKAĆ!

Simnel wsunął do ust skaleczony palec.

- Zabawne - mruknął. - Mógłbym przysiąc, że wcale jej nie dotknąłem.

Trzymałem rękę o parę cali od krawędzi. Ale jest ostra. Machnął kosą w powietrzu.

- Tak. Bar/ /ra, trze/ /znać.

/dzo ost/ /ba przy/

Urwał, wsunął mały palec do ucha i pokręcił nim energicznie.

- Na pewno pan tego chce? - upewnił się jeszcze. Bill Brama z powagą powtórzył swe wymagania. Simnel wzruszył ramionami.

- No cóż, mogę ją chyba stopić, a drzewce spalić - stwierdził.

TAK.

- No dobrze. To pańska kosa. Zresztą w zasadzie ma pan rację. To już przestarzała technologia. Zbyteczna.

OBAWIAM SIĘ, ŻE MOŻE PAN MÓWIĆ PRAWDĘ.

Simnel brudnym kciukiem wskazał Kombinator Żniwny. Bill Brama wiedział, że maszyna zrobiona jest tylko z metalu i płótna, a zatem absolutnie nie może się czaić. Ale się czała. Co więcej, była przy tym wyraźnie zadowolona z siebie.

- Mógłby pan skłonić pannę Flitworth, żeby taki kupiła, panie Brama. W sam raz by się nadawał do jednoosobowej farmy. Już pana widzę na polu: wiatr wieje, pasy transmisyjne stukają, ramiona zbiorcze oscylują...

NIE.

- No wie pan! Przecież stacją na to. Mówią, że ma z dawnych czasów skrzynie pełne skarbów.

NIE!

- No... - Simnel zawahał się nieco. Ostatnie NIE niosło w sobie groźbę straszniejszą niż trzask cienkiego lodu na rzece. Mówiło, że dalsze naleganie

byłoby najgłupszą rzeczą, jaką Simnel zrobił w swym życiu.

- Jestem pewien, że wie pan, co dla pana najlepsze.

TAK

- W takim razie należy się, zaraz... 6wierć pensa za kosę - mówił dalej Simnel. - Przykro mi, ale pójdzie na to sporo węgla, a krasnoludy stale podnoszą ceny...

PROSZĘ. MA PAN TO ZROBIĆ JESZCZE DZISIAJ.

Simnel nie dyskutował. Dyskusja oznaczałaby, że Bill Brama pozostanie jeszcze w kuźni, a kowal zaczynał nabierać przekonania, że tak się stać nie powinno.

- Dobrze, dobrze.

ZROZUMIAŁ PAN?

- Oczywiście, oczywiście.

ŻEGNAM, rzekł z powagą Bill Brama i wyszedł.

Simnel zamknął za nim drzwi i oparł się o nie plecami. Uff... Miły facet, naturalnie; wszyscy o nim mówili, tyle że po paru minutach w jego towarzystwie człowiek zaczynał odczuwać dreszcze, jakby ktoś przespacerował się po jego grobie, chociaż ten grób nie został jeszcze wykopany.

Przeszedł po zaplamionych olejem kamieniach, nalał wody do czajnika i ustawił go w rogu paleniska. Potem sięgnął po klucz, żeby dokonać ostatnich regulacji Kombinatora Żniwnego. Wtedy zauważył opartą o ścianę kosę.

Podszedł do niej na palcach i uświadomił sobie, że chodzenie na palcach nie ma przecież sensu. Kosa nie była żywa. Nie mogła słyszeć. Po prostu wyglądała na ostrą.

Zamachnął się kluczem i poczuł wyrzuty sumienia. Pan Brama mówił... cóż, pan Brama powiedział coś bardzo dziwnego, używając słów całkiem niewłaściwych w stosunku do zwykłego narzędzia. Ale przecież nie miałby nic przeciwko temu.

Simnel z całej siły uderzył kluczem.

Nie napotkał żadnego oporu. Mógłby przysiąc - znowu - że już o kilka cali od krawędzi ostrza klucz rozdzielił się na dwie części, jakby był zrobiony z ciasta.

Zastanowił się, czy cokolwiek może być tak ostre, że zacznie posiadać nie tylko ostrą krawędź, ale samą esencję ostrości, pole ostrości absolutnej, które rozciąga się poza ostatnie atomy metalu.

- Niech/ /mon pochło/

/ to de/ /nie!

I zaraz sobie przypomniał, że to niewłaściwe, zabobonne myślenie u człowieka, który potrafi założyć zacisk trzy ósme, który wie, na czym stoi przy przegubie posuwisto-zwrotnym. Coś takiego albo działa, albo nie. Na pewno nie ukrywa żadnych tajemnic.

Spojrzał z dumą na Kombinator Żniwny. Oczywiście, niezbędny jest koń, żeby pociągnął maszynę. To nieco psuło efekt. Konie należały do dnia wczorajszego; dzień jutrzejszy należał do Kombinatora Żniwnego i jego następców, którzy zmieniają ten świat w lepsze i czystsze miejsce. To tylko kwestia zredukowania konia w równaniu. Próbował mechanizmów nakręcanych, ale miały zbyt małą moc. Może gdyby naciągnął...

Woda w czajniku zawrzała i zgasła ogień.

Simnel szedł w kłębach pary. W tym cały problem, westchnął. Za każdym razem, kiedy człowiek próbuje trochę sensownie pomyśleć, zaraz jakieś głupstwo go rozprasza.

Pani Cake zaciągnęła story.

- Kim właściwie jest Człowiek-Wiadro?

Zapaliła świece i usiadła.

- Należał do jakiegoś pogańskiego szczepu z Howondalandu -wyjaśniła krótko.

- Dziwne imię: Człowiek-Wiadro.

- To nie jest pełne imię - odparła pani Cake. - A teraz musimy chwycić się za ręce. - Przyjrzała mu się z namysłem. - Potrzebujemy jeszcze kogoś.

- Mogę zawołać Schleppela - zaproponował Windle.

- Żaden strach nie będzie mi siedział pod stołem i próbował zaglądać pod halkę - oznajmiła stanowczo pani Cake. - Ludmiła! - krzyknęła.

Po chwili rozsunęła się zasłona z paciorków, kryjąca przejście do kuchni. Weszła dziewczyna, która niedawno otworzyła Windle'owi drzwi.

- Tak, mamó?

- Siadaj, dziewczyno. Potrzebujemy jednej osoby do seansowania.

- Tak, mamó.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Windle'a.

- To Ludmiła - przedstawiła ją pani Cake.

- Czarująca - stwierdził Windle.

Ludmiła rzuciła mu promienny, krystaliczny uśmiech, udoskonalony przez ludzi, którzy już dawno nauczyli się nie ujawniać swych uczuć.

- Już się spotkaliśmy - dodał Windle.

Minął przynajmniej dzień od pełni księżyca, myślał. Wszystkie ślady prawie zniknęły. Prawie. No no...

- To moje nieszczęście - stwierdziła pani Cake.

- Mamo, przejdźmy do rzeczy - poprosiła Ludmiła bez gniewu.

- Weźmy się za ręce - nakazała pani Cake. Siedzieli w półmroku. Po chwili Windle poczuł, że pani Cake cofa dłoń.

- Zapomniałam o szklance - wyjaśniła.

- Myślałem, pani Cake, że nie używa pani mistycznych tablic i różnych... - zaczął Windle. Przerwało mu ciche bulgotanie od strony kredensu.

Pani Cake postawiła na stole pełną szklankę i usiadła na miejscu.

- Nie używam - potwierdziła.

Znowu zapadła cisza. Windle odchrząknął nerwowo.

Wreszcie pani Cake odezwała się znowu.

- No dobrze, Człowieku-Wiadro, wiem, że tu jesteś. Szklanka się poruszyła. Bursztynów)' płyn zafalował. witaj, blada twarzy, wymamrotał bezcielesny głos. pozdrowienia z krainy szczęśliwych łowów...

- Przestań, Człowieku-Wiadro - przerwała mu pani Cake. -Wszyscy wiedzą, że przejechał cię wóz na Melasowej, bo byłeś pijany.

nie moja wina. nie moja ruina, czy to ja jestem winien, że mój pradziad się tu przeprowadził? powinienem zostać rozszarpany na śmierć przez górskiego lwa albo wielkiego mamuta, odebrano mi, co mi się ze zgonu należało.

- Pan Poons chce ci zadać pytanie, Człowieku-Wiadro. jest tu szczęśliwa i czeka, aż się znów połączycie, powiedział szybko Człowiek-Wiadro.

- Niby kto? - zdziwił się Windle.

Człowieka-Wiadro pytanie nieco speszyło. Taka wypowiedź na ogół wystarczała i nie wymagała dodatkowych wyjaśnień. a kogo byś chciał? zapytał ostrożnie, czy już mogę się napić?

- Jeszcze nie, Człowieku-Wiadro - odparła pani Cake.

- Czarująca - stwierdził Windle.

Ludmiła rzuciła mu promienny, krystaliczny uśmiech, udoskonalaony przez ludzi, którzy już dawno nauczyli się nie ujawniać swych uczuć.

- Już się spotkaliśmy - dodał Windle.

Minął przynajmniej dzień od pełni księżyca, myślał. Wszystkie ślady prawie zniknęły. Prawie. No no...

- To moje nieszczęście - stwierdziła pani Cake.

- Mamo. przejdźmy do rzeczy - poprosiła Ludmiła bez gniewu.

- Weźmy się za ręce - nakazała pan; Cake. Siedzieli w półmroku. Po chwili Windle poczuł, że pani Cake cofa dłoń.

- Zapomniałam o szklance - wyjaśniła.

- Myślałam, pani Cake, że nie używa pani mistycznych tablic i różnych... - zaczął Windle. Przerwało mu ciche bulgotanie od strony kredensu.

Pani Cake postawiła na stole pełną szklankę i usiadła na miejscu.

- Nie używam - potwierdziła.

Znowu zapadła cisza. Windle odchrząknął nerwowo.

Wreszcie pani Cake odezwała się znowu.

- No dobrze, Człowieku-Wiadro, wiem, że tu jesteś. Szklanka się poruszyła. Bursztynowy płyn zafalował. witaj, blada twarzy, wymamrotał bezcielesny głos. pozdrowienia z krainy szczęśliwych łowów...

- Przestań, Człowieku-Wiadro - przerwała mu pani Cake. -Wszyscy wiedzą, że przejechał cię wóz na Melasowej, bo byłeś pijany.

nie moja wina. nie moja wina. czy to ja jestem winien, że mój pradziad się tu przeprowadził? powinienem zostać rozszarpany na śmierć przez górskiego lwa albo wielkiego mamuta, odebrano mi, co mi się ze zgonu należało.

- Pan Poons chce ci zadać pytanie, Człowieku-Wiadro. jest tu szczęśliwa i czeka, aż się znów połączycie, powiedział szybko Człowiek-Wiadro.

- Niby kto? - zdziwił się Windle.

Człowieka-Wiadro pytanie nieco speszyło. Taka wypowiedź na ogół wystarczała i nie wymagała dodatkowych wyjaśnień. a kogo byś chciał? zapytał ostrożnie, czy już mogę się napić?

- Jeszcze nie, Człowieku-Wiadro - odparła pani Cake.

potrzebuję tego. straszny tu tłok.

- Co? - wtrącił szybko Windle. - Chcesz powiedzieć, że jest dużo duchów?

cale setki, potwierdził głos Człowieka-Wiadro. Windle był nieco rozzarowany.

- Tylko setki? - upewnił się. - To chyba nie tak wiele.

- Niewielu ludzi staje się duchami - wyjaśniła pani Cake. - Żeby być duchem, trzeba tu mieć jakąś poważną a niedokończoną sprawę albo straszną zemstę do dopełnienia, albo kosmiczną misję, w której jest się tylko pionkiem.

albo okrutne pragnienie, dokończył Człowiek-Wiadro.

- Słyszycie go?

bardzo chciałem zostać w świecie spirytystycznym, albo chociaż winistycznym czy piwistycznym. hngh. hngh. hngh.

- W takim razie co się dzieje z siłą życiową, kiedy coś przestaje żyć? - zapytał Windle. - Czy to ona powoduje wszystkie kłopoty?

- Wy tłumacz panu - poleciła pani Cake, kiedy Człowiek-Wiadro zwlekał z odpowiedzią. o jakich kłopotach mówisz?

- O śrubach, które same się odkręcają. O biegających samodzielnie ubraniach. O ludziach, którzy czują się bardziej żywi. Takie rzeczy.

To? głupstwa. widzisz, siła życiowa cieknie z powrotem, gdzie tylko może, nie warto się tym martwić.

Windle przykrył dłonią szklanę.

- Ale jest coś, o co powinienem się martwić, prawda? - zapytał spokojnie. - I ma to związek z tymi szklanymi pamiątkami. nie chcę mówić.

- Powiedz mu.

To był głos Ludmiły - głęboki, ale atrakcyjny. Lupine obserwował ją zafascynowany. Windle uśmiechnął się; to jedna z zalet bycia martwym: dostrzega się rzeczy, na które żywi nie zwracają uwagi.

Człowiek-Wiadro odpowiedział piskliwym, nadęsanym głosem.

niby co on robi, jeśli mu powiem ? a za coś takiego mogę ściągnąć na siebie wielki stos kłopotów.

- Ale możesz chyba powiedzieć, czy dobrze zgaduję - zaproponował Windle

taaak. może.

- Niczego nie musisz mówić - dodała pani Cake. - Wystarczy, że zastukasz dwa razy na "tak" i raz na "nie", jak za dawnych czasów.

no dobrze.

- Proszę, panie Poons - zachęciła Windle'a Ludmiła. Miała głos, który Windle chętnie by pogłaskał. Odchrząknął.

- Myślę... - zaczął. - Znaczy, wydaje mi się, że to coś w rodzaju jajek. Pomyślałem: dlaczego śniadanie? A potem pomyślałem: jajka.

STUK.

- Hm... No cóż, może to jednak głupi pomysł. przepraszam, miało by być raz na "tak" czy dwa razy na "tak"?

- Dwa - warknęło medium.

STUK. STUK.

- Aha - szepnął Windle. -1 potem wykluwa się z nich coś z kólkami?

ma być dwa na "tak"?

- Tak!

STUK STUK

- Tak myślałem, tak myślałem. Znalazłem jedno u siebie pod podłogą. Próbowano się wykluć, ale nie miało dość miejsca! - zawołał Windle.

Zmarszczył brwi.

- A co z nich się wylęgnie?

Mustrum Ridcully przebiegł truchtem do swojego gabinetu. Z haków

nad kominkiem zdjął laskę, polizał palec i ostrożnie dotknął jej czubka. Strzeliła oktarynowa iskra i rozszedł się zapach naoliwionej cyny. Ruszył do drzwi.

I dopiero wtedy odwrócił się powoli, gdyż jego mózg właśnie przeanalizował zawartość zagraconego pokoju i zauważył coś niezwykłego.

- Co on tu robi, u licha? - mruknął.

Pchnął obiekt czubkiem laski. Obiekt zgrzytnął cicho i odjechał kawałek.

Przypominał trochę - ale nie za bardzo - wózki, które zwykle pchają przed sobą pokojówki, wózki wyładowane miotłami, świeżą pościelą i co tam jeszcze one wożą. Ridcully zanotował w pamięci, żeby omówić tę sprawę z ochmistrzynią. A potem o tym zapomniał.

- Te piekielne kołowate druciaki wszędzie się wpychają - wymamrotał tylko.

Przy słowie "piekielne" zmaterializowało się w powietrzu coś przypominającego wielką zieloną muchę z kocią paszczą, trzepocząc skrzydełkami zbadało pomieszczenie i pofrunęło za niczego j nieświadomym nadrektorem.

Słowa maga niosą moc. I słowa przekleństw niosą moc. A że siła życiowa niemal krystalizowała się w powietrzu, musiała szukać ujść gdzie to tylko możliwe.

Miasta, powiedział Człowiek-Wiadro, myślę, że to jaja miast.

Starsi magowie zebrali się w Głównym Holu. Nawet pierwszy prymus odczuwał niejake podniecenie. Używanie magii przeciwko kolegom magom

uważano za dowód złych manier, natomiast używanie jej przeciwko cywilom nie uchodziło.

A przecież od czasu do czasu dobrze jest kogoś przypalić. Nadrektor przyjrzał się im badawczo.

- Dziekanie, dlaczego ma pan całą twarz w paski? - zapytał.

- To kamuflaż, nadrektorze.

- Ach, kamuflaż?

- Yo, nadrektorze.

- No dobrze. Najważniejsze, że dobrze się pan z tym czuje.

Zaczęli się podkradać do tego kawałka gruntu, który stanowił osobiste terytorium Moda. To znaczy większość z nich się podkradała. Dziekan posuwał się ciągiem szybkich skoków, od czasu do czasu przyciskał się do muru i powtarzał pod nosem "Raz, dwa, trzy".

Był całkowicie załamany, kiedy odkryli, że trzy pozostałe pryzmy nadal są tam, gdzie Modo je usypał. Ogrodnik, który włókł się z tyłu i dwa razy został niemal zgnieciony przez dziekana, teraz zakrzętnął się wokół pryzm.

- Maskują się - stwierdził dziekan. - Moim zdaniem trzeba rozwalić te piekielne...

- Nawet się nie zagrzały - poinformował Modo. - Tamta była chyba najstarsza.

- Chcesz powiedzieć, że nie mamy z czym walczyć? - upewnił się nadrektor.

Ziemia zadrżała im pod nogami. A potem rozległ się cichy brzęk - od strony krużganku.

Ridcully zmarszczył brwi.

- Ktoś znowu jeździ tymi drucianymi pudłami - powiedział. - Dzisiaj znalazłem jedno w gabinecie.

- To nic - oświadczył pierwszy prymus. - jedno takie coś stało w mojej sypialni. Otworzyłem szafę i było.

- W szafie? - zdziwił się Ridcully. - Po co je pan tam schował?

- Nie schowałem. Przecież mówię. Myślę, że to chyba studenci. To ich typowe dowcipy. Kiedyś jeden z nich wsadził mi szczotkę do łóżka.

- Niedawno potknąłem się o coś takiego - przypomniał sobie nadrektor.
- A kiedy potem szukałem, ktoś to zabrał. Zgrzytanie się zbliżyło.

- No dobra, panie, tak zwany Sprytny Dowcipnisiu - rzekł Ridcully i raz czy dwa znacząco uderzył laską w otwartą dłoń. Magowie cofnęli się pod ścianę.

Niewidoczny popychacz wózka był już prawie przy nich. Ridcully warknął i wyskoczył z ukrycia.

- Ha, mój młody... Niech to demony porwą!

- **N**ie zmyślaj - zaprotestowała pani Cake. - Miasta nie żyją. Wiem, ludzie czasem mówią, że tak, ale to nieprawda. Windle Poons obrócił w rękę szklaną kulę.

- Musiało ich złożyć tysiące - stwierdził. - Ale oczywiście nie wszystkie przetrwają. Inaczej tkwilibyśmy w miastach po uszy.

- Chce pan powiedzieć, że z tych małych kulek wylęgają się wielkie miasta? - zdziwiła się Ludmiła.

nie od razu. wcześniej występuje stadium ruchome.

- Coś z kółkami - domyślił się Windle. zgadza się. widzę, że już wiesz.

- Chyba wiedziałem. Ale nie rozumiałem. A co się dzieje po stadium ruchomym? nie wiem. Windle wstał.

- W takim razie pora to sprawdzić - rzekł.

Zerknął na Ludmiłę i Lupine'a. No tak. Właściwie czemu nie? Jeśli możesz komuś pomóc, Windle, skoro już tu jesteś, to twoje życie nie pójdzie na marne.

Trochę się przygarbił i pozwolił, by głos lekko mu zadrżał.

- Niezbyt pewnie ostatnio stoję na nogach - poskarżył się. -Byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby ktoś pomógł mi w drodze. Czy zechcesz mnie odprowadzić na uniwersytet, panienko?

- Ludmiła ostatnio niewiele wychodzi, z powodu zdrowia... - zaczęła pospiesznie pani Cake.

- Czuję się doskonale - przerwała jej córka. - Mamo, wiesz przecież, że minął już cały dzień od peł...

- Ludmiła!

- Ale minął.

- W tych czasach młoda kobieta nie powinna samotnie chodzić po ulicach. To niebezpieczne.

- Ale ten wspaniały pies pana Poonsa odstraszy nawet najgroźniejszych bandytów.

Na to hasło Lupine zaszczekał uprzejmie i zaczął służyć. Pani Cake przyjrzała mu się krytycznie.

- Rzeczywiście, wygląda na bardzo posłuszne zwierzę - przyznała z wahaniem.

- Więc ustalone - ucieszyła się Ludmiła. - Pójdę po szal. Lupine przewrócił się na grzbiet. Windle trącił go nogą.

- Bądź grzeczny - powiedział.

Usłyszeli znaczące chrząknięcie Człowieka-Wiadro.

- Dobrze, dobrze - mruknęła pani Cake.

Sięgnęła po pęczek zapalek, wyjęła jedną, zapaliła paznokciem i wrzuciła do szklanki z whisky. Alkohol rozpalił się błękitnym płomieniem, a gdzieś w spirytystycznym świetle widmo solidnego drinka przetrwało dostatecznie długo.

Kiedy Windle wychodził, zdawało mu się, że słyszy upiorny głos, śpiewający jakąś piosenkę.

Wózek zahamował. Obrócił się odrobinę w jedną, potem w drugą stronę, jakby obserwował magów. Potem wykonał zwrot i odjechał z wielką szybkością.

- Łapać go! - ryknął nadrektor.

Wymierzył z laski i wpuścił małą ognistą kulę, która zmieniła niewielki obszar bruku w coś żółtego i bulgoczącego. Pędzący wózek zakołysał się mocno, ale jechał dalej; tylko jedno kółko stukało mu i piszczało.

- Jest z Piekielnych Wymiarów! - zawołał dziekan. - W kosza mu! Nadrektor uspokajająco położył dziekanowi dłoń na ramieniu.

- Nie bądź pan durniem. Stwory z Wymiarów mają więcej macek i różnych takich. Nie wyglądają na zrobione.

Odwrócili się, słysząc kolejny wózek. Turkotał spokojnie bocznym korytarzem i zatrzymał się, kiedy zobaczył - lub w inny sposób zarejestrował - magów. Po czym z godnym szacunku talentem próbował udawać wózek, który ktoś akurat w tym miejscu zostawił.

Kwestor podkradł się bliżej.

- Nic ci z tego wyglądu nie przyjdzie - powiedział. - Wiemy, że umiesz sam jeździć.

- Byłeś widziany! - oznajmił dziekan. Wózek udawał, że to go nie dotyczy.

- Przecież on nie może myśleć - stwierdził wykładowca run współczesnych. - Nie ma miejsca na mózg.

- Kto powiedział, że myśli? - zdziwił się nadrektor. - On tylko się rusza. Do tego żaden mózg niepotrzebny. Nawet krewetki się ruszają.

Przejechał palcami po drucianej siatce.

- Tak naprawdę krewetki są całkiem inte... - zaczął pierwszy prymus.

- Zamknij się pan - przerwał mu nadrektor. - Hm... Czy on rzeczywiście jest zrobiony?

- To drut - zauważył pierwszy prymus. - Drut to coś, co trzeba wyprodukować. I jeszcze kółka. Naturalne obiekty nie mają kółek.

- Ale kiedy przyjrzeć się z bliska, wygląda...

- ...jak całość - dokończył wykładowca run współczesnych, który przyklęknął z wysiłkiem, żeby obejrzeć wózek dokładnie. - Bez połączeń. Zrobiony z jednej bryły. Jak maszyna, którą ktoś wyhodował. Przecież to śmieszne.

- Ale możliwe. Żyje chyba w Ramtopach taka odmiana kukułki, która buduje zegary, żeby w nich zamieszkać - przypomniał kwestor. - Prawda?

- Ach, to tylko rytuał godowy - odparł wykładowca run współczesnych.
- Poza tym kukulcze zegary zawsze się spóźniają.

Wózek skoczył nagle w stronę szczeliny między magami i pewnie by mu się udało, gdyby tej szczeliny nie zajmował kwestor, który wrzasnął i przewrócił się, wpadając prosto do koszyka. Wózek nie zwolnił, lecz turkotał dalej. Kierował się do bramy.

Dziekan wzniosł laskę. Nadrektor chwycił ją i pchnął w dół.

- Mógłby pan trafić kwestora - ostrzegł.

- Tylko jedną małą kulę ognia!

- To kuszące, ale nie. Chodźmy. Za nim!

- Yo!

- Jak pan chce.

Magowie ruszyli w pogoń. Biegli rozkołysanym krokiem, a za nimi, przez nikogo niezauważone, brzęczały i trzepotały w powietrzu przekleństwa nadrektora.

Tymczasem Windle Poons prowadził swoją grupę do Biblioteki.

Podpierając się rękami, bibliotekarz Niewidocznego Uniwersytetu przebiegł szybko do drzwi wstrząsanych przeraźliwym stukaniem.

- Wiem, że tam jesteś - odezwał się głos Windle'a Poonsa. - Musisz nas wpuścić! To życiowo ważne!

- Uuk.

- Nie otworzysz?

- Uuk!

- W takim razie nie pozostawiasz mi wyboru... Pradawne kamienne bloki przesunęły się wolno. Posypała się zaprawa. Potem fragment ściany runął, a ukazał się Windle Poons stojący w windlepoonsokształtnym otworze. Zakaszłał, wzniecając tumany kurzu.

- Nie znoszę tego - stwierdził. - Cały czas mam uczucie, że folguję

prymitywnym zabobonom.

Bibliotekarz wylądował mu na ramionach. Ku zdumieniu orangutana, reakcja była niemal zerowa. Trzystufuntowa mała zwykle wywiera znaczny wpływ na tempo poruszania się zaatakowanej osoby, ale Windle nosił go jak kołnierz.

- Myślę, że powinniśmy szukać w dziale Historii Starożytnej - oświadczył. - A przy okazji: mógłbyś przestać ukrecać mi głowę?

Bibliotekarz rozejrzał się zdezorientowany. Ta technika nigdy dotąd go nie zawiodła.

I nagle rozdał nozdrza.

Bibliotekarz nie zawsze był małą człekokształtną. Magiczna biblioteka to niebezpieczne miejsce pracy; w wyniku czarodziejskiej eksplozji bibliotekarz zmienił się w orangutana. Kiedyś był całkiem nieszkodliwym człowiekiem, ale teraz - gdy większość przyzwyczaiła się już do jego nowej postaci - mało kto o tym pamiętał. Jednak wraz z przemianą otrzymał klucz do całego zestawu zmysłów i wspomnień gatunkowych. Jedno z najgłębszych, najbardziej fundamentalnych, tkwiących najgłębiej, praktycznie w samych kościach, dotyczyło kształtów. Sięgało samego zarania inteligencji. Otóż kształty z pyskami, zębami i czterema łapami ewoluujący małą umysł klasyfikował jako Złe Wieści.

Przez dziurę w murze przeszedł bardzo duży wilk, a za nim atrakcyjna młoda kobieta. Analiza sygnałów wejściowych bibliotekarza doznała chwilowej blokady.

- I jeszcze coś - ostrzegł Windle. - Całkiem możliwe, że mógłbym zawiązać ci ręce za plecami.

- lik!

- On nie jest zwyczajnym wilkiem. Możesz mi wierzyć.

- Uuk?

Windle zniżył głos.

- A ona, technicznie rzecz biorąc, nie jest całkiem kobietą -dodał.

Bibliotekarz obejrzał się na Ludmiłę. Znowu rozszerzył nozdrza i zmarszczył niskie czoło.

- Uuuk?

- No dobrze, może nie najlepiej się wyraziłem. Chodźmy już. Nie rób trudności.

Bibliotekarz bardzo ostrożnie zwolnił uchwyt i zsunął się na ziemię. Starał się utrzymywać Windle'a pomiędzy sobą a Lupine'em.

Windle strzepnął z szaty resztki tynku.

- Chcemy się czegoś dowiedzieć o życiu miast - wyjaśnił. -A przede wszystkim chcemy...

Rozległ się cichy turkot.

Druciany koszyk wyjechał nonszalancko zza masywnej ścianki najbliższego regału. Był pełen książek. Zatrzymał się, gdy tylko zdał sobie sprawę, że został zauważony, i próbował wyglądać tak, jakby w ogóle się nie ruszał.

- Stadium ruchome - szepnął Windle Poons. Druciany koszyk usiłował się wycofać tak powolutku, żeby nikt tego nie zauważył. Lupine warknął.

- Czy o tym mówił Człowiek-Wiadro? - spytała Ludmiła. Wózek zniknął. Bibliotekarz zawarczał i pognął za nim.

- Tak. Coś, co może się wydawać użyteczne - potwierdził Windle, nagle niemal maniakalnie uradowany. - Tak to działa. Najpierw coś, co chce się zatrzymać i gdzieś odłożyć. Tysiące nie znajdą odpowiednich warunków, ale to bez znaczenia, bo są ich tysiące. A kolejne stadium to coś, co się przydaje, może trafić wszędzie i nikt nawet nie pomyśli, że trafiło tam samodzielnie. Tylko że wszystko dzieje się w nieodpowiednim czasie!

- Jak miasto może być żywe? Jest przecież zbudowane z martwych części!

- Tak samo jak ludzie. Możesz mi wierzyć. Wiem. Ale chyba masz rację. Coś takiego nie powinno się zdarzyć. To przez tę dodatkową siłę życiową. Ona... ona zakłóca równowagę. Zmienia w rzeczywistość coś, co nie jest naprawdę prawdziwe. To wszystko dzieje się za wcześnie i za szybko.

Usłyszeli głośny pisk bibliotekarza. Wózek wypadł zza następnego rzędu regałów i jak szalony, kręcąc kółkami, zmierzał do dziury w ścianie. Orangutan uparcie ścisnął ręką uchwyt i powiewał z tyłu jak bardzo gruba flaga.

Wilk skoczył.

- Lupine! - krzyknął Windle.

Jednak od dnia, kiedy pierwszy jaskiniowiec potoczył ze wzgórza kawałek belki, psy mają głęboko zakodowany genetyczny przymus ścigania wszystkiego na kołach. Lupine szczekał już głośno...

Jego szczęki zamknęły się na kółku. Rozległ się pisk, wrzask bibliotekarza i mała, wilk i druciany wózek wylądowali jako splątany stos pod ścianą.

- Och, biedactwo! Proszę na niego popatrzeć! - Ludmiła podbiegła i przyklękała obok leżącego wilka. - Przejechał mu po łapach!

- Stracił też pewnie kilka zębów - dodał Windle.

Pomógł wstać bibliotekarzowi. W oczach mały pojawił się złowrogi czerwony błysk. To coś próbowało ukraść jego książki...

Żaden mag nie mógłby chyba żądać lepszego dowodu, że wózki są bezmózgie.

Bibliotekarz pochylił się i po kolei wyrwał wózkowi kółka.

- Ole! - zawołał Windle.

- Uuk?

- Nie, nie z mlekiem.

Ludmiła oparła sobie głowę Lupine'a na kolanach. Wilk stracił ząb, a futro miało bardzo zmierzwiłone. Otworzył żółte ślepią i spojrzał porozumiewawczo na Windle'a. Ludmiła drapała go za uszami.

Oto szczęśliwy piesek, pomyślał Windle. Pewnie wykorzysta okazję, podniesie łapę i zacznie skomleć.

- Dobrze - powiedział głośno. - Bibliotekarzu, o ile pamiętam, właśnie chciałeś nam pomóc.

- Biedny odważny piesek - mówiła Ludmiła. Lupine podniósł łapę i zaskomlał żałośnie.

Obciażony wrzeszczącym kwestorem drugi druciany koszyk nie zdołał osiągnąć szybkości swego towarzysza. W dodatku jedno kółko wlokło się bezużytecznie. Wózek zygzakował ryzykownie i niemal się przewrócił, kiedy bokiem przejeżdżał przez bramę.

- Widzę go dobrze! Mam czyste pole! - ryczał dziekan.

- Nie próbuj pan! Możesz pan trafić kwestora! Możesz pan uszkodzić własność uniwersytetu!

Ale dziekan nie słyszał, ogłuszony szumem testosteronu. Jadownicza zielona kula ognia uderzyła w jadący ukosem wózek. Kółka wleciały w powietrze.

Ridcully nabrał tchu.

- Ty durny...! - wrzasnął.

Słowo, którego użył, było całkiem nieznane magom, nieposiadającym zdrowych wiejskich korzeni i niewiedzącym nic na temat co bardziej delikatnych kwestii hodowli zwierząt. Jednak zmaterializowało się kilka cali od twarzy nadrektora; było tłuste, okrągłe, lśniąco i miało przerażające brwi. Prychnęło po owadziemu i odleciało, dołączając do niewielkiego roju przekleństw.

- Co to było, do demona?

Mniejsze stworzenie pojawiło się w powietrzu za jego uchem.

Ridcully zerwał z głowy kapelusz.

- Niech to piekło! - Rój zwiększył się o jedną sztukę. - Coś mnie ugryzło!

Eskadra świeżo wyklutych Przeklętych bohatersko usiłowała wyrwać się na wolność. Bezskutecznie machał na nie kapeluszem.

- Wynocha, wy b... - zaczął.

- Proszę tego nie mówić - przerwał mu pierwszy prymus. - Zamknij się pan!

Nikt jeszcze nie kazał nadrektorowi się zamknąć. Zamykanie się było czymś, co spotyka innych. Dlatego zamknął się ze zdumienia.

- Za każdym razem, kiedy pan klnie, przekleństwo ożywa - wyjaśnił szybko pierwszy prymus. - Paskudne, małe skrzydlate stwory wyskakują w powietrzu.

- Niech to piekło i demony! - powiedział nadrektor.

Plop. Plop.

Oszołomiony kwestor wyczołgał się spod resztek drucianego kosza. Znalazł spiczasty kapelusz, otrząpał i wsadził na głowę. Zmarszczył czoło, zdjął go i wyjął ze środka kółko od drucianego wózka. Koledzy wyraźnie nie zwracali na niego uwagi.

Usłyszał słowa nadrektora.

- Przecież zawsze się tak wyrażam! W dobrym przekleństwie nie ma nic złego, krew tylko lepiej krąży! Uwaga, dziekanie, jeden z tych demo...

- Czy mógłby pan użyć innego słowa? - zawołał pierwszy prymus, przekrzykując brzęczenie roju.

- Jakiego?

- Na przykład... no... łobuz.

- Łobuz?

- Tak. Albo "a niech to".

- I już? A niech to i koniec?

Kwestor zbliżył się cicho do grupy. Kłótnie o nieistotne drobiazgi w chwilach międzywymiarowego zagrożenia były dobrze znaną cechą magów.

- Pani Whitlow, ochmistrzyni, zawsze mówi "cukier", kiedy coś upuści - zaproponował.

Nadrektor obejrzał się na niego.

- Może i mówi "cukier" - burknął. - Ale ma na myśli "szła...". Magowie uchylili się, Ridcully jednak nie dokończył.

- O łobuz - powiedział żałośnie.

Przekleństwa siadały mu przyjaźnie na kapeluszu.

- Lubią pana - zauważył dziekan.

- Jest pan ich tatusiem - dodał wykładowca run współczesnych. Ridcully gniewnie zmarszczył brwi.

- Słuchajcie no, prze... przemili chłopcy, przestańcie już się zabawiać

kosztem swojego nadrektora i na de... natychmiast się dowiedźcie, o co w tym wszystkim chodzi.

Magowie popatrzyli dookoła wyczekująco, ale nic się nie pojawiło.

- Świetnie pan sobie radzi - pochwalił wykładowca run współczesnych.
- Tak trzymać.

- Łobuz, łobuz, łobuz - mruknął nadrektor. - Cukier, cukier, cukier. Niech to, niech to, niech tamto. - Pokręcił głową. - Nic z tego. Wcale mnie to nie uspokaja.

- Ale przynajmniej oczyszcza atmosferę - zauważył kwestor. Pierwszy raz chyba spostrzegli wreszcie jego obecność. Spojrzeli na resztki wózka.

- Różne rzeczy pędzą tu i tam - stwierdził Ridcully. - Rzeczy ożywają.

Drgnęli, słysząc znajome zgrzytanie. Przed bramą przejechały dwa kolejne kosze na kółkach. Jeden był pełen owoców, drugi był pełen w połowie owoców, a w połowie wrzeszczącego dzieciaka.

Magowie przyglądali się im z rozdziawionymi ustami. Za wózkami pędził spory tłumek. Na prowadzeniu, mocno pracując łokciami, przebiegła przed bramą zdesperowana i zdeterminowana kobieta.

Nadrektor złapał potężnego mężczyznę, który włókł się dzie nie za grupą.

- Co się stało?

- Ładowałem brzoskwinie do tego kosza, kiedy nagle coś w nie-! go wstąpiło i uciekło.

- A co z dzieckiem?

- Nie mam pojęcia. Ta kobieta pchała taki koszyk. Kupiła ode mnie parę brzoskwiń i wtedy...

Wszyscy się obejrzel. Kolejny koszyk wyjechał z bocznej uliczki,

zauważył ich, skręcił gwałtownie i pomknął przez plac.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Ridcully.

- Są bardzo wygodne, żeby coś w nie naładować, nie? A musiałem gdzieś zapakować te brzoskwinie. Wiecie, jak się odgniatają.

- Wszystkie jadą w tym samym kierunku - stwierdził wykładowca run współczesnych. - Ktoś jeszcze to zauważył?

- Za nimi! - krzyknął dziekan.

Pozostali magowie ruszyli wraz z nim, zbyt zdumieni, żeby protestować.

- Nie... - zaczął Ridcully i zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. W dodatku tracił inicjatywę. Starannie sformułował najdelikatniejszy okrzyk bojowy w całej historii rubaszności. - Zacukrować łobuzów! - wrzasnął i pognął za dziekanem.

Przez całe długie popołudnie Bill Brama pracował na czele kolumny pomocników, wiążących i stawiających snopki.

Dopóki nie rozległ się krzyk i ludzie nie pobiegli do żywopłotu.

Wielkie pole laga Peedbury'ego leżało zaraz po drugiej stronie. Jego pomocnicy wpychali przez bramę Kombinator Żniwny.

Bill tak jak wszyscy wyjrzał przez żywopłot. Z daleka widział, jak Simnel udziela instrukcji. Przestraszony koń wszedł tyłem między dyszle. Kowal wspiął się na małe metalowe siodełko w samym środku maszynerii i chwycił lejce.

Koń ruszył. Rozłożyły się ramiona zgarniające. Płóciennne płachty zaczęły się obracać i prawdopodobnie kręciła się też śruba segregująca, choć nie miało to znaczenia, bo nagle coś brzęknęło i wszystko stanęło w miejscu.

Z grupy gapiów za żywopłotem rozległy się okrzyki w stylu "Zejdź i spróbuj go wydoić", Już takiego mieliśmy, ale czubek mu odpadł", Jeszcze dwa pensy i osioł też idzie w górę" oraz inne uświęcone tradycją zabawne uwagi.

Simnel zszedł na ziemię, porozmawiał szeptem z Peedburym i jego ludźmi, po czym na chwilę zniknął we wnętrzu maszyny.

- Nigdy nie polec!

- Jutro stanieje cielęcina!

Tym razem Kombinator Żniwny przejechał kilka stóp, zanim rozdarła się i zwinęła jedna z wirujących płacht.

Kilku starszych mężczyzn obok żywopłotu zwijało się ze śmiechu.

- Złom skupują, sześć pensów za wóz!

- Przyprowadź następny, bo ten się popsuł!

Simnel zsiadł. Dalekie drwiące okrzyki docierały do niego, ale je ignorował. Odwiązał płachtę i zastąpił nową.

Nie odrywając wzroku od wydarzeń na sąsiednim polu, Bill Brama wyjął z kieszeni oselkę i zaczął gładzić kosę, powoli i starannie.

Rozległ się zgrzyt kamienia o metal.

Simnel wrócił na siodło i skinął człowiekowi trzymającemu konia.

- Ruszamy!

- Pogońcie skowronka!

- Załóżcie mu skarpety! Krzyki cichły z wolna.

Wiele par oczu podążało wzrokiem za Kombinatorem, który przejechał przez pole, zawrócił i ruszył z powrotem.

Przejechał obok nich, stukając i oscylując posuwisto-zwrotnie.

Na końcu pola zawrócił zgrabnie.

Po długiej chwili jeden z gapiów się odezwał:

- To się nie przyjmie. Zapamiętajcie moje słowa.

- Pewno. Kto by chciał kupować taką zabawkę? - zgodził się drugi.

- Jasne. To przecież tylko taki jakby wielki zegar. Niczego nie potrafi, tylko jechać po polu tam i z powrotem...

- ...bardzo szybko...

- ...ciąć kukurydzę i młócić ziarno...

- Zrobił już trzy zagony.

- Niech to demony!

- Prawie nie widać, jak się to wszystko rusza! Co o tym myślisz, Bill?

Bill!

Obejrżeli się.

Był już w połowie drugiego zagonu, ale przyspieszał.

Panna Flitworth uchyliła drzwi.

- Słucham? - spytała podejrzliwie.

- To Bill Brama, panno Flitworth. Przyprowadziłem go do domu.

Otworzyła drzwi szerzej.

- Co mu się stało?

Dwaj mężczyźni weszli niezgrabnie; starali się podtrzymywać kogoś o stopę wyższego od siebie. Ten ktoś podniósł głowę i spojrzał na pannę Flitworth zamglonym wzrokiem.

- Nie wiem, co go naszło - powiedział Diuk Dennik.

- Ale pracował jak demon - zapewnił William Kurek. - Nie bierze od pani pieniędzy za darmo, panno Flitworth, to pewne.

- To jest chyba pierwszy w tej okolicy - odparła kwaśnym tonem.

- Tam i z powrotem po polu, jak szaleniec. Próbował pobić tę machinę Neda Simneta. We czterech musielim wiązać za nim snopki. I prawie z nią wygrał.

- Połóżcie go na sofie.

- Mówilim mu, że za bardzo się męczy w tym upale. Diuk wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do kuchni - na wypadek gdyby klejnoty i skarby zwisały z szuflad kredensu. Panna Flitworth zasłoniła mu widok.

- Nie wątpię, że mówiliście. Dziękuję. A teraz pewnie chcecie już wracać do domu.

- Gdybyśmy jeszcze mogli w czym pomóc...

- Wiem, gdzie mieszkacie. I że od pięciu lat nie zapłaciliście czynszu. Do widzenia, panie Kurek.

Wypchnęła ich za próg i zatrzasnęła drzwi. Potem się odwróciła.

- Co robiłeś, do demona, tak zwany Billu Brama?

JESTEM ZMĘCZONY I TO NIE CHCE PRZEJŚĆ.

Bill Brama chwycił się za czaszkę.

I JESZCZE KUREK DAŁ MI DOWCIPNY NAPÓJ ZE

SFERMENTOWANEGO SOKU JABŁKOWEGO, BO BYŁ UPAŁ, I
TERAZ CZUJĘ SIĘ CHORY.

- Nic dziwnego. Sam go pędzi w lesie.

NIGDY JESZCZE NIE CZUŁEM SIĘ CHORY. ANI ZMĘCZONY.

- To element bycia żywym.

JAK LUDZIE MOGĄ TO ZNIEŚĆ?

- No cóż, czasem pomaga sfermentowany sok jabłkowy.

Bill Brama smętnie spuścił głowę.

ALE SKOŃCZYLIŚMY NA POLU, oznajmił z nutą tryumfu w głosie.
WSZYSTKO POWIĄZANE W SNOPI, A MOŻE NA ODWRÓT.

Znowu chwycił dłońmi czaszkę.

AARGH.

Panna Flitworth zniknęła w spiżarni. Usłyszał zgrzyt pompy. Po chwili
wróciła z mokrą ścierką i kubkiem wody.

W KUBKU PŁYWA JASZCZURKA!

- To dowodzi, że woda jest świeża - uspokoiła go panna Flitworth[14],
wyłowiła stworzonko i rzuciła na podłogę, gdzie szybko umknęło w jakąś
szczelinę.

Bill Brama spróbował wstać.

TERAZ JUŻ PRAWIE ROZUMIEM, DLACZEGO NIEKTÓRZY
LUDZIE CHCĄ UMRZEĆ, powiedział. SŁYSZAŁEM O BÓLU I
CIERPIENIU, ALE DO TEJ CHWILI NIE BYŁEM ŚWIADOMY, CO
OZNACZAJĄ.

Panna Flitworth wyjrzała przez zakurzone okno. Chmury, które

gęstniały przez całe popołudnie, teraz wisiały nad górami - szare, z groźnymi pasmami żółci. Upał przygniatał do ziemi.

- Nadchodzi wielka burza.

CZY ZNISZCZY MOJE PLONY?

- Nie. Zbiory potem wyschną.

CO Z DZIECKIEM?

Bill Brama otworzył dłoń. Panna Flitworth uniosła brwi. W palcach trzymał złotą klepsydrę; górna część była już niemal pusta. Klepsydra migotała, jakby znikająca i pojawiają się na przemian.

- Skąd ją wziąłeś? Przecież jest na górze! Mała trzymają ją jak... - Zająknęła się. - jak ktoś, kto trzyma coś bardzo mocno.

WCIAŻ TAM JEST. ALE JEST TAKŻE TUTAJ. ALBO GDZIEKOLWIEK. TO PRZECIEŻ TYLKO METAFORA.

- To, co ona trzyma, wygląda na całkiem prawdziwe.

TO, ŻE COŚ JEST METAFORĄ, NIE ZNACZY, ŻE NIE MOŻE BYĆ PRAWDZIWE.

Panna Flitworth dosłyszała delikatne echo w jego głosie, jakby słowa wypowiadały dwie osoby, prawie, ale niezupełnie równocześnie.

- Ile ci jeszcze zostało? TO KWESTIA GODZIN.

- A kosa?

UDZIELIŁEM KOWALOWI ŚCISŁYCH INSTRUKCJI.

Zmarszczyła czoło.

- Nie chcę powiedzieć, że Ned Simnel to zły chłopak, ale czy jesteś pewien, że to zrobi? Wiele wymagasz, żądając od takiego człowieka jak on,

żeby zniszczył coś takiego.

NIE MIAŁEM WYBORU. TO MAŁE PALENISKO TUTAJ NIE WYSTARCZY.

- To wściekle ostra kosa.

OBAWIAM SIĘ, ŻE BĘDZIE NIE DOŚĆ OSTRA.

- Czy nikt jeszcze nie próbował pokonać ciebie?

JEST TAKIE POWIEDZENIE: NIE ZABIERZESZ MAJĄTKU ZE SOBĄ.

- Tak.

ILU LUDZI NAPRAWDĘ W TO WIERZY?

- Pamiętam, czytałam kiedyś - przypomniła sobie panna Flitworth - o tych pogańskich królach gdzieś na pustyni, którzy budowali piramidy i wkładali do nich mnóstwo różnych rzeczy. Nawet łodzie. Nawet dziewczęta w przezroczystych spodniach i pokrywkach od rondli. Nie powiesz mi, że to jest dobre.

NIGDY NIE BYŁEM PEWIEN, CO JEST DOBRE, A CO ZŁE, odparł Bill Brama. NIE JESTEM NAWET PEWIEN, CZYISTNIEJE TAKIE COŚ JAK DOBRO. ALBO ZŁO. TO TYLKO MIEJSCA, GDZIE SIĘ STOI.

- Nie. Dobro to dobro, a zło to zło - oświadczyła panna Flitworth. - Tak zostałam wychowana, żeby je odróżniać.

PRZEZ KONTRABANDZISTĘ.

- Kogo?

PRZEWOŻĄCEGO KONTRABANDĘ.

- W przemyśle nie ma nic złego!

CHCIAŁEM TYLKO PODKREŚLIĆ, ŻE NIEKTÓRZY MYŚLĄ INACZEJ.

- Oni się nie liczą!

ALE...

Piorun uderzył we wzgórze. Grom zakołysał domem; kilka cegieł z komina spadło do paleniska. A potem szyby zadygotały od wściekłych uderzeń.

Bill Brama podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

Kulki gradu wielkości kurzych jaj odbijały się od progu i wpadały do kuchni.

AHA. DRAMAT.

- Niech to demon!

Panna Flitworth schyliła mu się pod ramieniem.

- A skąd się wziął ten wicher?

Z NIEBA?, odpowiedział Bill Brama, zaskoczony nagłym poruszeniem.

- Chodź! - Wróciła do kuchni i sięgnęła do kredensu po świecę, latarnię i zapalki.

PRZECIEŻ MÓWIŁA PANI, ŻE WYSCHNIE.

- Po normalnej burzy tak. Ale po tym? Wszystko się poniszczy! Rano plony będą porozrzucane po całym pagórku!

Szybko zapaliła świecę i wróciła do drzwi.

Bill Brama spoglądał na burzę. Żdźbła siana przelatywały obok, wirując w podmuchach wichury.

ZNISZCZONE? MOJE ZBIORY? Wyprostował się. W ŻYCIU!

Grad bębnił o dach kuźni.

Ned Simnel dmuchał miechem, aż w samym sercu paleniska węgle zapłonęły bielą z najlżejszą tylko sugestią żółtej barwy.

To był udany dzień. Kombinator Żniwny spisał się lepiej, niż Ned śmiał marzyć. Stary Peedbury uparł się, żeby maszyna została u niego i skosiła jutro następne pole, więc teraz stała w zagrodzie okryta plandeką. Jutro Ned może nauczyć któregoś z ludzi, jak się ją prowadzi, a sam zająć się pracą nad nowym, ulepszonym modelem. Sukces był pewny; czekała go jasna przyszłość.

Pozostała jeszcze sprawa kosi. Ned podszedł do ściany, gdzie ją zawiesił. Tajemnicza historia z tą kosą. Była niewątpliwie najwspanialszym narzędziem w swojej klasie. Nie potrafił jej nawet stępić. Ostrość rozciągała się daleko poza krawędź, ostrza. A mimo to powinien ją zniszczyć. Czy jest w tym jakiś sens? Ned Simnel głęboko wierzył w sens, zwłaszcza sens pewnego wyspecjalizowanego typu.

Może Bill Brama zwyczajnie chciał się jej pozbyć? To by było zrozumiałe, ponieważ nawet teraz, kiedy wisiała niewinnie na ścianie, zdawała się promieniować ostrością. Wokół ostrza widać było delikatną fioletową aureolę spowodowaną przeciągami, które gnały pechowe molekuły powietrza ku ich okrutnej zagładzie.

Ned Simnel bardzo ostrożnie zdjął kosę.

Dziwny gość z tego Billa Bramy. Chce mieć pewność, powiedział, że kosa jest całkowicie martwa. Tak jakby można było zabić przedmiot.

A właściwie jak można ją zniszczyć? Oczywiście, uchwyt spłonie, metal się wypraży, aż w końcu nie zostanie nic prócz małej kupki pyłu i popiołu. Tego właśnie chciał klient.

Z drugiej strony, przypuszczalnie można by ją zniszczyć, po prostu zdejmując ostrze z drzewca. Przecież wtedy nie byłaby już kosą. Zmieniłaby się w te... części. Jasne, można z nich znowu zrobić kosę, ale pewnie można też z pyłu i popiołu, gdyby tylko człowiek wiedział jak.

Ned Simnel był całkiem zadowolony z tej argumentacji. No i przecież Bil Brama nie żądał dowodu, że kosa została, tego... zabita.

Wymierzył starannie, po czym odciął kosą czubek kowadła. Niesamowite.

Totalna ostrość.

Poddał się. To nieuczciwe. Nie można od kogoś takiego jak on żądać zniszczenia czegoś takiego jak ta kosa. To przecież dzieło sztuki.

Podszedł do ściany i wcisnął kosę za stos drewna. Rozległ się krótki, urwany pisk.

Zresztą na pewno wszystko będzie dobrze. Rano odda Billowi tę ćwierćpensówkę.

Śmierć Szczurów zmaterializował się za sągiem drewna w kuźni i podszedł wolno do smętnej, malej kupki okrytej futerkiem. Niedawno była szczurem, który znalazł się na

drodze kosy.

Jego duch stał obok i rozglądał się, pełen obaw. Nie wydawał się ucieszony widokiem przybysza.

-Pip? Pip?

PIP, wyjaśnił Śmierć Szczurów.

- Piip?

PIP, potwierdził Śmierć Szczurów.

- [nastroszenie wąsików] [zmarszczenie noska] ?

PIP.

Szczur był załamany. Śmierć Szczurów położył mu na ramieniu kościstą, ale nie do końca nieżycziwą łapkę.

PIP.

Szczur smętnie kiwnął łebkiem. To było dobre życie, w kuźni. Sprzątanie praktycznie nie istniało, Ned był też prawdopodobnie mistrzem świata w roztargnieniu i zostawianiu niedojedzonych kanapek.

Duch szczura wzruszył ramionami i powlókł się za niewielką postacią w czarnej szacie. Zresztą i tak nie miał wyboru.

Tłumy wyległy na ulice. Większość ludzi ścigała wózki. . Większość wózków była pełna tego, co ludzie uznali, że wygodnie będzie w wózkach przewozić - drewna na opał, dzieci, zakupów...

Wózki nie kryły się już, tylko sunęły ślepo w jednym kierunku. Wózek można było zatrzymać, przewracając go; kółka wirowały wtedy jak oszalałe. Ten i ów z entuzjazmem usiłował wózki rozbijać, były jednak praktycznie niezniszczalne. Gięły się, ale nie łamały, a póki pozostało im choć jedno kółko, bohatercko próbowały jechać dalej.

- Patrzcie na tamten! - zawołał nadrektor. - Wiezie moje pranie! To moje rzeczy! Na drzewo łobuza!

Przecisnął się przez tłum i wbił łaskę między kółka; wózek się przewrócił.

- Przez tych wszystkich cywili nie mam czystego strzału - poskarżył się dziekan.

- Tych wózków są setki - stwierdził wykładowca run współczesnych. - Są jak werminie[15]. Uciekaj stąd, ty... ty... ty koszu!

Machnął laską na nieszczęsny wózek.

Fala koszyków na kółkach wypływała z miasta. Walczący ludzie stopniowo zostawali w tyle albo wpadali pod chwiejne kółka. Tylko magowie biegli wraz z falą, pokrzykując do siebie i atakując srebrzysty rój laskami. Nie o to chodzi, że magia nie działała. Działała całkiem dobrze. Dobry strzał mógł zmienić wózek w tysiąc skomplikowanych drucianych łamigłówek. Ale co z tego? Już po chwili po swym powalonym towarzyszu przejeżdżały dwa następne.

Wokół dziekana wózki rozpryskiwały się w metalicznych kroplach.

- Zaczyna nabierać wprawy - zauważył wykładowca run współczesnych, gdy razem z kwestorem przewracali kółkami do góry kolejny wózek.

- Z pewnością często powtarza "yo" - przyznał kwestor.

Sam dziekan nie pamiętał już, kiedy był tak szczęśliwy. Od sześćdziesięciu lat przestrzegał wszystkich regulaminowych zasad magicznych i nagle mógł się zabawić jak jeszcze nigdy w życiu. Nie zdawał sobie sprawy, że w głębi duszy najbardziej lubił sprawiać, żeby różne rzeczy rozpadały się z plaśnięciem.

Ogień strzelał z czubka jego laski. Dookoła fruwały uchwyty, kawałki drutu i wirujące żałośnie kółka. A co najlepsze, ani razu nie brakło mu celów. Druga fala wózków, bardziej ściśnięta, starała się przelać ponad tymi, które zachowywały kontakt z gruntem. Nie udawało im się, ale mimo to próbowały. I próbowały desperacko, ponieważ trzecia fala przedzierała się już nad nimi, gniotąc i zgrzytając. Tyle że słowo "próbowały" nie jest tu najważniejsze - przychodzi na myśl jakiś świadomy wysiłek, możliwość, że istnieje także stan "niepróbowania". Coś w tym nieustającym ruchu, w tym,

jak miażdżyły się nawzajem, sugerowało, że druciane koszyki mają w tej kwestii tyle swobody, ile woda w spływaniu w dół.

- Yo! - krzyknął dziekan. Pierwotna magia uderzyła w zgrzytliwą płataninę metalu. Na ziemię spadł grad kółek.

- Masz gorącą thaumaturgię, ty du... - zaczął dziekan.

- Nie przeklinać! Nie przeklinać! - Ridcully zdołał przekrzyczeć hałas. Walczył z Piekielnym Draniem, który krążył wokół jego kapelusza. - Nie wiadomo, w co może się to obrócić!

- Łobuz! - ryknął dziekan.

- To na nic - stwierdził pierwszy prymus. - Równie dobrze moglibyśmy się starać powstrzymać przypływ. Proponuję, żeby wrócić na uniwersytet i przygotować parę naprawdę mocnych zaklęć.

- Dobry pomysł - zgodził się Ridcully. Spojrzał na zbliżającą się ścianę pogiętego drutu. - Ktoś wie, jak to zrobić?

- Yo! Mięczaki! - zawołał dziekan.

Jeszcze raz wymierzył z laski. Wydała z siebie smętny odgłos, który można by zapisać jako "pfffft". Błada iskra opadła z czubka na bruk.

Windle Poons zatrzaskał kolejną księgę. Bibliotekarz skrzywił się tylko.

- Nic! Wulkany, pływy, gniew bogów, wścibscy magowie... Nie chcę wiedzieć, jak zabijano inne miasta, chcę wiedzieć, jak kończyły...

Bibliotekarz złożył na biurku następny stos książek. Kolejną zaletą bycia martwym, jak właśnie przekonał się Windle, była zdolność do języków. Potrafił dostrzec sens słów, nawet nie znając ich ścisłego znaczenia. No cóż, zgon nie przypominał jednak zasypiania - raczej przebudzenie.

Zerknął pod ścianę, gdzie czułe ręce bandażowały łapę Lupine'a.

- Bibliotekarzu - rzucił niegłośnie.

- Uuk?

- Swego czasu zmieniłeś gatunek. Co byś zrobił, gdyby... załóżmy tylko teoretycznie... No więc przypuśćmy, że mamy wilka, który o pełni księżyca zmienia się w mężczyznę-wilkołaka, i kobietę, która o pełni księżyca zmienia się w kobietę-wilkołaka. Rozumiesz, osiągają tę samą formę, ale z przeciwnych stron. I potem się spotykają. Co byś im powiedział? Czy powinni sami jakoś to rozstrzygnąć?

- Uuk - stwierdził natychmiast bibliotekarz.

- To kuszące.

- Uuk.

- Chociaż pani Cake na pewno się nie spodoba.

- I tak uuk.

- Masz rację. Mogłbyś wyrazić to delikatniej, ale masz rację. Każdy powinien sam rozstrzygać takie sprawy.

Westchnął, przewrócił stronę... i szeroko otworzył oczy.

- Miasto Khan Li - odczytał. - Słyszałeś kiedyś o takim? "Grimoire Stripfettle'a Wierście-Lub-Nie". Piszą tu... "małe wózki... nikt nie wiedział, skąd się wzięły... tak niezwykle użyteczne, że posłano ludzi, by spędzili je w stado i sprowadzili do miasta... nagle jakby gorączka w nie wstąpiła... ludzie podążyli za nimi i oto za murami znaleźli nowe miasto: miasto jak gdyby z kupieckich straganów, gdzie wózki owe zniknęły".

Przewrócił stronę.

- Tu chyba mówią...

Nie rozumiałem istoty rzeczy, powiedział sobie w myśli. Człowiek-Wiadro sądzi, że chodzi o rozmnażanie miast. Ale to jakoś nie pasuje.

Miasto jest żywe. Gdyby ktoś był wielkim, powolnym olbrzymem, jak choćby licząca sosna, i spojrział na miasto z góry... Widziałby, jak rosną budynki, jak odpierani są napastnicy, gaszone pożary. Nie widziałby ludzi, bo ludzie za szybko się poruszają. Życiem miasta, tym, co je napędza, nie jest jakaś tajemnicza siła. Życiem miasta są ludzie.

Odruchowo przewracał strony, właściwie nie patrząc...

Czyli mamy miasta - wielkie, osiadłe istoty, wyrastające z jednego punktu i przez tysiące lat prawie nieruszające się z miejsca. Rozmnażają się, wysyłając ludzi, by kolonizowali nowe ziemie. One same po prostu leżą nieruchomo. Są żywe, ale w taki sam sposób, w jaki żywa jest meduza. Albo stosunkowo inteligentna jarzyna. W końcu nazywamy Ankh-Morpork Wielkim Wahooni.

A tam, gdzie żyją wielkie i powolne istoty, pojawiają się małe i szybkie istoty, które je pożerają.

Windle Poons poczuł, jak odpalają komórki w mózgu. Powstały nowe skojarzenia. Myśli popłynęły nowymi torami. Czy za życia kiedykolwiek naprawdę myślał? Poważnie w to wątpił. Był tylko masą złożonych reakcji, powiązanych z zakończeniami nerwowymi, gdzie wszystko - od leniwego rozmyślenia o następnym posiłku do przypadkowych, rozpraszających wspomnień - przeszkadzało mu w prawdziwym myśleniu.

Coś takiego na pewno dojrzewałoby w mieście, gdzie jest ciepło i bezpiecznie. A potem wyrwałoby się na zewnątrz, poza miasto, żeby zbudować... coś innego, nie prawdziwe miasto, ale fałszywe... coś, co przyciągnie ludzi, pozwoli wyssać życie gospodarza.

Słowo, którego szukaliśmy, to "drapieźnik".

Dziekan przyjrzał się z niedowierzaniem swojej lasce. Potrząsnął nią i wycelował znowu. Tym razem odgłos należałoby zapisać jako "pfwut". Spojrzał w górę. Wysoka fala wózków, sięgająca wysokością dachów, miała właśnie się nad nim załamać.

- Ożeż... - powiedział i osłonił rękami głowę.

Ktoś z tyłu chwycił go za szatę i odciągnął. Wózki runęły.

- Chodźmy - powiedział Ridcully. - jeśli pobiegniemy, utrzymamy się przed nimi.

- Nie mam magii! Nie mam magii! - jęczał dziekan.

- I nie będziesz pan miał jeszcze paru rzeczy, jeśli się nie pospieszymy - ostrzegł nadrektor.

Próbując trzymać się razem i co chwila zderzając się ze sobą, magowie biegli truchtem przed rojem wózków. Całe rzeki drucianych koszy wypływały z miasta i pędziły przez pola.

- Wiecie, co mi to przypomina? - zapytał Ridcully, kiedy przedzierali się między nimi.

- Cóż takiego? - wymruczał pierwszy prymus.

- Tarło łososi.

- Co?

- Nie w Ankh, ma się rozumieć. Nie wierzę, żeby łoś mógł popłynąć w górę rzeki...

- Chyba że na piechotę - zgodził się pierwszy prymus.

- ...ale widywałem je w górskich rzekach. Płynęły gęsto - mówił Ridcully. - Walczyły, żeby przedostać się na czoło. Cała rzeka zmieniała się w srebrzystą masę.

- Świetnie. Ale po co one to robią?

- No... Ma to jakiś związek z rozmnażaniem.

- Obrzydliwość - uznał pierwszy prymus. -1 pomyśleć, że musimy pić tę wodę.

- Panowie, jesteśmy na otwartej przestrzeni. Tutaj zajdzie- ., myje z flanki - rzekł Ridcully. - Skierujemy się w jakieś puste L miejsce...

- Raczej nie - zauważył wykładowca run współczesnych. Ze wszystkich stron zbliżała się zgrzytająca, walcząca, sunąca niepowstrzymanie ściana wózków.

- Idą po nas! Idą po nas! - zapłakał kwestor. Dziekan wyrwał mu laskę.

- Zaraz! To moje!

Dzekan odepchnął go i odstrzelił kółka najbliższemu wózkowi.

- To moja laska!

Magowie ustawili się plecami do siebie; znaleźli się w malejącym pustym kręgu otoczonym metalem.

- Nie pasują do tego miasta - uznał wykładowca run współczesnych.

- Wiem, o co panu chodzi - zgodził się Ridcully. - Są... obcy.

- Pewnie nikt dzisiaj nie ma przy sobie zaklęcia lewitacji? - zapytał pierwszy prymus.

Dzekan wymierzył i roztopił kolejny koszyk.

- Pamiętaj, że używasz mojej laski.

- Zamknij się, kwestorze - przerwał nadrektor. - A pan, dziekanie, niczego nie osiągnie, likwidując je pojedynczo. Gotowi, chłopcy? Musimy im zadać możliwie największe straty. Pamiętajcie: długie, niemierzone

serie... Wózki były coraz bliżej.

AU. AU.

Panna Flitworth szła niepewnie przez mokrą, grzechoczącą ciemność. Grad chrząścił pod stopami. Kanonada gromów wstrząsała niebem.

- Kłują, prawda? - powiedziała.

MAJĄ ECHO.

Bill Brama schwytał niesiony wiatrem snopek i ułożył go z innymi. Panna Flitworth przebiegła obok, zgięta wół pod ciężarem kukurydzy[16]. Oboje pracowali bez chwili odpoczynku, biegając tam i z powrotem po polu i zbierając plon, zanim zdążą go zniszczyć grad i wichry.

Błyskawica przecięła niebo. To nie była zwyczajna burza. To była wojna.

- Za chwilę lunie deszcz! - panna Flitworth przekrzykiwała hałas. - Nigdy nie zdążymy do stodoły! Biegnij i przynieś jakąś derkę albo co! Na dzisiaj to wystarczy!

Bill Brama skinął głową i pobiegł przez młazszczącą ciemność w kierunku farm. Błyskawice tak często uderzały w okolice, że samo powietrze skwierczało, a nad żywopłotem jaśniała aureola.

I był tam Śmierć.

Bill Brama zobaczył go przed sobą: pochylony szkielet, gotowy do skoku; szata trzepotała i szumiała na wietrze.

Jakby niewidzialna ręka ścisnęła Billa; popychała go do ucieczki, a jednocześnie trzymała w miejscu. Sięgnęła do jego umysłu i tam unieruchomiła, zmroziła każdą myśl z wyjątkiem słabego wewnętrznego głosu, który powiedział:

A WIĘC TO JEST GROZA.

Potem Śmierć zniknął, gdy przygasła jasność błyskawicy, i pojawił się znowu, gdy kolejny elektryczny łuk trafił w pagórek.

Cichy wewnętrzny głos dodał: ALE DLACZEGO SIĘ NIE RUSZA?

Bill Brama odważył się posunąć odrobinę bliżej. Przygarbiony potwór nie zareagował.

Wtedy Bill zrozumiał, że to coś za żywopłotem jest okrytym szatą zestawem żeber, kości udowych i kręgów, jeśli spojrzeć z pewnego punktu widzenia, ale jeśli ten punkt nieco przesunąć, staje się układem ramion zbierających i dźwigni posuwisto-zwrotnych, okrytych plandeką, którą wiatr zerwał z jednej strony.

Przed Billem stał Kombinator Żniwny.

Bill Brama uśmiechnął się przerażająco. W jego duszy wezbrały niebillobramowe myśli. Ruszył naprzód.

Mur wózków otoczył magów.

Ostatni rozbłysk laski wypalił otwór, natychmiast zasłonięty kolejnymi wózkami.

Ridcully spojrzał na kolegów. Poczerwienieli, szaty mieli po
rwane, a kilka nazbyt entuzjastycznych wystrzałów poprzypalało im
brody i podziurawiło kapelusze.

- Czy ktoś jeszcze ma ze sobą jakieś zaklęcie? - zapytał. Zastanowili się gorączkowo.

- Ja chyba pamiętam jedno - odezwał się kwestor.

- No to już, chłopie! W takiej chwili trzeba spróbować wszystkiego!

Kwestor wyciągnął rękę. Zamknął oczy. Wymruczał pod nosem kilka sylab.

Błysnęło oktarynowe światło i...

- Aha - rzekł nadrektor. -1 to już wszystko?

- Bukiet Niespodzianka Eringyasa - oznajmił kwestor. Oczy mu błyszczały. - Nie wiem czemu, ale zawsze jakoś mi to wychodziło. Chyba mam talent.

Ridcully przyjrzał się smętnie wielkiemu bukietowi kwiatów w rękę kwestora.

- Nie jest jednak, jeśli wolno zauważyć, szczególnie przydatne w takiej chwili - powiedział.

Kwestor zerknął na coraz bliższe wózki i jego uśmiech znikł.

- Chyba nie - przyznał.

- Ktoś jeszcze ma jakiś pomysł? Nikt nie odpowiedział.

- Ale róże ładne - pochwalił dziekan.

- **S**zybki jesteś - stwierdziła panna Flitworth, kiedy Bill Brama zjawiał się przy stosie snopków, ciągnąc za sobą plandekę.

OWSZEM, zgodził się ze spokojem.

Pomogła mu naciągnąć płachtę na stos i obciążyć kamieniami. Wiatr pochwycił materiał i próbował wyrwać go z rąk; równie dobrze mógłby próbować przewrócić górę.

Strumienie deszczu lunęły na pola pomiędzy strzępkami mgły lśniącej niebieską, elektryczną energią.

- Nie widziałam jeszcze takiej nocy-wyznała panna Flitworth. Znowu zahuczał grom. Fale ulewy przelewały się wokół horyzontu.

Nagle panna Flitworth chwyciła Billa za ramię.

- Czy to nie... ktoś na wzgórzu? - spytała. - Zdawało mi się, że zobaczyłam... jakąś postać.

NIE, TO TYLKO URZĄDZENIE MECHANICZNE. Znowu błysk.

- Na koniu? - zdziwiła się panna Flitworth.

Trzecia błyskawica rozjaśniła ciemność. Tym razem nie mogło być wątpliwości. Na szczycie najbliższego wzgórka stała konna postać. W kapturze. Trzymająca kosę tak dumnie, jakby to była lanca.

POZUJE. Bill Brama obejrzał się na pannę Flitworth.

POPISUJE SIĘ. JA NIGDY SIĘ TAK NIE ZACHOWYWAŁEM. PO CO W OGÓLE TO ROBIĆ? JAKI TO MA CEL?

Otworzył dłoń; pojawiła się złota klepsydra.

- Ile jeszcze masz czasu?

MOŻE GODZINĘ. MOŻE KILKA MINUT.

- Więc chodźmy!

Bill Brama nie ruszył się z miejsca. Patrzył na klepsydrę.

- Powiedziałaś: chodźmy!

TO NA NIC. NIE MIAŁEM RACJI, KIEDY MYŚLAŁEM, ŻE MOŻE SIĘ UDA. NIE UDA SIĘ. SĄ RZECZY, PRZED KTÓRYMI NIE MOŻNA UCIEC. NIE MOŻNA ŻYĆ WIECZNIE.

- Dlaczego nie?

Bill Brama zdziwił się wyraźnie.

JAK TO DLACZEGO?

- Dlaczego nie można żyć wiecznie?

NIE WIEM. MĄDROŚĆ KOSMOSU.

- A co ta mądrość kosmosu może o tym wiedzieć? No, idziesz czy nie?

Postać na wzgórzu nie poruszyła się nawet.

Deszcz zmienił pył w rzadkie błoto. Ślizgając się, zbiegli oboje w dół, przez podwórze i do domu.

POWINIENEM LEPIEJ SIĘ PRZYGOTOWAĆ. MIAŁEM PLANY...

- Ale były zbiory.

TAK

- Może jest jakiś sposób, zabarykadować drzwi albo co?

CZY PANI ROZUMIE, O CZYM PANI MÓWI?

- No to wymyśl coś! Czy nic nigdy nie zadziało przeciwko tobie?

NIE, odparł Bill Brama z lekkim odcieniem dumy.

Panna Flitworth wyjrzała na zewnątrz, a potem gwałtownie przywarła do ściany obok okna.

- Zniknął.

TO JESZCZE NIE JEST ON, stwierdził Bill Brama.

- To zniknęło. Teraz może być wszędzie.

MOŻE PRZEJŚĆ PRZEZ ŚCIANĘ.

Odskokczyła i spojrzała na niego gniewnie.

NO DOBRZE. PROSZĘ ZABRAĆ DZIECKO. MYŚLĘ, ŻE POWINNIŚMY STĄD ODEJŚĆ. Coś przyszło mu do głowy; wyraźnie poweselał. MAMY JESZCZE TROCHĘ CZASU. KTÓRA GODZINA?

- Nie wiem. Bez przerwy chodzisz po domu i zatrzymujesz zegary.

ALE JESZCZE NIE PÓŁNOC?

- Moim zdaniem najwyżej kwadrans po jedenastej.

MAMY ZATEM TRZY CĆWIERCI GODZINY.

- Skąd możesz wiedzieć?

ZE WZGLĘDU NA DRAMAT, PANNÓ FLITWORTH. TAKI ŚMIERĆ, KTÓRY POZUJE NA TLE NIEBA I POZWALA SIĘ OŚWIETLAĆ BŁYSKAWICY, tłumaczył z głęboką dezaprobatą Bill Brama, NIE PRZYBĘDZIE DWADZIEŚCIA PIĘĆ PO JEDENASTEJ, JEŻELI TYLKO MOŻE PRZYBYĆ O PÓŁNOCY.

Pobladła panna Flitworth kiwnęła głową i zniknęła na schodach. Po chwili wróciła, niosąc otuloną kocem Sal.

- Ciągle mocno śpi - powiedziała.

TO NIE JEST SEN.

Deszcz ustał, ale burza wciąż krążyła wśród wzgórz. Powietrze skwierczało i wydawało się duszne jak w piecu.

Bill Brama poprowadził pannę Flitworth obok kurnika, gdzie Cyryl i jego podstarzały harem kulili się w mroku; wszystkie ptaki usiłowały zająć te same kilka cali grzędzy.

Komin farmy otaczało bladozielone lśnienie.

- Nazywamy to ogniem matki Carey - oświadczyła panna Flitworth. -
To znak.

ZNAK CZEGO?

- Co? Nie mam pojęcia. Myślę, że po prostu znak. Typowa znakologia.
Dokąd idziemy?

DO WIOSKI.

- Żeby być bliżej kosy?

TAK

Na chwilę zniknął w stodole. Po chwili wyprowadził Pimpusia, osiodłanego już i w uprzęży. Wskoczył na siodło, pochylił się i wciągnął przed siebie pannę Flitworth wraz ze śpiącym dzieckiem.

JEŚLI SIĘ POMYLIŁEM, rzekł, TEN KOŃ ZABIERZE PANIĄ
WSZĘDZIE, DOKĄD PANI ZECHCE.

- Nigdzie nie chcę stąd jechać. Tylko do domu.

DOKĄDKOLWIEK

Na drodze Pimpus ruszył klusem. Wiatr zrywał z drzew liście, które przefrwały koło nich i krążyły nad gościńcem. Od czasu do czasu błyskawice z sykiem rozjaśniały niebo.

Panna Flitworth obejrzała się na wzgórze za farmą.

- Bill...

WIEM.

- ...to znowu tam jest.

WIEM.

- Dlaczego nas nie ściga?

JESTEŚMY BEZPIECZNI, DOPÓKI NIE PRZESYPİE SIĘ PIASEK.

- A kiedy się przesypie, ty umrzesz?

NIE. KIEDY PRZESYPİE SIĘ PIASEK, POWINIENEM UMRZEĆ. ZNAJDE SIĘ W PRZESTRZENI POMIĘDZY ŻYCIEM PRAWDZIWYM I POZAGROBOWYM.

- Bill, wydawało mi się, że to coś dosiada... Z początku myślałam, że to koń, tyle że bardzo wychudzony, ale...

TO SZKIELETOWY RUMAK. ROBI WRAŻENIE, ALE JEST MAŁO PRAKTYCZNY. MIAŁEM KIEDYŚ TAKIEGO. GŁOWA MU ODPADŁA.

- Nie warto chłostać zdechłego konia, co?

CHA, CHA. BARDZO ZABAWNE, PANNO FLITWORTH.

- Myślę, że powinienes już przestać zwracać się do mnie: panno Flitworth - uznała panna Flitworth.

RENATO?

Zdziwiła się.

- Skąd znasz moje imię? Aha. Na pewno widziałeś je wypisane, prawda?

WYRYTE.

- Na jednej z tych klepsydr?

TAK.

- Z tym piaskiem, który się przesypuje?

TAK

- Każdy ma taką?

TAK.

- Czyli musisz wiedzieć, jak długo...

TAK!

- To dziwne uczucie wiedzieć... to, co ty wiesz.

PROSZĘ NIE PYTAĆ.

- Ale to niesprawiedliwe. Gdyby ludzie wiedzieli, kiedy umrą, staraliby się żyć lepiej.

GDYBY LUDZIE WIEDZIELI, KIEDY UMRĄ,
PRAWDOPODOBNIEM WCALE BY NIE ŻYLI.

- To bardzo gnomiczne. Ale co ty możesz o tym wiedzieć, Billu Bramo?

WSZYSTKO.

Pimpuś wjechał na jedną z nędznych uliczek i dotarł do rynku. Nie było tu nikogo. W takich miastach jak Ankh-Morpork północ to zaledwie późny wieczór, ponieważ noc w ogóle nie istnieje - są tylko wieczory przechodzące w poranki. Ale tutaj ludzie regulowali swoje życie według takich zdarzeń jak zachody słońca i błędnie artykułowane pianie koguta. Północ oznaczała dokładnie to.

Chociaż burza wciąż krążyła ponad wzgórzami, na rynku panowała cisza. Tykanie zegara na wieży, za dnia niesłyszalne, teraz zdawało się odbijać echem od ścian domów.

Kiedy się zbliżali, coś zawarczało pośród kółek zębatych we wnętrzu. Minutowa wskazówka poruszyła się ze stukiem i zatrzymała na dziewiątce. Na tarczy otworzyły się drzwiczki i wybiegły dwie mechaniczne figurki, by z

pozornym wysiłkiem uderzyć w dzwonek.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Figurki ustawiły się jedna za drugą i wróciły do zegara.

- Są tu od czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Zrobił je prapradziadek Neda Simnela - wyjaśniła panna Flitworth. - Wiesz, zawsze się zastanawiałam, co one robią między jednym a drugim kurantem. Wierzyłam, że mają tam mały domek albo coś podobnego.

NIE PRZYPUSZCZAM. ONE SĄ TYLKO RZECZĄ. NIE ŻYJĄ.

- Hm... Ale są tutaj już ze sto lat. Może życie to coś, czego się nabywa?

TAK

Czekali w ciszy przerywanej tylko stukaniem wskazówki, która wspinała się coraz wyżej.

- Wiesz... Miło było mieć cię na farmie, Billu Bramo. Nie odpowiedział.

- I że mi pomogłeś w żniwach i w ogóle.

TO BYŁO... INTERESUJĄCE.

- Niesłusznie zrobiłam, że cię zatrzymywałam tylko z powodu zboża.

NIE. PLON JEST WAŻNY.

Bill otworzył dłoń. Pojawiła się złota klepsydra.

- Wciąż nie rozumiem, jak ty to robisz.

TO NIETRUDNE.

Szum piasku narastał, aż wypełnił przestrzeń rynku.

- Masz do powiedzenia jakieś ostatnie słowa?

TAK. NIE CHCĘ ODCHODZIĆ.

- Cóż... Przynajmniej zwieźle.

Bill Brama ze zdumieniem zauważył, że panna Flitworth usiłuje trzymać go za rękę.

Na wieży obie wskazówki spotkały się na północy. Zegar zawarczał, otworzyły się drzwiczki. Wyszły dwa automaty. Zatrzymały się po obu stronach godzinowego dzwonu, skłoniły się sobie nawzajem i uniosły młoteczki.

Bim!

Wtedy usłyszeli stuk końskich kopyt.

Panna Flitworth zauważyła, że na granicznej pola widzenia pojawiły się fioletowe i niebieskie plamy, jak błyski powidoków bez widoku, po którym by następowały.

Jeśli bardzo gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała kątem oka, mogła dostrzec unoszące się przy ścianach szaro odziane kształty.

Skarbowa, pomyślała. Przyszli się upewnić, że to nastąpi.

- Bill? - rzuciła.

Zamknął złotą klepsydrę w dłoni.

TERAZ SIĘ ZACZNIE.

Stuk kopyt zabrzmiał głośniejsze i odbił się echem od murów.

PAMIĘTAJ: TOBIE NIC NIE GROZI.

Bill Brama cofnął się w ciemność. I natychmiast wynurzył się z powrotem. PRAWDOPODOBNIEM, dodał i zniknął znowu. Panna Flitworth

usiadła na stopniach wieży zegara, układając sobie na kolanach śpiącą dziewczynkę.

- Bill? - spróbowała.

Na rynek wjechał koń z jeźdźcem.

Rzeczywiście, był to szkielet konia. Błękitne płomyki strzelały z kości, kiedy kłusował. Panna Flitworth zastanowiła się przez chwilę, czy to prawdziwy szkielet, w jakiś sposób ożywiony - coś, co kiedyś przebywało wewnątrz prawdziwego konia, czy raczej szkieletowa istota sama w sobie. Dość zabawne rozważania, musiała przyznać, ale lepsze niż myślenie o upiornej rzeczywistości, która zbliżała się szybko.

Czy trzeba go szorować, czy wystarczy porządnie przetrzeć szmatką?

Jeździec zeskoczył na ziemię. Był o wiele wyższy niż Bill Brama, a czerni szaty maskowała jego sylwetkę. Trzymał coś, co właściwie nie było kosą, ale miało kosę wśród przodków, w taki sam sposób, jak najbardziej chytrze ukształtowane narzędzie chirurgiczne ma wśród swych przodków zwykły patyk. Trzymane przez jeźdźcę narzędzie także bardzo się oddaliło od dowolnego sprzętu, który w ogóle dotykał trawy.

Postać zbliżyła się do panny Flitworth, niosąc niby-kosę na ramieniu. Stała.

Gdzie On jest?

- Nie wiem, o kim mówisz - odparła panna Flitworth. - Ale na twoim miejscu, młody człowieku, nakarmiłabym konia.

Postać zdawała się z pewnym trudem przetrawiać uzyskaną informację, ale wreszcie doszła chyba do jakiejś konkluzji. Zsunęła kosę z ramienia i spojrzała na dziecko.

Znajdę Go, powiedziała. Ale najpierw...

Zesztywniała.

Jakiś głos za nią powiedział:

RZUĆ KOŚĆ I ODWRÓĆ SIĘ POWOLI.

Coś wewnątrz miasta, myślał Windle. Miasta są pełne ludzi, ale też pełne handlu, sklepów, religii i... To bez sensu, przekonywał sam siebie. To tylko rzeczy. Nie są żywe.

Może życie to coś, czego się nabywa.

Pasożyty i drapieżniki, ale nie takie, jakie prześladują zwierzęta i jarzyny. To raczej jakaś większa, powolna, metaforyczna forma życia, która żywi się miastami. Ale rozwija się w miastach, jak te... jak im było? Te dziwaczne, paskudne osy. Pamiętał - ponieważ teraz pamiętał wszystko - że jako student czytał o stworzeniach, które składają jajka w ciałach innych stworzeń. Przez długie miesiące odmawiał potem jedzenia omletów i kawioru - na wszelki wypadek.

A jaja powinny wyglądać... wyglądać jak samo miasto, w pewnym sensie, żeby mieszkańcy zabierali je do domów. Jak kukułcze jaja.

Ciekawe, ile miast zginęło w przeszłości. Okrążonych pasożytami jak rafy koralowe otoczone przez rozgwiazdy. Stają się puste, tracą duszę.

Wstał.

- Gdzie są wszyscy, bibliotekarzu?

- Uuk, uuk.

- To do nich podobne. Sam bym tak postąpił: pognał bez namysłu. Niech bogowie im sprzyjają, jeśli tylko znajdą chwilę wolną od swych wiecznych rodzinnych kłótni.

Potem pomyślał: I co teraz? Wymyśliłem już wszystko, ale jak powinienem działać?

Pognać tam, oczywiście. Ale pomału.

Środek stosu wózków był niewidoczny. Coś się tam działo: bladobłękitne światło jaśniało ponad wielką piramidą poskręcane go metalu, a gdzieś w głębi rozpalały się czasem błyskawice. Wózki wjeżdżały w nią niby asteroidy opadające na jądro młodej planety. Jednak nieliczne zachowywały się inaczej: kierowały się do tuneli, jakie powstały wewnątrz struktury, i znikwały w migotliwym wnętrzu.

Coś poruszyło się na szczycie piramidy, coś przebiło się przez pogieęte kosze. Był to lśniący maszt podtrzymujący kulę średnicy około sążnia. Kula przez długą chwilę nie robiła nic, a potem, gdy wiatr ją osuszył, pękła.

Wysypał się z niej rój białych obiektów. Wiatr pochwycił je, poniósł nad Ankh-Morpork i rozrzucił nad tłumem gapiów.

Jeden z tych obiektów spłynął łagodnie nad dachami i wylądował u stóp Windle'a Poonsa, który wyszedł właśnie z Biblioteki. Obiekt wciąż był trochę wilgotny i zapisany. A przynajmniej pokryty nieudaną próbą pisma. Przypominało te dziwne organiczne inskrypcje na kulach ze śniegiem - słowa stworzone przez coś, co zupełnie sobie nie radziło ze słowami.

Wyprzedaż! Okazja!! Przecena!!! Już jutro!!!

Windle dotarł do uniwersyteckiej bramy. Mijała go rzeka ludzi.

Znal swych współobywateli. Pójdą obejrzeć cokolwiek. Byli łakomi na wszystko, co zapisano z więcej niż jednym wykrzyknikiem na końcu.

Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Obejrzał się.

Wózek przyglądał mu się z zaułka. Zaraz jednak wycofał się szybko i

odjechał.

- Co się dzieje, panie Poons? - zapytała Ludmiła.

Było coś nierzeczywistego w twarzach przechodniów. Wszystkie miały wyraz niewzruszonej niecierpliwości.

Nie trzeba być magiem, żeby wiedzieć, że dzieje się coś niedobrego. A zmysły Windle'a jęczały jak dynamo.

Lupine skoczył za dryfującą w powietrzu kartką i przyniósł ją w pysku.

Gigantyczne obnizki!!!!

Windle pokręcił głową. Pięć wykrzykników - pewna oznaka obłąkanego umysłu.

I wtedy usłyszał muzykę.

Lupine przysiadł na tylnych łapach i zawył.

W piwnicy pod domem pani Cake strach Schleppel znieruchomiał nad niedojedzonym trzecim szczurem. Zaczął nasłuchiwać. Potem dokończył posiłek i sięgnął po swoje drzwi.

Hrabia Arthur Winkings Nosfrontatu pracował przy krypcie. Osobiście mógłby żyć, ponownie żyć albo i nie żyć, cokolwiek właściwie powinien teraz robić, bez żadnej krypty. Ale krypta jest niezbędna. Doreen była bardzo stanowcza w tej kwestii.

Nadaje domowi styl, wyjaśniła. Koniecznie trzeba mieć kryptę i loch, inaczej reszta wampirzego towarzystwa będzie zadzierać zęby.

Kiedy człowiek zaczyna wampirzyć, nigdy go o tym nie uprzedzają. Nie mówią, że będzie musiał zbudować własną kryptę z tanich desek, kupionych w hurtowni materiałów budowlanych trolla Kreduły. Takie rzeczy zwykle się wampirom nie zdarzają, myślał Arthur. Nie prawdziwym wampirom, w każdym razie. Weź takiego hrabiego Jugulara, dla przykładu. Nie, taki typ jak on ma kogoś, kto to robi za niego. Kiedy wieśniacy przychodzą go spalić, nikt nie zobaczy, jak pan hrabia zbiega do bramy, żeby podnieść zwodzony most. O nie... On tylko mówi: Jgorze..." czy jak mu tam, Jgorze, idź załatw tę sphawę, już, już, już".

Ha. Oni też wywiesili ogłoszenie w biurze pośrednictwa pracy pana Keeble - już parę miesięcy temu. Nocleg, trzy posiłki dziennie, garb gwarantowany w miarę potrzeby. Nikt nawet nie zapytał. A ludzie stale powtarzają, że nie ma pracy. Szalu można dostać.

Sięgnął po kolejną deskę i krzywiąc się, rozłożył miarkę.

Grzbiet go bolał po kopaniu fosy. To kolejna sprawa, o którą wampir z towarzystwa nie musi się martwić. Fosa należy do zawodu czy coś w tym rodzaju. I biegnie dookoła, bo inne wampiry nie mają przed domem ulicy, nie mają wciąż narzekającej pani Pivey, z jednej strony, i rodziny trolli, z którymi Doreen nie rozmawia, z drugiej. I w rezultacie inne wampiry nie kończą z fosą, która zwyczajnie przecina podwórze.

Arthur bez przerwy do niej wpadał.

No i jest jeszcze to gryzienie szyj młodych kobiet. A raczej go nie ma. Arthur zawsze był skłonny uznać cudzy punkt widzenia, ale nie miał żadnych wątpliwości, że młode kobiety wiążą się jakoś z wampirzeniem, cokolwiek mówiła na ten temat Doreen. Młode kobiety w powiewanych pinioarach. Arthur nie był całkiem pewien, co to są powiewane pinioary, ale czytał o nich i wiedział, że chciałby je zobaczyć, zanim umrze... czy cokolwiek się stanie.

Inne wampiry nie odkrywały nagle, że ich żony mówią przez V zamiast W i dodają H w każdym możliwym miejscu. Bo naturalne wampiry mówiły

tak przez cały czas.

Arthur westchnął.

Co to za życie czy półżycie, czy nieżycie albo jak je tam nazwać: być hurtownikiem z branży owocowo-warzywnej, przedstawicielem dolnej warstwy klasy średniej, 2 chorobą klas wyższych...

Wtedy właśnie muzyka przesączała się przez dziurę w ścianie, wybitą w celu wstawienia zakratowanego okienka.

Reg Shoe uderzył pięścią o swój przenośny pulpit. - ...pozwólcie, że powiem coś jeszcze: nie będziemy beczynn timer leżeć brzuchami do góry i czekać, aż trawa porośnie nam głowy! - krzyczał. - Więc jaki jest nasz siedmiopunktowy plan Równych Możliwości z Żywymi? Chcę was usłyszeć!

Wiatr szumiał w wyschniętej trawie cmentarza. Jediną istotą, poświęcającą Regowi nieco uwagi, był samotny kruk. Reg Shoe wzruszył ramionami.

- Moglibyście przynajmniej spróbować - podjął już ciszej, zwracając się ogólnie do świata. - Pracuję dla was, zdzieram sobie palce aż do kości... - podniósł dłoń, by zademonstrować ten fakt - ...i czy słyszę choć jedno słowo podziękowania?

Przerwał na wszelki wypadek.

Kruk, należący do osobników dużych i tłustych, od jakich roily się dachy Niewidocznego Uniwersytetu, pochylił głowę na bok i rzucił Regowi Shoe pełne zadumy spojrzenie.

- Wiecie - powiedział Reg - czasami mam ochotę zrezygnować.

Kruk odchrząknął.

Reg Shoe odwrócił się błyskawicznie.

- Powiedz jedno słowo - rzucił groźnie. - Tylko jedno słowo, a... I wtedy usłyszał muzykę.

Ludmiła zaryzykowała i odsunęła dłonie od uszu. - jest okropna! Co to takiego, panie Poons? Windle spróbował naciągnąć na uszy resztki kapelusza. - Nie wiem - odpowiedział. - To może być muzyka. Jeśli ktoś nigdy przedtem nie słyszał muzyki.

To nie były nuty. To były połączone dźwięki, które miały może uchodzić za nuty, zestawione razem tak, jak rysuje się mapę kraju, którego nigdy się nie widziało.

Hnyip. Ynyip. Hwyomp.

- Dochodzi zza murów - zauważyła Ludmiła. - Gdzie ci ludzie... idą? Przecież nie może im się podobać!

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogła - zgodził się Windle.

- Ale wie pan... Pamięta pan te kłopoty ze szczurami w zeszłym roku? I tego człowieka, co mówił, że ma flet, który gra muzykę słyszalną tylko dla szczurów?

- Tak, ale to przecież nie była prawda, tylko zwykłe oszustwo, Zdziwiający Maurice i jego Edukowane Gryzonie...

- Ale przypuśćmy, że to może być prawda. Windle potrząsnął głową.

- Muzyka przyciągająca ludzi? O to ci chodzi? Przecież to niemożliwe. Zresztą przecież nas nie przyciąga. Mogę cię nawet zapewnić, że wręcz przeciwnie.

- Tak, ale pan nie jest człowiekiem... dokładnie - przypomniała Ludmiła. - A ja...

Urwała i zaczerwieniła się. Windle poklepał ją po ramieniu.

- Słuszna uwaga. Słuszna uwaga. Tyle tylko zdołał wymyślić.
- Pan wie, prawda? - spytała Ludmiła, nie podnosząc głowy.
- Tak. I nie uważam, żebyś miała się czego wstydzić, jeśli o to ci chodzi.
- Mama twierdzi, że byłoby straszne, gdyby ktoś to odkrył.
- To pewnie zależy, kto by to był. - Windle zerknął na Lupine'a.
- Dlaczego pański pies tak mi się przygląda? - zainteresowała się dziewczyna.
- Jest bardzo inteligentny.

Windle sięgnął do kieszeni, wysypał parę garści ziemi i wygrzebał swój dziennik. Jeszcze dwadzieścia dni do pełni... No cóż, warto będzie poczekać.

Stos metalowych odłamków zaczął się zapadać. Wózki . jeździły dookoła, a tłum obywateli Ankh-Morpork stał w wielkim kręgu i usiłował zajrzeć do środka. Niemuzyczna muzyka unosiła się w powietrzu.

- Jest pan Dibbler - zauważyła Ludmiła, kiedy przecisnęli się przez niestawiających oporu ludzi.
- A co tym razem sprzedaje?
- Chyba niczego nie próbuje sprzedawać, panie Poons.
- Jest aż tak źle? W takim razie mamy bardzo poważne kłopoty.

Niebieskie światło wylewało się z otworów w stosie. Kawałki połamanej wózki brzęknęły o ziemię niby metalowe liście.

Windle schylił się sztywno i podniósł kapelusz, spiczasty kapelusz. Był

pognieciony i przejechało po nim wiele kółek, ale wciąż dało się w nim rozpoznać coś, co zgodnie z naturą rzeczy powinno tkwić na czyjejś głowie.

- Tam są magowie - stwierdził Windle.

Metal połyskiwał srebrzyście. Płynął jak olej. Windle wyciągnął rękę i jasna iskra przeskoczyła nagle mu do palców.

- Hmm - mruknął. - Spory potencjał... Wtedy usłyszał krzyk wampirów.

- Hej, panie Poons!

- Przydalibyśmy wcześniej... to znaczy wcześniej, ale...

- ...nie mogłem znaleźć tej przeklętej spinki do kołnierzyka -mruknął Arthur. Był zgrzany i poirytowany. Miał na głowie składany cylinder, który wyglądał świetnie, jeśli chodzi o składalność, choć niestety zdradzał pewne braki w dziedzinie cylindrowatości, przez co Arthur sprawiał wrażenie, jakby spoglądał na świat spod harmonii.

- Witajcie - odpowiedział Windle.

Było coś straszliwie fascynującego w poświęceniu Winkingsów dla sprawy wampirycznej poprawności.

- A kimsze jest ta młota tama? - Doreen uśmiechnęła się promiennie do Ludmiły.

- Słucham?

- Phoszhe?

- Doreen... to znaczy hrabina... pytała, kto to jest - odpowiedział ze znużeniem Arthur.

- Rozumiem przecież, co powiedziałam - warknęła Doreen normalnym głosem kogoś, kto urodził się i wychował w Ankh-Morpork, a nie w jakiejś transylfańskiej twierdzy. - Słowo daję, gdybym polegała na tobie, nie

przestrzegalibyśmy żadnych norm...

- Mam na imię Ludmiła - przedstawiła się Ludmiła.

- Oczahovana - odparła z godnością hrabina Nosfrontatu, wyciągając dłoń, która byłaby wąska i blada, gdyby nie była różowa i krótka. - Zawsze miło spotkać świeżą khev. Gdybys kiedys miała ochotę na psie chhupki, kochanie, i akhuhat przechodziła v poblizu, nasze drzwi są zawsze otwarte.

Ludmiła spojrzała na Windle'a Poonsa.

- Czy mam to wypisane na czole? - spytała.

- To nie są zwykli ludzie - odparł łagodnie Windle.

- Też tak uważam - stwierdziła chłodno. - Nie znam nikogo, kto by przez cały czas chodził w teatralnej pelerynie.

- Muszę nosić pelerynę - wyjaśnił Arthur. - jest mi potrzebna do skrzydeł, rozumiesz. O tak...

Dramatycznym gestem rozłożył pelerynę. Rozległ się głuchy huk implozji i w powietrzu zawisł nieduży, tłusty nietoperz. Spojrzał w dół, pisnął gniewnie i zanurkował, uderzając nosem o ziemię. Doreen podniosła go za nogi.

- Mnie osobiście najbardziej przeszkadza, że muszę spać przy otwartym oknie - oświadczyła niezbyt zrozumiale. - Mogliby przerwać tę muzykę! Głowa już mnie boli!

Zabrzmiało kolejne "uumpf" i Arthur pojawił się znowu, nogami do góry. Wylądował na głowie.

- Chodzi o spadek - wyjaśniła Doreen. - Musi się trochę rozpędzić. Jeśli nie ma przynajmniej jednego piętra na start, nie osiąga odpowiedniej szybkości.

- Nie osiągam odpowiedniej szybkości - powiedział Arthur, wstając.

- Przepraszam - przerwał mu Windle. - Ta muzyka na was nie działa?

- Aż zęby mnie od niej mrowią, ot co - przyznał Arthur. - A nie muszę chyba tłumaczyć, że to dla wampira nic dobrego.

- Pan Poons uważa, że ona robi coś z ludźmi - wtrąciła Ludmiła.

- Wszystkich mrowią zęby? - domyślił się Arthur. Windle spojrzał na tłum. Nikt nie zwracał uwagi na członków klubu Od Nowa.

- Wyglądają, jakby na coś czekali - stwierdziła Doreen. - Znaczący, wyglądają.

- Straszne - uznała Ludmiła.

- To przecież nic złego. My też jesteśmy straszni.

- Pan Poons chce wejść do wnętrza tego stosu.

- Dobry pomysł - ucieszył się Arthur. - Każe im uciszyć muzykę.

- Ale może pan zginać! - zawołała dziewczyna. Windle znacząco zatarł ręce.

- Aha - rzekł. -1 tu właśnie mamy przewagę.

Po czym wszedł w blask.

Nigdy jeszcze nie widział tak jaskrawego światła. Zdawało się promieniować ze wszystkiego, ścigać każdy cień i usuwać go bezlitośnie. Było o wiele jaśniejsze niż światło dnia, a jednak wcale go nie przypominało - miało niebieski poblask, który rozcinał widzenie jak błysk noża.

- W porządku, hrabio? - rzucił przez ramię.

- Świetnie, świetnie - wymruczał Arthur.

Łupinę zawarczał.

Ludmiła szarpnęła płataninę drutów.

- Tam coś jest pod spodem. Wygląda jak... marmur. Pomarańczowy marmur. - Poglądziła dłonią powierzchnię. - Ale ciepły. Marmur nie powinien chyba być ciepły.

- To nie może być marmur. Na całym świecie nie ma tyle marmuru... świecie - oświadczyła Doreen. - Phóbowaliśmy khupić mah-muh do naszej khypty... - Wsluchiwała się w brzmienie tego słowa i zadowolona skinęła głową. - Tak, do khypty. Te khasnoludy повинno się phovystrzelać, takich żądhają cen. To skhandal!

- Nie wydaje mi się, żeby krasnoludy to zbudowały - uznał Windle. Uklęknął niezgrabnie, żeby obejrzeć podłogę.

- Też nie sędzę. Lenive, chcive łobhuzy. Za naszą khyptę żądhali phawie siedemdziesięciu dolahów. Phavda, Arthurze?

- Prawie siedemdziesięciu dolarów - potwierdził Arthur.

- Myślę, że nikt tego nie zbudował - mówił dalej Windle.

Szczeliny. Powinny tu być szczeliny. I krawędzie w miejscach, gdzie jedna płyta styka się z drugą. To nie powinna być jedna wielka płyta. W dodatku trochę lepka.

- Więc Arthur sam ją zbudował.

- Sam ją zbudowałem.

Aha... Tu była jakaś krawędź. No, może nie całkiem krawędź. Marmur robił się przezroczysty jak okno prowadzące do innej, jasno oświetlonej przestrzeni. Stały tam jakieś przedmioty, niewyraźne i jakby nadtopione. Ale nie było do nich przejścia.

Paplanina Winkingsów płynęła mu nad głową, gdy zagłębiał się dalej.

- ...właściwie to raczej krypteczkę. Ale wykopał też loch, chociaż trzeba wyjść na korytarz, żeby porządnie zamknąć drzwi...

Należenie do towarzystwa może oznaczać wiele rzeczy, myślał Windle. Dla niektórych oznacza, że się nie jest wampirem. Dla innych to kolekcja gipsowych nietoperzy na ścianie.

Przesunął palcami po przezroczystej substancji. Świat tutaj składał się z samych prostokątów. Były ostre rogi, a po obu stronach korytarza wyrastały przezroczyste panele. Niemuzyka grała przez cały czas.

To nie może być żywe, prawda? Życie jest... bardziej zaokrąglone.

- Co o tym myślisz, Łupinę? - zapytał. Łupinę szczerknął.

- Hm. Niewiele mi pomogłeś.

Ludmiła przyklękła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że nikt tego nie zbudował? - spytała.

Windle poskrobał się po głowie.

- Nie jestem pewien. Ale wydaje mi się, że to jakaś... wydzielina.

- Wydzielina? Jaka? Czyja?

Podnieśli głowy. Wózek wyjechał z bocznego przejścia i przemknął do drugiego, po przeciwnej stronie korytarza.

- Ich? - zapytała Ludmiła.

- Raczej nie. Myślę, że to słudzy. Jak mrówki. Albo pszczoły w ulu.

- A co jest miodem?

- Nie jestem pewien. Ale to wszystko jeszcze nie dojrzało. Nie jest jeszcze dokończone. Niech nikt niczego nie dotyka.

Poszli dalej, Korytarz doprowadził ich do szerokiej, jasnej przestrzeni osłoniętej od góry kopułą. Schody wiodły w górę i w dół na inne poziomy, a pośrodku stała fontanna i zagajnik doniczkowych roślin, które wyglądały

zbyt zdrowo, by były prawdziwe.

- Ładne, prawda? - ucieszyła się Doreen.

- Stale mi się wydaje, że powinni tu być ludzie - oświadczyła Ludmiła.
- Mnóstwo ludzi.

- Powinni przynajmniej być magowie - mruknął Windle Poons. - Pół tuzina magów nie może po prostu zniknąć.

Cała piątka zbiła się ciasno. Korytarze rozmiarów tego, którym właśnie przeszli, mogłyby zmieścić parę słoni idących obok siebie.

- Nie sądzicie, że powinniśmy wrócić na zewnątrz? - zaproponowała Doreen.

- A co nam to da? - spytał Windle.

- To, że stąd wyjdziemy.

Windle obrócił się dookoła, licząc pod nosem. Z sali pod kopułą wybiegało w równych odstępach pięć korytarzy.

- Zapewne tak samo wygląda to wyżej i na dole - stwierdził głośno.

- Bardzo tu czysto - zauważyła nerwowo Doreen. - Czysto, prawda, Arthurze?

- Bardzo czysto.

- Co to za odgłos? - zdziwiła się Ludmiła.

- Jaki odgłos?

- Ten odgłos. Jakby ktoś coś ssał.

Arthur rozejrzał się z nagłym zaciekawieniem.

- To nie ja.

- To schody - stwierdził Windle.
- Bez żartów. Schody nie ssą. Windle spojrzał w dół.
- Te owszem.

Były czarne jak wzburzona rzeka. Ciemna substancja wypływała spod podłogi i wybrzuszała się w coś podobnego do stopni, które sunęły rampą i gdzieś wyżej znowu znikwały w podłodze. Kiedy się wynurzały, wydawały powolny, chlupiący dźwięk, jak ktoś, kto bada językiem szczególnie irytującą dziurę w zębie.

- Wie pan - odezwała się Ludmiła - to najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

- Widywałem gorsze - odparł Windle. - Ale to jest rzeczywiście paskudne. Pojedziemy do góry czy na dół?

- Chce pan na nich stanąć?

- Nie. Ale magów nie ma na tym poziomie, więc mamy do wyboru albo schody, albo zjazd po poręczy. Obejrzelście sobie poręcz?

Obejrzeli poręcz.

- Myślę - oświadczyła nerwowo Doreen - że bardziej nam pasuje na dół.

Zjechali w milczeniu. Arthur przewrócił się w miejscu, gdzie jadące stopnie były na powrót wsysane przez podłogę.

- Miałem takie przerażające uczucie, że chcę mnie tam wciągnąć - powiedział przepraszającym tonem i rozejrzał się. - Dużo miejsca - zauważył.
- Przestronnie. Mógłbym dokonać cudów z tapetą w kamienny wzorek.

Ludmiła podeszła do najbliższej ściany.

- Wiecie - powiedziała - tu jest więcej szkła niż kiedykolwiek widziałam, a te przejrzyste kawałki wyglądają trochę jak sklepy. Czy to

rozsądne? Wielki, ogromny sklep pełen sklepów?

- I jeszcze niedojrzałych - dodał Windle.

- Słucham?

- Nic, głośno myślę. Widzisz, jaki tam mają towar? Ludmiła osłoniła oczy.

- Nie, tylko mnóstwo kolorów i błysków.

- Daj znać, jeśli zobaczysz maga. Ktoś krzyknął.

- Albo usłyszysz, na przykład - dodał Windle.

Łupinę odbiegł w głąb korytarza, a Windle podążył za nim, szybko powłócząc nogami.

Ktoś leżał na plecach i rozpaczliwie walczył z parą wózków. Były większe od tych, które widzieli poprzednio, i połyskiwały złociście.

- Hej! - krzyknął Windle.

Przystały atakować leżącą postać, wykonały eleganckie zwroty na trzy i ruszyły ku niemu.

- Oj - powiedział, widząc, jak nabierają rozpędu.

Pierwszy wózek ominął paszczę Lupine'a, z pełną prędkością uderzył Windle'a w kolana i przewrócił go na podłogę. Kiedy przejeżdżał po nim drugi, Windle machnął ręką, złapał jakiś kawałek metalu i szarpnął mocno. Oderwało się kółko, a wózek skręcił i uderzył w ścianę.

Windle podniósł się i rozejrzał. Arthur rozpaczliwie ścisnął uchwyt drugiego wózka i obaj wirowali w kółko w szaleńczym odśrodkowym walcu.

- Puść go! Puść! - wrzeszczała Doreen.

- Nie mogę! Nie mogę!

- No to zrób coś!

Nastąpił cichy wybuch i nagle wózek nie walczył już z przedsiębiorcy branży owocowo-warzywnej w średnim wieku, ale z małym i wystraszoną nietoperzem. W rezultacie wjechał w marmurowy filar, odbił się i przewrócił na grzbiet, wściekle kręcąc kółkami.

- Kółka! - zawołała Ludmiła. - Oderwijcie mu kółka!

- Ja się tym zajmę - oznajmił Windle. - Wy pomóżcie Regowi.

- Jest tutaj Reg? — zdziwiła się Doreen.

Windle machnął ręką, wskazując kciukiem daleką ścianę. Słowa "Lepiej późno niż wcale" kończyły się rozpaczliwym maźnięciem farby.

- Wystarczy pokazać mu ścianę i wiadro farby, a zapomina, na jakim świecie żyje.

- Ma tylko dwa do wyboru. - Windle odrzucił na bok kółka wózka. - Łupinę, przypilnuj, czy nie pojawią się następne.

Kółka były ostre jak łyżwy. Windle czuł się postrzępiony w okolicach nóg. Ciekawe, jak pójdzie leczenie.

Pomogli Regowi usiąść.

- Co się dzieje? - zapytał. - Nikt więcej nie wchodził, więc zszedłem tutaj sprawdzić, skąd się bierze muzyka, a potem nagle te kółka...

Hrabia Arthur powrócił do mniej więcej ludzkiej postaci i rozejrzał się z dumą. Odkrył, że nikt nie zwraca uwagi i przygarbił się zawiedzony.

- Wyglądały o wiele groźniej niż tamte - zauważyła Ludmiła. - Większe, agresywne i całe w ostrych krawędziach.

- Żołnierze - stwierdził krótko Windle. - Dotąd spotykaliśmy robotników. A teraz żołnierzy. Jak u mrówek.

- Jak byłem mały, miałem farmę mrówek - oznajmił Arthur, który dość mocno uderzył o podłogę i miał chwilowe problemy z oceną rzeczywistości.

- Chwileczkę - wtrąciła Ludmiła. - Widziałam mrówki. Mamy mrówki na podwórku. Jeśli są żołnierze i robotnicy, to musi też być...

- Wiem, wiem - mruknął Windle.

- Ciekawe, mówili na to "farma", ale ani razu nie widziałem, żeby cokolwiek uprawiały.

Ludmiła oparła się o ścianę.

- Na pewno jest gdzieś blisko.

- Też tak sądzę.

- Jak pan sądzi, jak może wyglądać?

- To jest tak, że bierze się dwa kawałki szkła i parę mrówek...

- Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć? Ale magowie będą i gdzieś w pobliżu niej.

- Nie hozhumiem, dhlaczego phan się nimi przejmhuje - zdzi- l wiła się Doreen. - Zakhopali phana żyvcem thylko dhlatego, że bhył phan mahrwy.

Windle usłyszał turkot kółek i obejrzał się szybko. Kilkanaście wózków-żołnierzy wyjechało zza zakrętu i ustawiło się w szyku.

- Myśleli, że tak będzie najlepiej - wyjaśnił. - Ludziom często się to zdarza. Zdziwiająco, co w danej chwili potrafią uznać za znakomity pomysł.

Nowy Śmierć wyprostował się.

Bo?

AHA.

EHEM.

Bili Brama cofnął się, odwrócił i rzucił do ucieczki.

Było to - jak chyba najlepiej ze wszystkich zdawał sobie sprawę - tylko odsuwanie nieuniknionego. Ale czy nie na tym właśnie polega życie?

Nikt jeszcze nigdy przed nim nie uciekał, kiedy już umarł. Wielu próbowało, zanim umarło, często stosując przy tym bardzo pomysłowe sposoby. Ale zwykłą reakcją ducha, przeniesionego nagle z jednego świata do drugiego, było pełne nadziei oczekiwanie. W końcu po co uciekać? I tak się nie wiedziało dokąd.

Duch Billa Bramy doskonale wiedział, dokąd ucieka.

Kuźnia Neda Simnela była zamknięta na noc, ale to mu nie przeszkodziło. Ani żywy, ani martwy duch Billa Bramy przebiegł przez ścianę.

Ogień stał się tylko ledwie widocznym lśnieniem na palenisku. Kuźnię wypełniała ciepła ciemność.

Niestety, nie zawierała w sobie ducha kosy.

Bili Brama rozejrzał się rozpaczliwie.

PIP!

Mała figurka w czarnej szacie siedziała na belce pod dachem. Gorączkowo pokazywała róg kuźni.

Bili zobaczył ciemny uchwyt sterczący zza sągu drewna. Spróbował go pociągnąć, ale palce miał równie materialne jak cień.

OBIECAŁ MI, ŻE JĄ ZNISZCZY.

Śmierć Szczurów współczująco wzruszył ramionami.

Nowy Śmierć przeszedł przez ścianę, oburącz ściskając kosę.

Ruszył do Billa Bramy.

Rozległ się szelest. Szare płaszcze wsuwały się do kuźni. Bill Brama ze zgrozą wyszczerzył zęby.

Nowy Śmierć znieruchomiał w dramatycznej pozie, oświetlany blaskiem paleniska.

Machnął kosą.

I niemal stracił równowagę.

Nie wolno się uchylać!

Bili Brama znowu skoczył w ścianę i pobiegł przez rynek. Pochylił czaszkę; widmowe stopy nie wydawały dźwięku, uderzając o bruk. Dotarł do niewielkiej grupki pod zegarem.

NA KONIA! JEDŹCIE!

- Co się stało? Co się dzieje?

NIE UDAŁO SIĘ!

Panna Flitworth rzuciła mu przerażone spojrzenie, ale posłusznie ułożyła śpiącą dziewczynkę na grzbiecie Pimpusia i sama wspięła się za nią. Wtedy Bill Brama mocno klepnął konia w bok. Przynajmniej teraz nastąpił kontakt - Pimpuś istniał w obu światach.

JAZDA!

Nie obejrzał się nawet, tylko pognał drogą w stronę farmy.

Broń!

Coś, co mógłby chwycić!

Jedyna broń w ścieście nieumarłych znajdowała się w rękach nowego Śmierci.

Biegąc, Bill Brama usłyszał nagle ciche, rytmiczne stukanie. Spojrzał pod nogi - Śmierć Szczurów dotrzymywał mu kroku.

Pisnął zachęcająco.

Bili przebiegł przez bramę i przypadł do ściany.

W dali zahuczał grom. Poza tym trwała cisza.

Odprężył się nieco i ostrożnie ruszył wzdłuż ściany na tyły farmy.

Zauważył metaliczny błysk. Oparta o ścianę w miejscu, gdzie zostawili ją ludzie z wioski, kiedy przynieśli go do domu, stała jego kosa. Nie ta, którą tak starannie przygotował, ale ta, której używał przy żniwach. Była tylko tak ostra, jak mogły ją uczynić osełka i pieszczota kłosów, jednak miała znajomy kształt, więc sięgnął po nią niepewnie. Dłoń przeniknęła przez drzewce.

Im dalej uciekasz, tym bardziej się zbliżasz.

Nowy Śmierć spokojnie wynurzył się z cienia.

Powinieneś to wiedzieć, dodał.

Bili Brama wyprostował się.

Ucieszy nas to.

UCIESZY?

Nowy Śmierć podszedł bliżej. Bill Brama cofnął się.

Tak. Zabranie jednego Śmierci to jak osiągnięcie zgonu miliarda pomniejszych żywotów.

POMNIEJSZYCH ŻYWOTÓW? PRZECIEŻ TO NIE JEST GRA!

Nowy Śmierć się zawahał.

Co to jest gra?

Bili Brama poczuł, że budzi się w nim nadzieja.

MÓGLBYM CI POKAZAĆ...

Koniec drzewca kosy trafił go w brodę i cisnął na ścianę. Bill zsunął się na ziemię.

Wyczuwamy sztuczkę. Nie słuchamy. Kosiarz nie słucha plonu.

Bili Brama spróbował się podnieść.

Drzewce kosy trafiło go znowu.

Nie popełnimy tych samych błędów.

Bili Brama spojrzał na niego. Nowy Śmierć trzymał złotą klepsydrę; górna część była pusta. Wokół nich pejzaż zmienił się, poczerwieniał, zaczął nabierać nierzeczywistego wyglądu rzeczywistości widzianej z przeciwnej strony.

Skończył ci się czas, panie Billu Bramo.

Nowy Śmierć zsunął kaptur.

Pod tkaniną nie było twarzy. Nie było nawet czaszki. Dym kłębił się beładnie pomiędzy szatą a złotą koroną.

Bili Brama uniósł się na łokciach.

KORONA? Głos drżał mu z gniewu. JA NIGDY NIE NOSIŁEM KORONY.

Nigdy nie chciałeś władać.

Śmierć zamachnął się kosą.

I wtedy nowy Śmierć i stary Śmierć uświadomili sobie nagle, że syk mijającego czasu wcale nie ucichł.

Nowy Śmierć zawahał się i znowu wyjął złotą klepsydrę. Potrząsnął nią.

Bili Brama spojrzeli na puste miejsce pod koroną. Dostrzegli zdziwienie, nawet bez rysów twarzy, która mogłaby je wyrażać - zawisło w powietrzu całkiem samodzielnie.

Zobaczył, jak korona się odwraca.

Panna Flitworth stała z rękami rozsuniętymi mniej więcej o stopę; oczy miała zamknięte. Przed nią, w przestrzeni między dłońmi, rysował się delikatny kształt życiomierza; piasek przesypywał się niczym wodospad.

Obaj Śmierci z trudem odczytali na szkle niewyraźne nazwisko: Renata Flitworth.

Bezciesny wyraz nowego Śmierci zmienił się w krańcowe osłupienie. Odwrócił się do Billa Bramy.

Dla CIEBIE?

Ale Bill Brama podrywał się już, rósł jak gniew królów. Sięgnął za plecy, warcząc z wściekłości, w pożyczonym czasie, a palce zacisnął na żniwnej kosie.

Koronowany Śmierć dostrzegł, co się dzieje, i uniósł własną broń, ale prawdopodobnie nic na świecie nie zdołałoby powstrzymać zużytego ostrza, gdy świsnęło w powietrzu, gdy wściekłość i zemsta dały mu krawędź wykraczającą poza wszelkie definicje ostrości. Przecięła metal, nawet nie zwalniając.

ŻADNEJ KORONY, powiedział Bill Brama, patrząc prosto w dym.

ŻADNEJ KORONY. TYLKO PLON.

Szata zwinęła się wokół ostrza. Rozległ się cichy pisk, narastający poza

granice słyszalności. Czarna kolumna, niczym negatyw błyskawicy, wystrzeliła z ziemi i zniknęła w chmurach.

Śmierć odczekał chwilę, po czym ostrożnie trącił szatę nogą. Skrzywiona trochę korona potoczyła się jeszcze kawałek, nim wyparowała.

NO TAK, stwierdził lekceważąco.

DRAMAT.

Podszedł do panny Flitworth i delikatnie złożył razem jej dłonie. Zniknął wizerunek życiomierza, a niebieskofioletowa mgła na obrzeżach pola widzenia rozwiała się, gdy napłynęła na miejsce solidna rzeczywistość.

W miasteczku zegar dokończył wybijanie dwunastej.

Staruszka zadrżała. Śmierć pstryknął jej palcami przed twarzą.

PANNO FLITWORTH? RENATO?

- Ja... Nie wiedziałam, co robić, a powiedziałaś, że to łatwe i... Śmierć poszedł do stodoły. Kiedy wrócił, miał na sobie swoją czarną szatę.

Panna Flitworth stała nieruchomo.

- Nie wiedziałam, co robić - powtórzyła, chyba wcale nie do niego. - Co się stało? Czy już po wszystkim?

Śmierć rozejrzał się. Szare kształty spływały na podwórze.

BYĆ MOŻE NIE, odparł.

Za formacją żołnierzy pojawiały się kolejne wózki. Wyglądały jak mali srebrzyści robotnicy, tylko z rzadka połyskiwał wśród nich złotem jakiś wojownik.

- Powinniśmy wycofać się do schodów - oświadczyła Doreen,

- Myślę, że one tego właśnie chcą - odparł Windle.

- I bardzo dobrze. Poza tym na tych kółkach przecież nie yjadą na stopnie, phavda?

- I nie może pan walczyć do śmierci - przypomniała Ludmiła. Łupinę nie odstępował jej, wbijając spojrzenie żółtych ślepi w zbliżające się powoli kółka.

- Miło byłoby spróbować - mruknął Windle. Dotarli do ruchomych schodów. Spojrzał w górę. Czekały tam wózki; jednak droga na niższy poziom wydawała się czysta.

- Może znajdziemy inne przejście na górę? - spytała z nadzieją Ludmiła.

Stanęli na jadących stopniach. Wózki za nimi przemieściły się, żeby zablokować im odwrót.

Na niższym poziomie byli magowie. Stali tak nieruchomo między doniczkami i fontannami, że z początku Windle przeszedł obok, przekonany, że to jakieś posągi albo dziwaczne meble.

Nadrektor miał przyczepiony fałszywy czerwony nos i trzymał baloniki. Obok niego kwestor żonglował kolorowymi piłeczkami, ale jak maszyna, wbijając wzrok w pustkę.

Pierwszego prymusa znaleźli kawałek dalej; na plecach i piersi wisiały mu tablice. Litery na nich nie dojrzały jeszcze, ale Windle skłonny był postawić własne życie pozagrobowe, że w końcu ułożą się w napisy w rodzaju OKAZJA!!!

Pozostali magowie zebrali się razem, jak mechaniczne lalki, które zapomniano nakręcić. Każdy z nich nosił przypiętą do szaty dużą, owalną odznakę. Znajome już, organiczne pismo dojrzewało w słowo, które wyglądało jak

OCHRONA

choć dla czego akurat takie, wydawało się absolutną tajemnicą. Magów z pewnością nic tu nie chroniło.

Windle pstryknął palcami tuż przed bladymi oczyma dziekana. Nie było żadnej reakcji.

- Nie jest martwy - stwierdził Reg.

- Tylko śpi - zgodził się Windle. - jest wyłączony. Reg pchnął dziekana. Mag przeszedł kilka kroków, po czym zachwiał się niebezpiecznie i stanął.

- Nigdy ich nie wyciągniemy - uznał Arthur. - Nie w takim stanie. Nie możesz ich obudzić?

- Trzeba zapalić im pióro pod nosem - zaproponowała Doreen.

- To nic nie da - sprzeciwił się Windle.

Swoje stwierdzenie opierał na fakcie, że Reg Shoe znajdował się prawie pod nosami magów, a jeśli ktoś dysponuje aparatem wężowym, niezdolnym do zarejestrowania obecności pana Shoe, to z pewnością nie zareaguje na zwykłe płonące piórko. Ani na spory ciężar zrzucony na niego z dużej wysokości, jeśli już o tym mowa.

- Panie Poons - odezwała się Ludmiła.

- Znałem kiedyś golenia, całkiem do niego podobnego - przypomniał sobie Reg Shoe. - Zupełnie podobnego. Wielki facet, cały z gliny. Typowe golemu właśnie takie są. Żeby ruszyły, trzeba na nich wypisać specjalne święte słowo.

- Na przykład "ochrona"?

- Możliwe.

Windle zerknął na dziekana.

- Nie - uznał w końcu. - Niemożliwe. Skąd by ktoś wziął aż tyle gliny?
- Rozejrzał się. - Musimy sprawdzić, skąd dobiega ta przekłeta muzyka.

- To znaczy: gdzie są schowani muzykanci?

- Nie przypuszczam, żeby to byli muzykanci.

- Muszą być muzykanci, bracie - zapewnił go Reg Shoe. - Dlatego właśnie nazywa się to muzyką.

- Po pierwsze, nie przypomina to żadnej muzyki, jaką za życia słyszałem, i po drugie, zawsze wierzyłem, że do światła potrzebne są kaganki i świece, których tu nie ma, a przecież wszędzie coś świeci.

- Panie Poons... - odezwała się znowu Ludmiła i szturchnęła go lekko.

- Słucham.

- Znowu przyjechały wózki.

Blokowały wszystkie pięć korytarzy wybiegających z centralnej hali.

- Nie ma schodów w dół - zauważył Windle.

- Może to coś... ona... jest w którejś z tych oszklonych części - zgadywała Ludmiła. - W sklepach?

- Nie sądzę. Nie wyglądają na ukończone. Zresztą jakoś to nie pasuje.

Łupinę warknął. Kolce błyszczały na wózkach z pierwszego szeregu. Jednak nie próbowały atakować.

- Pewnie widziały, co zrobiliśmy z tamtymi - domyślił się Arthur.

- Owszem. Ale jak? To było na górze.

- Może jakoś ze sobą rozmawiają?

- Jak mogą rozmawiać? Jak mogą myśleć? - nie dowierzała Ludmiła. - W takiej drucianej siatce nie zmieści się żaden mózg.

- Mrówki i pszczoły nie myślą, jeśli już o to chodzi - przypomniał Windle. - Są tylko kierowane... Spojrzał w górę. Wszyscy spojrzeli w górę.

- Dobiega z jakiegoś miejsca w suficie - stwierdził. - Musimy je znaleźć, i to *zarazi*

- Tam są tylko te świetlne płyty - powiedziała Ludmiła.

- Nie tylko. Szukajcie czegoś, skąd mogą dochodzić dźwięki.

- Są wszędzie!

- Cokolwiek chcecie zrobić - zawołała Doreen, chwytając roślinę w doniczce i ściskając ją jak maczugę - mam nadzieję, że zrobicie to szybko!

- Co to jest to okrągłe i czarne u góry? - zapytał Arthur.

- Gdzie?

- Tam. - Wskazał palcem.

- Dobrze. Reg i ja cię podniesiemy. Chodź...

- Mnie? Mam lęk wysokości!

- Przecież potrafisz się zmienić w nietoperza!

- Tak, ale bardzo nerwowego.

- Przestań narzekać. Do roboty. Postaw stopę tutaj, złap się tutaj, teraz stań na ramieniu Rega...

- Tylko się nie przebij! - ostrzegł Reg.

- Nie podoba mi się to - jęczał Arthur, kiedy podnieśli go do góry.

Doreen przestała obserwować tłoczące się wózki.

- Artore! Noblesse obligay!

- To jakieś tajne hasło wampirów? - zapytał szeptem Reg.

- To znaczy coś w rodzaju: hrabia musi robić to, co hrabia robić musi - wyjaśnił Windle.

- Hrabia... - burknął Arthur, chwiejąc się niebezpiecznie. -W ogóle nie powinienem słuchać tego prawnika! Powinienem wiedzieć, że nigdy nic dobrego nie przychodzi w brązowej kopercie! A i tak nie mogę osiągnąć tego paskudztwa!

- Możesz podskoczyć? - spytał Windle.

- A możesz paść trupem?

- Nie.

- No to ja nie skaczę!

- To przeleć. Zmień się w nietoperza i przeleć.

- Nie mam gdzie się rozpędzić.

- Mógłby pan nim rzucić - zaproponowała Ludmiła. - No wie pan, jak taką papierową strzałką.

- Nic z tego! Jestem hrabią!

- Przecież mówiłeś, że wcale nie chciałeś - przypomniał łagodnie Windle.

- Na ziemi wcale nie chcę, ale jeśli mam być rzucony jak nie wiadomo

co...

- Arthurze! Zrób, co mówi pan Poons!

- A niby czemu...

- Arthurze!

Arthur jako nietoperz okazał się zaskakująco ciężki. Windle złapał go za uszy niby niekształtną kulę do kręgli i spróbował wymierzyć.

- Pamiętaj... Jestem gatunkiem zagrożonym! - pisnął hrabia, gdy Windle brał zamach.

Rzut okazał się celny. Arthur zatrzepotał koło czarnego dysku i chwycił go pazurkami.

- Możesz nim poruszyć?

- Nie!

- Więc chwyć mocno i zmień się z powrotem.

- Nie!

- Złapiemy cię.

- Nie!

- Arthurze! - wrzasnęła Doreen, zaimprovizowaną maczugą odpychając nacierający wózek.

- No dobrze...

Przez moment widzieli Arthura Winkingsa, rozpaczliwie trzymającego się sufitu... Po czym spadł na Windle'a i Rega, przyciskając do piersi czarny dysk.

Muzyka ucichła nagle. Z poszarpanego otworu w suficie wylały się

różowe rurki; owinęły Arthura, który wyglądał jak talerz bardzo taniego spaghetti z klopsikami. Fontanny przez chwilę działały w drugą stronę, a potem wyschły.

Wózki zatrzymały się. Tylne szeregi wjechały na te z przodu i zabrzmiał chór żalosnych metalicznych stuknięć.

Rurki wciąż wypływały z otworu. Windle chwycił jedną - była nieprzyjemnie różowa i lepka.

- Co to jest, jak pan myśli? - zapytała Ludmiła.

- Myślę - odparł Windle - że powinniśmy uciekać stąd natychmiast.

Podłoga zadygotała. Z fontanny strzelił strumień pary.

- Albo jeszcze szybciej - dodał Windle.

Nadrektor jęknął. Dziekan osunął się na kolana. Pozostali magowie zachowali pozycje stojące, ale ledwo, ledwo.

- Wracają do siebie - stwierdziła Ludmiła. - Chyba nie poradzą sobie ze schodami.

- Moim zdaniem nikt nie powinien nawet myśleć o radzeniu sobie ze schodami - odparł Windle. - Spójrz tylko na nie.

Ruchome schody już się nie ruszały. Czarne stopnie lśniły w bezcieniowym świetle.

- Rozumiem, o co panu chodzi - zgodziła się Ludmiła. - Wolałabym przejść po ruchomych piaskach.

- Tak byłoby bezpieczniej.

- Może jest jakaś rampa? Przecież te wózki muszą się jakoś przemieszczać.

- Dobry pomysł.

Ludmiła zerknęła na wózki. Jeździły chaotycznie dookoła.

- Mam chyba jeszcze lepszy — mruknęła i złapała za najbliższy uchwyt.

Wózek opierał się przez chwilę, ale ponieważ nie otrzymywał żadnych instrukcji, w końcu posłusznie ustąpił.

- Ci, którzy mogą chodzić, pójdą, a ci, którzy nie mogą chodzić, pojadą. Tutaj, dziadku.

Ostatnie słowa skierowane były do kvestora, który pozwolił usadzić się w drucianym koszu. Słabym głosem powiedział tylko "yo" i zamknął oczy.

Na nim ułożyli dziekana[17].

- Gdzie teraz? - zapytała Doreen.

Kilka płytek na podłodze wybrzuszyło się nagle. Ze szczelin wypłynął gęsty szary opar.

- Rampa powinna być gdzieś na końcu korytarza - stwierdziła Ludmiła.
- Idziemy.

Arthur spojrzał w dół, na mgłę ścielącą się pod nogami.

- Ciekawe, jak można to zrobić - powiedział. - Strasznie trudno jest znaleźć coś, co robi takie rzeczy. Próbowaliśmy, wiecie, bo chcieliśmy, żeby nasza krypta była bardziej... kryptyczna, ale tylko zadymiło ją całą i kotary się zapaliły.

- Chodź, Arthurze. Idziemy.

- Chyba nie narobiliśmy wielkich szkód? Może powinniśmy zostawić wiadomość...

- Tak - mruknął ironicznie Reg. - jeśli koniecznie chcesz, mogę napisać coś na ścianie.

Chwycił za uchwyt wózek-robotnika i z niejaką satysfakcją uderzył nim o filar tak mocno, że odpadły kółka.

Windle obserwował, jak członkowie klubu Od Nowa odchodzą najbliższym korytarzem, popychając przed sobą spory asortyment zdobytych okazji magów.

- No tak - powiedział. - Prosta sprawa. Tyle tylko mieliśmy zrobić. Trudno w tym dostrzec jakiś dramat.

Spróbował ruszyć za nimi i znieruchomiał.

Różowe rurki przeciskały się przez posadzkę i zdążyły już mocno oplatać mu nogi.

Kolejne płytki podłogowe wylatywały w powietrze. Schody rozpadały się, odsłaniając ciemną, żłobkowaną, a przede wszystkim żywą tkankę, która je poruszała. Ściany pulsowały i wyginały się do wnętrza, marmur pękał, ukazując pod spodem czerwoną i różową masę.

Oczywiście, myślała niewielka, spokojna część umysłu Windle'a, nic z tego nie jest naprawdę prawdziwe. To tylko metafora, tyle że w tej chwili metafory są niczym świece w fabryce sztucznych ogni.

A skoro już o tym mowa, to jaką właściwie istotą jest królowa?

Jak królowa pszczoł, tylko że równocześnie jest ulem. Jak chruścik, o ile dobrze pamiętam nazwę, który buduje sobie skorupę z odłamków kamieni i innych śmieci, żeby się w niej ukryć. Albo nautilus, który dokłada kawałki do skorupy, kiedy rośnie. A sądząc po tym, jak rwą się podłogi, jest też całkiem podobna do bardzo złej rozgwiezdy.

Jak miasta bronią się przed czymś takim? Ciekawe. Zwierzęta zwykle wykształcają sobie jakieś metody obrony przed drapieżnikami. Trucizny, żądła, kolce i różne takie.

Tu i teraz to pewnie jestem ja. Stary kolczasty Windle Poons.

Mogę przynajmniej się postarać, żeby inni wyszli z tego cało. Dajmy

jej znać, że tu jestem...

Pochylił się, oburącz chwycił kłęb pulsujących rurek i szarpnął mocno.

Wrzask wściekłości królowej był słyszalny aż na uniwersytecie.

Burzowe chmury pędziły nad wzgórze i kłębiły się w potężnej, szybko rosnącej w górę masie. Gdzieś wewnątrz trzasnął piorun.

ZA DUŻO JEST ŻYCIA DOOKOŁA, powiedział Śmierć. NIE ŻEBYM SIĘ SKARŻYŁ. GDZIE DZIECKO?

- Położyłam ją do łóżka. Teraz śpi. Ale to zwyczajny sen.

Błyskawica uderzyła we wzgórze. Huknął grom, a potem z daleka dobiegło stukanie i zgrzyty.

Śmierć westchnął.

AHA. ZNOWU DRAMAT.

Obszedł stodołę, żeby mieć lepszy widok na ciemne pola. Panna Flitworth następowała mu na pięty i używała jak tarczy przeciwko groźnym zjawiskom, jakie mogły tam czekać.

Błękitny poblask skrzył się za odległym żywopłotem. Przesuwał się.

- Co to jest?

TO BYŁ KOMBINATOR ŻNIWNY.

- Był? A czym jest teraz?

ŻAŁOSNYM OFERMĄ.

Kombinator przejechał przez wilgotne pola; ramiona wirowały,

dźwignie poruszały się w błękitnym nimbie. Dyszle dla konia machały bezużytecznie w powietrzu.

- Jak może jeździć bez konia? Wczoraj miał konia! NIE POTRZEBUJE GO.

Obejrzał się na szarych widzów. Na podwórzu stały ich już całe szeregi.

- Pimpuś jest osiodłany. Jedźmy! NIE.

Kombinator Żniwny przyspieszał. Ciach-ciach wirujących ostrzy zmieniło się w ciągły świst.

- Jest zły, bo ukradłeś mu plandekę?

NIE TYLKO TO MU UKRADŁEM.

Śmierć uśmiechnął się do widzów. Podniósł kosę, obrócił ją w dłoniach, a potem, kiedy był pewien, że wbijają w nią wzrok, upuścił na ziemię.

Potem złożył ręce na piersi.

Panna Flitworth szarpała go za szatę.

- Co ty wyprawiasz?

DRAMAT.

Kombinator dotarł do bramy i w chmurze trocin wjechał na podwórze.

- Jesteś pewien, że nic nam się nie stanie? Śmierć przytaknął.

- Aha. No to dobrze.

Koła Kombinatora rozmyły się od szybkości.

PRAWDOPODOBNIE.

I wtedy...

...coś w maszynie brzęknęło.

A potem Kombinator nadal jechał naprzód, ale już w kawałkach. Fontanny iskier strzeliły z osi. Kilka wrzecion i ramion jakoś trzymało się razem i toczyło coraz dalej od wirującego, zwalnającego stopniowo chaosu. Koło z ostrzami wyrwało się, przebiło przez maszynę i poleciało na pole.

Zabrzmiały brzęki, stuki, aż wreszcie ostatnie samotne "boing", będące dźwiękowym odpowiednikiem sławnej pary dymiących butów.

Zapadła cisza.

Śmierć schylił się spokojnie i podniósł skomplikowaną z wyglądu, wrzecionowatą część, która przyfrunęła mu pod nogi. Była zgięta pod kątem prostym.

Panna Flitworth wyjrzała mu zza pleców.

- Co się stało?

MYŚLĘ, ŻE MIMOŚRÓD ZSUNĄŁ SIĘ STOPNIOWO PO WALE OSIOWYM I UDERZYŁ O ZŁĄCZE KOŁNIERZA, CO DOPROWADZIŁO DO KATASTROFALNYCH SKUTKÓW.

Śmierć spojrzał wyzywająco na szeregi szarych gapiów. Jeden po drugim zaczęli znikać.

Sięgnął po kosę.

A TERAZ MUSZĘ IŚĆ, oznajmił.

Panna Flitworth była przerażona.

- Co? Tak po prostu?

WŁAŚNIE TAK. MAM DUŻO ZALEGŁEJ PRACY.

- I już cię nie zobaczę? To znaczy...

ALEŻ TAK WKRÓTCE. Przez chwilę szukał właściwego słowa, ale zrezygnował. OBIECUJĘ.

Podciągnął czarną szatę i sięgnął do kieszeni spodni Billa Bramy, które wciąż miał pod spodem.

KIEDY PAN SIMNEL PRZYJDZIE RANO, ŻEBY POZBIERAĆ KAWAŁKI, PRAWDOPODOBNIĘ BĘDZIE SZUKAŁ TEGO, powiedział i upuścił na jej dłoń coś małego, o fazowanych krawędziach.

- Co to jest?

ZACISK TRZY ÓSME.

Podszedł do konia i nagle coś sobie przypomniał.

I JESZCZE JEST MI WINIEN ĆWIERĆ PENSA.

Ridcully otworzył jedno oko. Ludzie tłoczyli się dookoła. Były światła i ogólne podniecenie. Wiele osób mówiło równocześnie.

Siedział w bardzo niewygodnym wózku, a wokół brzęczały jakieś dziwne owady.

Słyszał narzekania dziekana, jakieś sieknięcia, których źródłem mógł być tylko kwestor, i głos młodej kobiety. Ktoś kogoś opatrywał, ale na niego osobiście nikt nie zwracał uwagi. Cóż, jeśli udzielano tu pierwszej pomocy, to jemu pierwszemu powinni pomóc. Chrząknął głośno.

- Moglibyście spróbować - zaproponował okrutnemu światu jako takiemu - wlać mi w zaciśnięte usta trochę brandy.

Jakieś zjawisko wyrosło przed nim, unosząc nad głową lampę. Miało twarz rozmiaru pięć w skórze rozmiaru trzynaście.

- Uuk - powiedziało z wyraźną troską.

- Ach, to ty - mruknął Ridcully. Spróbował usiąść, na wypadek gdyby bibliotekarz chciał zastosować sztuczne oddychanie.

Chaotyczne wspomnienia pojawiały się w umyśle. Pamiętał ścianę zgrzytającego metalu, coś różowego, a potem... muzykę. Nieskończoną muzykę, mającą zamieniać żyjące mózgi w twarożek.

Obejrzał się. Za plecami miał budynek otoczony przez tłumy ludzi. Budynek był krępy i w dziwnie zwierzęcy sposób przypadł do ziemi; zdawało się, że gdyby można było unieść jedno ze skrzydeł, człowiek usłyszałby ciche puknięcia odrywających się przyssawek. Z budynku wylewało się światło, a przez drzwi wypływały kłęby pary.

- Ridcully się obudził!

Pojawiły się kolejne twarze. To nie Noc Duchowego Ciasta, myślał Ridcully, więc nie noszą masek. A niech mnie!

Za nimi usłyszał dziekana.

- Proponuję przygotować Sejsmiczny Reorganizator Herpetty'ego i wepchnąć go przez drzwi. I po kłopotcie.

- Nie! Jesteśmy za blisko miejskich murów! Trzeba tylko zrzucić w odpowiednie miejsce Punkt Atraktorowy Quonduma...

- A może Łatwopalną Niespodziankę Sumpjumpera? - To był głos kwestora. - Wypalić to, to najlepszy sposób...

- Tak? Tak? A co ty wiesz o taktyce wojskowej? Nawet nie umiesz porządnie powiedzieć "yo"! Ridcully chwycił burty wózka.

- Czy ktoś zechciałby mi wyjaśnić - powiedział - co do... co takiego się tutaj dzieje?

Ludmiła precyzyjnie się między członkami klubu Od Nowa.

- Musi ich pan powstrzymać, nadrektorze! - oświadczyła. -Chcą zniszczyć ten wielki sklep!

W umyśle Ridcully'ego rozbłysły kolejne paskudne wspomnienia.

- Świetny pomysł - pochwalił.

- Ale tam został pan Poons!

Ridcully spróbował zogniskować spojrzenie na lśniącym budynku.

- Jak to? Martwy Windle Poons?

- Arthur pofrunął z powrotem, kiedy tylko zauważyliśmy, że go z nami nie ma. Mówi, że Windle walczył z czymś, co wychodziło ze ścian! Widzieliśmy mnóstwo wózków, ale nie zwracały na nas uwagi! Umożliwił nam ucieczkę!

- Kto, martwy Windle Poons?

- Nie możecie przecież rozczarować tego sklepu na kawałki, skoro został tam jeden z waszych magów!

- Co, martwy Windle Poons?

- Tak!

- Przecież on jest martwy - przypomniał Ridcully. - Prawda? Sam mówił.

- Ha! - zakrzyknął ktoś, kto miał o wiele mniej skóry, niż Ridcully by mu życzył. - To typowe. Klasyczny przykład prymitywnego witalizmu. Założę się, że ratowaliby każdego, kto przypadkiem okazałby się żywy.

- Ale on chciał... Nie zależało mu... On... - zaczął Ridcully. Wiele spraw przekraczało możliwości pojmowania, ale tacy ludzie jak Ridcully nie przejmują się tym zbyt długo. Ridcully był człowiekiem prostodusznym. To nie znaczy głupim. To znaczy, że aby myśleć o czymś w sposób należyty, musiał najpierw odciąć wszystkie skomplikowane kawałki na obrzeżach.

Skoncentrował się na jednym zasadniczym fakcie. Ktoś, kto formalnie był magiem, miał kłopoty. Do tego mógł się odnieść. To uderzyło we właściwą strunę. Cała ta sprawa żywego czy martwego mogła poczekać.

Męczył go jeszcze tylko pewien drobiazg.

- Arthur... pofrunął...?

- Witam.

Ridcully odwrócił głowę. Zamrugął powoli.

- Ładne ma pan zęby - stwierdził.

- Dziękuję - odparł Arthur Winkings.

- Wszystkie własne?

- Oczywiście.

- Zadziwiające. Przypuszczam, że szoruje je pan regularnie.

- Tak.

- Higiena. To najważniejsze.

- I co ma pan zamiar zrobić? - chciała wiedzieć Ludmiła.

- No cóż, pójdziemy tam i go wyciągniemy. - Coś dziwnego było w tej dziewczynie. Ogarnęła go przemożna chęć, żeby pogłaskać ją po głowie. - Zbierzemy parę czarów i wyciągniemy go. Tak. Dziekanie!

-Yo!

- Za chwilę wejdziemy i wyciągniemy stamtąd Windle'a.

-Yo!

- Co? - nie zrozumiał pierwszy prymus. - Chyba zwariowałeś! Ridcully

postarał się wyglądać tak godnie, jak to tylko możliwe

w tej sytuacji.

- Przypominam, że jestem pańskim nadrektorem — rzekł.

- W takim razie chyba pan zwariował, nadrektorze! - burknął pierwszy prymus. Ściszył głos. - Przecież on jest martwy. Nie rozumiem, jak można ratować martwych. To sprzeczność terminologiczna.

- Dychotomia - odpowiedział kwesor.

- Och, nie sądzę, żeby konieczna była operacja.

- Poza tym pogrzebaliśmy go - dodał wykładowca run współczesnych.

- A teraz wygrzebiemy go znowu - odparł nadrektor. - To zapewne cud istnienia.

- Jak pikle - westchnął rozkosznie kwesor.

Nawet członkowie Od Nowa wymienili zdumione spojrzenia.

- Tak robią w niektórych częściach Howondalandu - wyjaśnił kwesor.

- Przygotowują takie wielkie, bardzo wielkie słoje marynat i zakopują je w ziemi na całe miesiące, żeby sfermentowały, a potem wykopują te pyszne, pikantne...

- Przepraszam - szepnęła Ridcully'emu Ludmiła. - Czy magowie zawsze się tak zachowują?

- Pierwszy prymus jest wyjątkowo dobrym przykładem - potwierdził Ridcully. - Ma tak precyzyjną percepcję realności jak tekturowa figurka. Jestem dumny, że mamy go w zespole. - Zatarł ręce. - No dobrze, chłopcy. Są jacyś ochotnicy?

- Yo! - zawołał dziekan, który w tej chwili żył w całkiem innym świecie.

- Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie dopomógł swemu bratu
- oświadczył Reg Shoe.

- Uuk.

- Ty? Nie możemy cię zabrać. - Dziekan spojrzał niechętnie na bibliotekarza. - Mało wiesz o city guerillas.

- Uuk! - odpowiedział bibliotekarz i wykonał zaskakująco zrozumiały gest sugerujący, że z drugiej strony to, czego nie wie o city orangutans, można by spisać na bardzo małych rozdeptanych kawałkach. Na przykład dziekana.

- Czterech powinno wystarczyć - uznał nadrektor.

- Nie słyszałem, żeby kiedyś mówił "yo" - burczał dziekan.

Zdjął kapelusz, czego mag zwykle nie robi, chyba że chce coś z niego wyjąć, i oddał kwestorowi. Potem oderwał z dołu szaty wąski pasek materiału, dramatycznie podniósł go w wyciągniętych rękach i zawiązał sobie na czole.

- To element etosu - wyjaśnił, odpowiadając na ich przenikliwe i niewypowiedziane pytanie. - Tak robią wojownicy z Kontynentu Przeciwwagi, kiedy ruszają do bitwy. Trzeba jeszcze krzyczeć... - Próbował przypomnieć sobie jakąś dawną lekturę. - Tego... bonsai. Tak. Bonsai!

- Myślałem, że to oznacza przycinanie drzewek, żeby były małe - wyznał pierwszy prymus.

Dziekan zawahał się nieco. Szczerze mówiąc, sam nie był całkiem pewien. Ale dobry mag nie pozwala, żeby niepewność stała się przeszkodą.

- Nie, to stanowczo musi być bonsai - zapewnił. Pomyślał chwilę i rozpromienił się nagle. - Bo wszystko to jest częścią bushido. To skrócona forma "w busz idą", bo ci wojownicy idą w busz i przycinają drzewa. Żeby przejść. Mieczami. Rozsądne, jeśli się chwilę zastanowić.

- Ale tutaj nie możesz przecież krzyczeć "bonsai" - zaprotestował

wykładowca run współczesnych. - Mamy całkiem odmienne korzenie kulturowe. To na nic. Nikt by nie wiedział, o co ci chodzi.

- Popracuję nad tym - obiecał dziekan.

Zauważył, że Ludmiła słucha ich z otwartymi ustami.

- To zwykłe rozmowy magów - wyjaśnił.

- Rzeczywiście? - zdziwiła się. - Nigdy bym na to nie wpadła.

Nadrektor wysiadł z wózka i na próbę popychał go tam i z powrotem. Zwykle trzeba było czasu, żeby jakaś nowa idea zagnieździła się mocno w umyśle Ridcully'ego, ale teraz instynktownie wyczuwał, że druciany kosz na czterech kółkach może mieć liczne zastosowania.

- Idziemy czy będziemy stać tu przez całą noc i bandażować sobie głowy? - zapytał.

- Yo! - huknął dziekan.

- Yo? - nie zrozumiał Reg Shoe.

- Uuk!

- To było yo? - upewnił się dziekan.

- Uuk.

- No... No to w porządku.

Śmierć siedział na szczycie góry. Nie była ona szczególnie . wysoka, naga ani złowroga. Nie urządały na niej sabatów nagie czarownice - na Dysku czarownice generalnie nie popierały zdejmowania z siebie więcej odzieży, niż było to absolutnie niezbędne w danej chwili. Nie nawiedzały jej widma. Żadni nadzy starcy nie siedzieli na szczycie i nie dzielili się

mądrością, ponieważ pierwszą konkluzją, do jakiej dochodzi prawdziwie mądry starzec, jest ta, że siedzenie nago na szczycie góry prowadzi nie tylko do hemoroidów, ale do odmrożonych hemoroidów.

Od czasu do czasu ludzie wspinali się na tę górę i dodawali jeden czy dwa kamienie do stosu na samym szczycie, choćby po to, by dowieść, że nie ma nic tak głupiego, czego ludzie nie zrobią.

Śmierć siedział na stosie i długimi, starannymi pociągnięciami ostrzył kosę.

Nastąpił ruch w powietrzu. Trzej szarzy słudzy przekroczyli nagle próg istnienia.

Któryś powiedział: Myślisz, że wygrałeś?

Któryś powiedział: Myślisz, że zwyciężyłeś?

Śmierć odwrócił w dłoni kamień, by uzyskać świeżą powierzchnię, i przejechał nim powoli wzdłuż ostrza.

Któryś powiedział: Poinformujemy o tym Azraela.

Któryś powiedział: W końcu jesteś tylko małym Śmiercią.

Śmierć podniósł ostrze do księżyca i obracał je lekko, obserwując grę światła na małych opiłkach metalu wzdłuż krawędzi.

Potem poderwał się błyskawicznie. Słudzy odstepili czym prędzej.

Z szybkością kobry wyciągnął rękę i pochwycił szarą szatę. Podciągnął pusty kaptur do poziomu swych oczodołów.

CZY WIECIE, DLACZEGO WIĘZIEŃ W WIEŻY PRZYGLĄDA SIĘ PTAKOM? zapytał.

Sługa powiedział: Nie dotykaj mnie... Oj...

Rozbłysnął błękitny płomień.

Śmierć opuścił rękę i spojrzał groźnie na dwóch pozostałych.

Któryś powiedział: To jeszcze nie koniec.

Zniknęli.

Śmierć strzepnął z szaty drobinę popiołu i stanął w lekkim rozkroku. Oburącz uniósł kosę nad głową i przywołał wszystkie mniejsze Śmierci, które powstały pod jego nieobecność.

Po chwili półprzejrzystą czarną falą popłynęły w górę i zlewały się razem jak ciemna rć.

Trwało to bardzo długo, ale wreszcie dobiegło końca.

Śmierć opuścił kosę i zbadał sam siebie. Tak, wszystko na miejscu. Znowu był tym jedynym Śmiercią, mieszczącym w sobie wszystkie śmierci świata. Z wyjątkiem...

Zawahał się. Gdzieś tam wyczuł niewielki obszar pustki, jakiś brakujący fragment swej duszy, coś, co zniknęło...

Nie był pewien, co to takiego.

Wzruszył ramionami. Na pewno w końcu się dowie. A tymczasem miał dużo pracy.

Odjechał.

Daleko od góry, w swej kryjówce pod stodołą, Śmierć Szczurów wypuścił ścisną rozpaczliwie belkę.

Windle Poons obiema stopami przydepnął wysuwającą się spod podłogi mackę. Potem ruszył przed siebie w kłębach pary. Blok marmuru runął z góry i obsypał go odłamkami. Windle z całej siły kopnął w ścianę.

Prawdopodobnie nie było stąd drogi ucieczki, uświadomił sobie, a jeśli nawet była, to nie umiał jej znaleźć. Zresztą tkwił wewnątrz bestii, która burzyła własne ściany, byle tylko go pokonać. Może się przynajmniej postarać, żeby dostała ciężkiej niestrawności.

Ruszył w kierunku otworu, który kiedyś był wejściem do szerokiego korytarza. Ledwie zdążył niezgrabnie przeskoczyć, gdy otwór zamknął się z cichym młaśnięciem. Srebrne płomyki tańczyły na ścianach. Było tu tyle życia, że wylewało się ze wszystkich stron.

Zauważył kilka wózków jeżdżących w panice po dygoczącej podłodze, równie zagubionych jak on sam.

Skręcił w kolejny rozsądnie wyglądający korytarz. Co prawda większość korytarzy, jakimi chadzał przez ostatnie sto trzydzieści lat, nie pulsowała i nie ociekała śluzem...

Następna macka przebiła się przez ścianę i przewróciła go.

Oczywiście, bestia nie może go zabić. Ale może pozbawić go ciała, zmienić w kogoś takiego jak Człowiek-Wiadro. Los chyba gorszy od śmierci...

Podciągnął się na rękach. Sufit wybrzuszył się i przygniótł go do podłogi.

Odliczył cicho do trzech i rzucił się naprzód. Spowity parą, znów się pośliznął i wyciągnął przed siebie ręce.

Czuł, że traci panowanie nad ciałem. Musiał pilnować zbyt wielu elementów. Mniejsza o śledzionę, ale samo utrzymywanie działania serca i płuc stawało się zbyt trudne...

- Ogródek!

- Co to znaczy, do... a niech mnie?

- Ogródek! Jasne? Yo!

- Uuk!

Windle spojrzał zmętniałym wzrokiem.

Aha. Najwyraźniej tracił też panowanie nad umysłem.

Z pary wyjechał bokiem wózek, którego boków trzymały się ja- | kies niewyraźne postacie. Jedno pokryte sierścią ramię i jedno ra- || mię, które z trudem można było jeszcze nazwać ramieniem, podnio- | sły go z podłogi i wrzuciły do drucianego kosza. Cztery małe kółka ślizgały się po posadzce. Wózek odbił się od ściany, wyprostował ,| i stukając pojechał z powrotem.

Windle słyszał niewyraźne głosy.

- Do roboty, dziekanie. Wiem, że nie może się pan doczekać.

To był nadrektor.

-Yo!

- Zabije pan to całkowicie? Chyba nie chcielibyśmy, żeby pojawiło się w klubie Od Nowa. Nie wygląda na dobrego towarzysza.

To Reg Shoe...

- Uuk!

A to bibliotekarz.

- Nie martw się, Windle. Dziekan planuje wyraźnie jakieś posunięcie militarne - powiedział Ridcully.

-Yo!Yep! . - Wielkie nieba!

Windle zobaczył nad sobą dłoń dziekana, ściskającą coś błyszczącego.

- Czego pan użyje? - zainteresował się Ridcully, gdy wózek pędził wśród pary. - Sejsmicznego Reorganizatora, Punktu Atraktorowego czy Łatwopalnej Niespodzianki?

- Yo - odparł z satysfakcją dziekan.

- Jak to, wszystkich trzech naraz?

- Yo!

- To chyba drobna przesada. A przy okazji, jeśli jeszcze raz powie pan "yo", dziekanie, osobiście będę wyrzucał pana z uniwersytetu, ścigać aż do krawędzi świata najlepszym demonom, jakie potrafi przywołać thaumaturgia, rozerwać na wyjątkowo małe kawałeczki, przemleć, wmieszać w coś podobnego do befsztyka tatarskiego i wrzucić do psiej miski.

- Y... - Dziekan pochwycił spojrzenie Ridcully'ego. - Tak. Tak? Proszę sobie nie przerywać, nadrektorze. Na co komu posiadanie władzy nad kosmiczną równowagą, na co poznawanie tajemnic losu, jeśli nie można zwyczajnie czegoś wysadzić? Proszę. Mam je przygotowane. Wie pan, jak źle wpływa na zaklęcia, jeśli się raz przygotowanych nie wykorzysta,..

Wózek wjechał na drżącą rampę i na dwóch kółkach wziął zakręt.

- No dobrze - zgodził się Ridcully. - Jeśli to dla pana takie ważne.

- Y... Przepraszam.

Dziekan zaczął mamrotać coś pod nosem i nagle wrzasnął przerażony:

- Oślepiłem!

- Pański bandaż bonsai zsunął się panu na oczy, dziekanie.

Windle jęknął.

- Jak się czujesz, bracie Poons?

W pole widzenia Windle'a wpłynęła rozpadająca się nieco twarz Rega.

- Wiesz, jak to jest - odparł. - Mogłoby być lepiej, ale mogłoby być gorzej.

Wózek odbił się od ściany i zmienił kierunek.

- Co z pańskimi zaklęciami, dziekanie? - rzucił Ridcully przez zaciśnięte zęby. - Coraz trudniej mi kierować tym czymś.

Dziekan wymruczał kilka słów i w dramatycznym geście wznosił ręce. Oktarynowy płomień strzelił mu z palców i uziemił się gdzieś we mgle.

- Jii-hoo!

- Dziekanie...

- Słucham, nadrektorze.

- Ta uwaga, jaką niedawno wygłosiłem na temat słowa na Y...

- Tak? Słucham?

- Może pan dołączyć także Jii-hoo. Dziekan zwiesił głowę.

- Aha. Oczywiście, nadrektorze.

- I dlaczego nie było jeszcze wybuchu?

- Dołożyłem niewielkie opóźnienie, nadrektorze. Pomyślałem, że może chcielibyśmy się wydostać, zanim to nastąpi.

- Dobrze kombinujesz, chłopie.

- Zaraz cię stąd wydostaniemy, Windle - mówił Reg Shoe. -Nie zostawiamy naszych ludzi w takiej sytuacji. Przecież...

I wtedy podłoga wybuchła przed nimi.

A zaraz potem za nimi.

Bestia, która wynurzyła się spod strzaskanych płyt, była albo bezkształtna, albo miała wiele kształtów równocześnie. Wiła się wściekle i trzaskała na nich swymi rurkami.

Wózek zahamował z poślizgiem.

- Ma pan jeszcze jakieś czary, dziekanie?

- Tego... Nie, nadrektorze.

- A te zaklęcia, o których pan mówił, zadziałają...?

- Lada sekunda, nadrektorze.

- Czyli cokolwiek się stanie, stanie się nam?

- Tak, nadrektorze.

Ridcully poklepał Windle'a po głowie.

- Przykro mi - powiedział.

Windle odwrócił się z trudem i spojrzał w głąb korytarza.

Dostrzegł coś za królową. To coś wyglądało jak całkiem zwyczajne drzwi sypialni, przesuwające się ciągiem małych kroków, jakby ktoś bardzo ostrożnie popychał je przed sobą.

- Co to jest? - zdziwił się Reg. Windle uniósł się jak najwyżej.

- Schleppel!

- Nie, niemożliwe - mruknął Reg.

- To Schleppel! - krzyknął Windle. - Schleppel! To my! Możesz nam pomóc?

Drzwi się zatrzymały. A potem odleciały na bok. Schleppel wyprostował się na pełną wysokość.

- Dobry wieczór, panie Poons. Witaj, Reg - powiedział. Wszyscy wpatrywali się w kudłatą postać, wypełniającą sobą prawie cały korytarz.

- Ehm... Schleppel, tego... - zająknął się Windle. - Czy mógłbyś oczyścić nam drogę?

- Żaden kłopot, panie Poons. Dla przyjaciela wszystko.

Dłoń wielkości taczek wysunęła się z mgły, chwyciła przeszkodę i wyrwała ją z nieprawdopodobną łatwością.

- No, popatrz na mnie! - powiedział Schleppel. - Masz rację. Strach potrzebuje drzwi jak ryba bacyku! Powtórz to i powtórz głośno, ale...

- A czy teraz mógłbyś się odsunąć? Proszę.

- Pewnie. Jasne. O rany!

Schleppel raz jeszcze uderzył w królową.

Wózek pomknął przed siebie.

- I lepiej chodź z nami! - krzyknął Windle, gdy Schleppel zniknął w kłębach mgły.

- Nie, lepiej nie - zaprotestował nadrektor. - Możesz mi wierzyć. Co to było?

- On jest strachem - wyjaśnił Windle.

- Myślałem, że strachy tkwią zwykle w szafach i różnych takich.

- On wyszedł z szafy - odparł z dumą Reg Shoe. - I odnalazł siebie.

- Bylebyśmy tylko my potrafili go zgubić.

- Nie możemy go przecież zostawić...

- Możemy - burknął Ridcully. - Naprawdę możemy. Za nimi rozległ się huk przypominający erupcję gazu bagienno. Obok przemknęły strumienie zielonego światła.

- Zaklęcia zaczynają wybuchać! - krzyknął dziekan. - Szybciej! Wózek wyskoczył z bramy i wzleciał w chłód nocy. Kółka piszczały.

- Yo! - huknął Ridcully, kiedy dum gapiów rozbiegał się przed nimi.

- Czy to znaczy, że ja też mogę powiedzieć "yo"? - upewnił się dziekan.

- Dobrze. Ale tylko raz. Każdy może powiedzieć "yo" jeden raz.

-Yo!

- Yo! - powtórzył Reg Shoe.

-Uuk!

- Yo! - zawołał Windle Poons.

- Yo! - powiedział Schleppeł.

(Gdzieś w ciemności, gdzie tłum był najrzadszy, wychudzona sylwetka pana hcolite, ostatniego żyjącego banshee, podbiegła do dygoczącego budynku i dyskretnie wsunęła pod drzwi karteczkę.

Na karteczce byio napisane: OOOOeeeOOOeeeOOOeee).

Wózek zarył się kółkami w ziemię i zahamował. Nikt się nie oglądał.

- Jesteś za nami, prawda? - zapytał wolno Reg Shoe.

- Zgadza się, Reg - potwierdził radośnie Schleppeł.

- Czy powinniśmy się martwić, bo może stanąć przed nami? -zapytał Ridcully. - Czy może jest jeszcze gorzej, ponieważ wiemy, że jest za nami?

- Ha! Ten strach już skończył z szafami i piwnicami! - oświadczył

Schleppel.

- To szkoda, bo na uniwersytecie mamy naprawdę wielkie piwnice - wtrącił pospiesznie Windle Poons. Schleppel zastanawiał się przez chwilę.

- Jak wielkie? - zapytał badawczo.

- Ogromne.

- Tak? Ze szczurami?

- Szczury to drobiazg. Siedzą w nich różne demony, które wyrwały się spod kontroli. Prawdziwa plaga.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Ridcully. - Przecież tu chodzi o nasze piwnice!

- Wolałby go pan pod własnym łóżkiem? - mruknął cicho Windle. - Czy żeby chodził za panem? Ridcully stanowczo kiwnął głową.

- To fakt, te nieszczęsne szczury naprawdę się rozpanoszyły - powiedział głośno. - Niektóre mają... no, chyba ze dwie stopy długości. Prawda, dziekanie?

- Trzy stopy - stwierdził autorytatywnie dziekan. - Co najmniej.

- I tłuste jak masło - dodał Windle. Schleppel pomyślał chwilę.

- No dobrze - zgodził się z ociąganiem. - Może przespaceruję się tam i rzucę okiem.

Wielki sklep eksplodował i implodował równocześnie. Uzyskanie takiego zjawiska jest prawie niemożliwe bez ogromnego budżetu efektów specjalnych albo trzech zaklęć, działających przeciwko sobie. Zjawisko przypominało trochę ogromną chmurę, rozszerzającą się, a jednocześnie oddalającą tak szybko, że wkrótce zmieniła się w punkt. Ściany wygięły się i zostały wessane. Wyrwana ze zdeptanych pól gleba zwinęła się w spiralny wir. Nastąpił gwałtowny wybuch niemuzyki, który ucichł niemal natychmiast.

A potem już nic, tylko błotniste pole.

I tysiące białych płatków, niczym śnieg spływające z porannego nieba. Opadały bezgłośnie i lądowały na głowach gapiów.

- To chyba nie nasiona? - wystraszył się Reg Shoe.

Windle chwycił jeden z płatków. Był to nieregularny prostokąt, nierówny i pobrudzony. Z pewną dozą wyobraźni można było rozróżnić słowa:

Likwidacja sklepu

Wszystko na sprzedaż!

- Nie - uspokoił Rega. - Chyba nie.

Spojrzał w niebo i uśmiechnął się. Nigdy nie jest za późno, żeby przeżyć dobre życie.

A kiedy nikt nie patrzył, ostatni ocalały wózek na Dysku zgrzytając smętnie, odtoczył się w zapomnienie nocy, zagubiony i samotny[18].

- **P**uka-gruka-fuk!

Panna Flitworth siedziała w kuchni. Z podwórza dochodziły smutne brzęki - to Ned Simnel i jego uczeń zbierali pogięte resztki Kombinatora Żniwnego. Garstka ludzi w teorii przysłała mu pomoc, ale tak naprawdę wykorzystywali okazję, żeby się rozejrzeć. Panna Flitworth zrobiła dla nich herbatę. Teraz siedziała z brodą opartą na dłoni i patrzyła w pustkę.

Ktoś zastukał w otwarte drzwi. Kurek wsunął swoją czerwoną twarz do

wnętrza.

- Przepraszam, panno Flitworth...

- Hm?

- Przepraszam, panno Flitworth, ale w stodole jest szkielet konia! Jesiano!

- Jak?

- Wszystko wypada z powrotem!

- Naprawdę? W takim razie go zatrzymamy. Przynajmniej tanio się wykarmi.

Kurek stał nieruchomo, mnąc w rękach kapelusz.

- Dobrze się pani czuje, panno Flitworth?

- **D**obrze się pan czuje, panie Poons? Windle wpatrywał się w pustkę.

- Windle! - zawołał Reg Shoe.

- Hm?

- Nadrektor pytał, czy czegoś byś się nie napił.

- Chciałby szklanę wody destylowanej - odpowiedziała pani Cake.

- Jak to, zwykłej wody? - zdziwił się Ridcully.

- Tego właśnie chce.

- Chciałbym szklanę wody destylowanej, jeśli można - poprosił Windle.

Pani Cake była wyraźnie zadowolona z siebie. A przynajmniej widoczna jej część wydawała się zadowolona z siebie, to znaczy fragment pomiędzy kapeluszem a torebką, która stanowiła odpowiednik kapelusza i była tak duża, że kiedy pani Cake siedziała i trzymała ją na kolanach, wyciągała ręce w górę, żeby dosięgnąć ucha.

Kiedy Evadne Cake dowiedziała się, że zaproszono jej córkę na uniwersytet, wybrała się także. Zawsze przyjmowała, że zaproszenie dla Ludmiły jest również zaproszeniem dla jej matki. Takie matki istnieją wszędzie i chyba nic nie można na to poradzić.

Członkowie klubu Od Nowa rozmawiali z magami i starali się wyglądać, jakby sprawiało im to przyjemność. Było to jedno z tych kłopotliwych spotkań z długimi okresami milczenia, przerywanych sporadycznymi chrząknięciami i izolowanymi zdaniami typu "Jak to miło".

- Przez chwilę byłeś jakby gdzie indziej, Windle - stwierdził Ridcully.
- Jestem po prostu trochę zmęczony, nadrektorze.
- Myślałem, że zombie nigdy nie śpią.
- Ale i tak jestem zmęczony.
- Na pewno nie chcesz, żebyśmy jeszcze raz spróbowali z tym grzebaniem i całą resztą? Tym razem załatwilibyśmy wszystko jak należy.
- Dziękuję za troskę, ale nie. Chyba nie jestem stworzony do życia pozagrobowego. - Windle zerknął na Rega Shoe. - Przykro mi. Nie wiem, jak ty sobie z rym radzisz. - Uśmiechnął się przepaszająco.
- Masz wszelkie prawo, żeby być żywym albo martwym, według własnego wyboru - oświadczył stanowczo Reg.
- Człowiek-Wiadro twierdzi, że ludzie znowu porządnie umierają - wtrąciła pani Cake. - Więc chyba mógłby się pan umówić na spotkanie.

Windle rozejrzał się.

- Zabrała pańskiego psa na spacer - wyjaśniła pani Cake.

- Gdzie jest Ludmiła? - zapytał Windle. I uśmiechnął się z przymusem. Przeczucia pani Cake potrafiły być męczące.

- Chciałbym być pewny, że ktoś zadba o Łupinę'a, kiedy ja... odejdę - powiedział. - Czy mogłaby pani wziąć go do siebie?

- Cóż...

- Ale on jest... - zaczął Reg Shoe i dostrzegł wyraz twarzy Windle.

- Chociaż muszę przyznać, że pies w domu bardzo by mnie uspokoił - przyznała pani Cake. - Stale się martwię o Ludmiłę. Tylu się wokół kręci dziwnych typów.

- Przecież pani co... - zaczął znowu Reg.

- Cicho bądź, Reg - przerwała mu Doreen.

- Więc sprawa załatwiona - ucieszył się Windle. - A ma pani jakieś spodnie?

- Co?

- Jakies spodnie w domu?

- Przypuszczam, że znajdzie się coś po zmarłym panu Cake. Ale czemu...

- Przepraszani. Nie panuję nad myślami. Czasami sam nie wiem, co mówię.

- Aha - ucieszył się Reg. - Już rozumiem. Chcesz powiedzieć, że kiedy on...

Doreen szturchnęła go mocno.

- Och - powiedział Reg. - Nie zwracajcie na mnie uwagi. Zapo-

mniałbym własnej głowy, gdyby nie była przyszyta.

Windle oparł się wygodnie i przymknął oczy. Słuchał oderwanych strzępków rozmów. Słyszał, jak Arthur Winkings pyta nadrektora, kto dekorował tu wnętrza i gdzie uniwersytet kupuje warzywa. Słyszał kwestora narzekającego na koszty wytępienia wszystkich przekleństw, które w tajemniczy sposób przetrwały ostatnie wydarzenia i zamieszkały w mroku pod dachem. A kiedy wyteżył swój doskonały słuch, wykrywał nawet radosne krzyki Schleppela w piwnicy.

Nie potrzebowali go. Nareszcie. Świat nie potrzebował już Windle Poonsa.

Wstał cicho i powłócząc nogami, ruszył do drzwi.

- Wychodzę - oznajmił. - Może to trochę potrwać.

Ridcully odruchowo skinął mu głową i skupił się na tym, co mówił Arthur - że Główny Hol mógłby wyglądać całkiem inaczej i że wystarczy do tego tapeta w sosnowy deseń.

Windle zamknął za sobą drzwi i oparł się o gruby, chłodny mur.

A tak... Było jeszcze coś.

- Jesteś tu, Człowieku-Wiadro? - zapytał. *skąd wiedziałeś?*

- Zwykle jesteś w pobliżu.

hę hę, narobileś niezłych kłopotów, wiesz, co się stanie przy najbliższej pełni księżyca?

- Tak, wiem. I myślę, że oni też jakoś wiedzą. *przecież on zmieni się w człowieka-wilka.*

- Tak. A ona w kobietę-wilka.

racja, ale co to za związek, jeśli mogą być razem tylko jeden tydzień na cztery ?

- Może to szansa na szczęście nie gorsza niż trafia się większości ludzi. Życie nie jest idealne, Człowieku-Wiadro.

mnie to mówisz ?

- Czy mogę ci zadać pytanie natury osobistej? - upewnił się Windle. - Wiesz, po prostu muszę to wiedzieć. *hm...*

- W końcu masz teraz płaszczyznę astralną tylko dla siebie. *no dobrze...*

- Dlaczego nazywasz się Człowiek...

i to wszystko? myślałem, że sam na to wpadniesz, w końcu sprytny z ciebie gość. w moim plemieniu tradycyjnie nadajemy imiona od pierwszej rzeczy, jaką zobaczy matka, kiedy wyjrzy z tipi po porodzie. Człowiek-Wiadro to skrócona forma od Człowiek Wylewający Wiadro Wody na Dwa Psy.

- Miałeś pecha - uznał Windle.

nie było tak źle, odparł Człowiek-Wiadro. mój brat bliźniak to naprawdę ma czego żałować, żeby nadać mu imię, matka wyjrzała dziesięć sekund wcześniej.

Windle zastanowił się.

- Nie mów, sam spróbuję zgadnąć - powiedział. - Dwa Psy, Które się Gryzą?

Dwa Psy, Które się Gryzą? się Gryzą?! zawołał Człowiek-Wiadro. rany, oddałby prawą rękę, żeby się nazywać Dwa Psy, Które się GRYŻĄ.

Nieco później dobiegła końca historia Windle'a Poonsa, . jeśli "historia" będzie tu oznaczała wszystko, co uczynił i co wprowadził w ruch. W wiosce w Ramtopach, gdzie tańczą taniec morris, wierzą na przykład, że nikt nie jest ostatecznie martwy, dopóki nie uspokoją się zmarszczki, jakie wzbudził na powierzchni rzeczywistości - dopóki zegar przez niego

nakręcony nie stanie, dopóki wino przez nią nastawione nie dokończy fermentacji, dopóki plon, jaki zasiali, nie zostanie zebrany. Czas trwania czyjegoś życia, twierdzą tam, to tylko jądro rzeczywistego istnienia.

Idąc przez zamglone miasto na spotkanie, na które czekał od dnia swych urodzin, Windle czuł, że potrafi przewidzieć ten ostateczny koniec.

Nastąpi za kilka tygodni, kiedy znowu wejdzie księżyc w pełni. Coś w rodzaju przypisu czy załącznika do życia Windle'a Poonsa -urodzonego w Roku Znaczącego Trójkąta, w Wieku Trzech Wszy (zawsze wolał dawny kalendarz z jego starożytnymi nazwami niż te nowomodne numery, jakich wszyscy dziś używali) i zmarł w Roku Hipotetycznego Węża, w Wieku Nietoperza - mniej więcej.

Na wrzosowiskach pojawią się wtedy dwie biegnące sylwetki. Nie do końca wilki, nie całkiem ludzie... Przy odrobinie szczęścia zdobędą to, co najlepsze z obu światów. Będą nie tylko czuć, ale i wiedzieć.

Zawsze najlepiej mieć oba światy.

Śmierć siedział w fotelu w swoim mrocznym gabinecie, z dłońmi złożonymi przed twarzą.

Od czasu do czasu obracał fotel w jedną i w drugą stronę.

Albert przyniósł mu filiżankę herbaty i wycofał się dyplomatycznie.

Na biurku stał jeden życiomierz. Śmierć mu się przypatrywał.

Obrót, obrót. Obrót, obrót.

W holu na zewnątrz wielki zegar tykał, zabijając czas.

Śmierć zabębnił kościstymi palcami o drewniany blat. Przed nim, ułożone w stos, z dobieranymi naprędce zakładkami, leżały życiorysy największych kochanków Dysku[19]. Ich dość monotonne przeżycia w

niczym mu nie pomogły.

Wstał wreszcie, podszedł do okna i wyrżał na swą mroczną dziedzinę. Za plecami na przemian zaciskał i prostował palce.

Po chwili chwycił życiomierz i wyszedł z gabinetu.

Pimpuś czekał w ciepłym zaduchu stajni. Śmierć osiodłał go szybko, wyprowadził na dziedziniec, a potem odjechał w noc, w stronę odległego, migotliwego klejnotu Dysku.

Wylądował bezgłośnie na podwórzu farmy, o zachodzie słońca.

Przepłynął przez ścianę.

Stanął u stóp schodów.

Uniósł klepsydrę i obserwował upływ czasu.

I nagle znieruchomiał. Było coś jeszcze, czego chciał się dowiedzieć. Bill Brama bywał ciekawy różnych spraw, a on pamiętał wszystko z czasów, kiedy był Billem Bramą. Mógł się przyglądać emocjom rozłożonym niby schwyte motyle, przypięte do korków pod szkłem.

Bili Brama był martwy, a w każdym razie zakończył swe krótkie istnienie. Ale... jak to szło?... Czas trwania czyjegoś życia to tylko jądro rzeczywistego istnienia? Bill Brama odszedł, lecz pozostawił echa. Coś się należało jego pamięci.

Śmierć zawsze się zastanawiał, dlaczego ludzie kładą kwiaty na grobach. Jego zdaniem nie miało to sensu. W końcu ktoś martwy był już poza zasięgiem zapachu róż. A teraz... Nie o to chodzi, że zrozumiał, ale czuł, że istnieje coś zdolnego do zrozumienia.

W mroku za kotarami w saloniku panny Flitworth ciemniejszy kształt przesuwiał się w ciemności w stronę trzech skrzyń na kredensie.

Śmierć otworzył jedną z mniejszych. Była pełna złotych monet. Wyglądały na niedotykane. Sprawdził w drugiej - także wypełniało ją złoto.

Oczekiwał po pannie Flitworth czegoś więcej, choć nawet Bill Brama by pewnie nie wiedział czego.

Sprawdził największą skrzynię.

Na wierzchu znalazł warstwę bibułki. Pod nią coś białego i jedwabnego, a także jakby welon, teraz pożółkły już i kruchy ze starości. Przyjrzał mu się, nie pojmując, i odłożył na bok. Była też para białych bucików. Zupełnie niepraktyczne przy pracy na farmie, pomyślał. Nic dziwnego, że leżą w skrzyni.

Głębiej znów papier: plik związanych razem listów. Odłożył je na welon. Niczego nie można się dowiedzieć, obserwując, co istoty ludzkie do siebie piszą - język był tam tylko po to, żeby ukryć myśli.

A dalej, na samym dnie, małe puzderko. Wyjął je i obrócił w dłoniach. Potem odsunął malutki haczyk i otworzył wieczko.

Zabrzęczał mechanizm.

Melodia nie była szczególnie udana. Śmierć słyszał całą muzykę, jaką kiedykolwiek napisano, i prawie wszystkie utwory były lepsze od tego. Jakby coś w nim wystukiwało metaliczny rytm raz, dwa, trzy.

Wewnątrz pudełka, ponad brzęczącymi pracowicie trybikami, wirowała w parodii walca para drewnianych tancerzy.

Śmierć patrzył na nich, póki nie rozwinęła się sprężyna. Potem przeczytał napis.

To był prezent.

Tuż obok życiometer przesypywał ziarna piasku do dolnej części. Śmierć nie zwracał na niego uwagi.

Kiedy mechanizm stanął, nakręcił go jeszcze raz. Dwie figurki, wirujące przez czas. Gdy muzyka cichła, wystarczyło pokręcić kluczykiem.

Znowu zamilkła, a on siedział w ciszy i ciemności, aż podjął decyzję.

Zostały tylko sekundy. Sekundy wiele znaczyły dla Billa Bramy, ponieważ miał ich ograniczony zapas. Dla Śmierci nie znaczyły nic, ponieważ nie miał ich wcale.

Opuścił uśpiony dom, dosiadł konia i odjechał.

Jedną chwilę zajęła mu droga, na którą zwykle światło straciłoby trzysta milionów lat - ale Śmierć podróżuje wewnątrz przestrzeni, gdzie Czas nie ma znaczenia. Światło wierzy, że przemieszcza się szybciej od wszystkiego, ale się myli. Nieważne, jak szybko pędzi, zawsze odkrywa, że ciemność dotarła na miejsce wcześniej i już na nie czeka.

Miał w drodze towarzystwo: galaktyki, gwiazdy, wstęgi lśniącej materii, sunące, a w końcu opadające spiralami ku odległemu celowi.

Śmierć na swym jasnym wierzchovcu pędził przez ciemność niby pęcherz powietrza na rzece.

A każda rzeka dokądś płynie.

I wreszcie, w dole - równina. Odległość jest tu równie pozbawiona znaczenia jak czas, ale istnieje wrażenie ogromu. Równina mogła leżeć o milę lub o milion mil od niego; znaczyły ją głębokie doliny czy koryta, które rozbiegły się na boki, gdy nadjeżdżał.

Wylądował.

Zsiadł z konia i stanął w milczeniu.

Zmiana perspektywy. Pocięty dolinami pejzaż rozciąga się na niezmierzone odległości, zagina na brzegach i zmienia w czubek palca.

Azrael uniósł palec do twarzy wypełniającej niebo, oświetlonej słabym blaskiem konających galaktyk.

Istnieje miliard Śmierci, ale wszystkie są aspektami jednego: Azraela, Wielkiego Atraktora, Śmierci Wszechświatów, początku i końca Czasu.

Większa część wszechświata zbudowana jest z ciemnej materii i tylko

Azrael ją zna. ,

Oczy tak wielkie, że zwykła supernowa byłaby tylko sugestią błysku na źrenicy, przesunęły się z wolna i zogniskowały na maleńkiej figurce, stojącej na ogromnej, pociętej pętlami powierzchni jego palca. Obok Azraela, pośrodku całej pajęczyny wymiarów, zawisł tykający wielki Zegar. Gwiazdy błyszcząły w oczach Azraela. Śmierć Dysku wyprostował się i rzekł: PANIE, PROSZĘ O...

Trzej słudzy zapomnienia wsunęli się w istnienie tuż obok niego.

Któryś powiedział: Nasłuchaj. Jest oskarżony o wtrącanie się.

Któryś powiedział: I o śmierciobójstwo.

Któryś powiedział: I dumę. I życie z intencją przeżycia.

Któryś powiedział: I wsparcie chaosu przeciwko porządkowi.

Azrael uniósł brew.

Słudzy wyczekująco odsunęli się od Śmierci.

PANIE, WIEM, ZE NIE MA DOBREGO PORZĄDKU Z WYJĄTKIEM TEGO, KTÓRYTWORZYMYS...

Wyraz twarzy Azraela się nie zmienił.

NIE MA NADZIEI PRÓCZ NAS. NIE MA LITOŚCI PRÓCZ NAS. NIE MA SPRAWIEDLIWOŚCI. JESTEŚMY TYLKO MY.

Ciemna, smutna twarz wypełniła niebo.

WSZYSTKIE RZECZY, KTÓRE SĄ, SĄ NASZE. ALE MUSIMY O NIE DBAĆ. PONIEWAŻ JEŚLI NIE DBAMY, NIE ISTNIEJEMY. AJEŚLI NIE ISTNIEJEMY, NIE MA JUŻ NIC, TYLKO ŚLEPE ZAPOMNIENIE.

ALE NAWET ZAPOMNIENIE PEWNEGO DNIA MUSI SIĘ SKOŃCZYĆ. PANIE, CZYZECHCESZ DAĆ MI TROCHĘ CZASU? DLA

WŁAŚCIWEJ RÓWNOWAGI RZECZY. ABY ZWRÓCIĆ TO, CO DANE.
PRZEZ WZGLĄD NA WIĘŹNIÓW I PTAKI.

Śmierć cofnął się o krok.

Na twarzy Azraela nie dało się odczytać żadnego wyrazu.

Śmierć zerknął z ukosa na sługi.

PANIE, NA CO MOŻE PLON MIEĆ NADZIEJĘ, JEŚLI NIE NA
TROSKĘ KOSIARZA?

Czekał.

PANIE? powiedział.

W czasie, jaki upłynął, kijka galaktyk rozwinęło się, zakręciło wokół
Azraela jak papierowe wstęgi, zbiegło w punkt i zniknęło.

I wreszcie Azrael powiedział:

TAK

A drugi palec sięgnął przez ciemność do *Zegara*.

Zabrzmiał cichy wrzask wściekłości trzech sług, potem okrzyki zrozumienia, i wreszcie syk trzech krótkotrwałych błękitnych płomieni.

Wszystkie inne zegary, nawet pozbawiony wskazówek zegar Śmierci, były odbiciami jedyne Zegara. Dokładnymi odbiciami Zegara: mówiły wszechświatowi, jaki jest czas, ale Zegar mówił, czyj jest czas. Był źródłem, z którego cały czas wypływał.

A jego konstrukcja była taka, że główna wskazówka obiegała tarczę tylko raz.

Wskazówka sekundowa mknęła po kolistej ścieżce, na którą nawet światło potrzebowało dni, wiecznie ścigana przez minuty, godziny, dni, miesiące, lata, wieki i epoki. Ale wskazówka wszechświata obracała się jeden raz.

Przynajmniej dopóki ktoś nie nakręcił mechanizmu.

A Śmierć wrócił do domu z garstką Czasu.

Brzęknął dzwonek nad drzwiami.

Druto Pole, kwiaciarz, spojrzał ponad bukietem róż. Ktoś stał między wazonami. Wydawał się trochę niewyraźny; nawet później Druto nie był pewien, kto właściwie odwiedził go w sklepie i jak naprawdę brzmiały jego słowa. Zacierając ręce podszedł bliżej.

- Czym mogę słu...

KWIATY -

Druto wahał się tylko przez moment.

- A jakie jest, hm, przeznaczenie owych...

DLA DAMY.

-Czy ma pan jakieś szcze...

KALIE.

- Tak? Jest pan pewien, że kalie to odpo...

LUBIĘ KALIE.

- No tak... Chciałem tylko zauważyć, że kalie są nieco posępne.

LUBIĘ POSEP...

Przybysz zawahał się.

CO PAN PROPONUJE?

Druto gładko wszedł w tryb roboczy.

- Róże zawsze są dobrze widziane - zapewnił. - Lub orchidee. Wielu dżentelmenów ostatnio zapewniało mnie, że damy uznają pojedynczą orchideę za piękniejszą od bukietu róż...

POPROSZĘ DUŻO.

- Życzy pan sobie róże czy orchidee?

OBIE.

Palce Druta poruszały się płynnie niczym węgorze w oleju.

- Może zdołałbym zainteresować pana również tymi przepięknymi gałązkami Nervousa Gloriosa...

PROSZĘ ICH DUŻO.

- I jeśli nie obciąży to zbytnio pańskiego budżetu, zaproponowałbym jeszcze pojedynczy okaz tej niezwykle rzadkiej...

TAK

- A może...

TAK. WSZYSTKO. ZE WSTĄŻECZKĄ.

Kiedy dzwonek nad drzwiami pożegnał klienta, Druto obejrzał monety w dłoni. Wiele z nich było skorodowanych, wszystkie bardzo dziwne, a jedna czy dwie złote.

- Um... - mruknął. - To całkiem wystarczy. I nagle zdał sobie sprawę, że słyszy cichy szelest. Wokół niego, w całym sklepie, płatki kwiatów opadały jak deszcz.

A TE?

- To nasz asortyment De Luxe - odparła kobieta w sklepie z czekoladkami. W przybytkach tak eleganckich nie sprzedaje się cukierków, tylko łakocie, często w formie pojedynczych, opakowanych w złoto czekoladowych wirów, które robią nawet większe dziury na koncie niż w zębach.

Wysoki klient w czerni wybrał bombonierkę wielkości mniej więcej dwóch stóp kwadratowych. Na wieczku podobnym do satynowej poduszki był obrazek pary beznadziejnie zezowatych kociąt wyglądających z buta.

DLACZEGO PUDEŁKO JEST OBSZYTE? MA SŁUŻYĆ DO SIEDZENIA? CZY CZEKOLADKI W ŚRODKU PACHNĄ KOTAMI?, dodał groźnym tonem, a raczej tonem jeszcze groźniejszym niż do tej chwili.

- Ależ nie. To nasz asortyment Supreme.

Klient odrzucił bombonierkę na bok.

NIE.

Sprzedawczyni rozejrzała się na obie strony, po czym otworzyła szufladę pod ladą, równocześnie zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

- Oczywiście - powiedziała. - Na tak szczególną okazję...

Bombonierka była niewielka. Była też całkowicie czarna, z wyjątkiem nazwy wypisanej małymi białymi literami. Kotów, nawet z różowymi kokardkami na szyjach, nie dopuszczono by na odległość mili od takiego pudełka. Aby wręczyć damie taką bombonierkę, przybysze w czerni wyskakiwali z kolejek linowych i zjeżdżali na linach z budynków.

Przybysz w czerni przyjrzał się napisowi.

“MROczne OCZAROWANIA”, odczytał. PODOBA MI SIĘ.

- Dla tych intymnych chwil - szepnęła kobieta. TAK TO CHYBA ODPOWIEDNIE. Sprzedawczyni rozpromieniła się.

- Czy mam zapakować? TAK ZE WSTĄŻECZKĄ.

- Czy jeszcze coś, proszę pana? Klient nagle jakby wpadł w panikę.

JESZCZE? POWINNO BYĆ COŚ JESZCZE? JEST COŚ JESZCZE? CO TAKIEGO TRZEBA JESZCZE ZROBIĆ?

- Nie zrozumiałam.

CHODZI O PREZENT DLA DAMY.

Sprzedawczyni była trochę zagubiona tą nagłą zmianą toru konwersacji. Chwyciła się więc wygodnego banału.

- No cóż, mówi się, prawda, że diamenty są najlepszym przyjacielem dziewczyny.

DIAMENTY? AHA. DIAMENTY. RZECZYWIŚCIE?

Migotały niczym odpryski światła gwiazd na czarnym aksamicie nieba. ,

- Ten - powiedział kupiec. - Przepiękny kamień. Proszę zwrócić uwagę na blask, na wyjątkowy...

JAK BARDZO JEST PRZYJAZNY?

Kupiec zawahał się. Znal się na karatach, twardości, połysku, wiedział, co to "ogień", "woda" i szlif. Ale nigdy dotąd nie kazano mu oceniać kamieni pod względem charakteru.

- Dobrze usposobiony? - zaryzykował.

NIE.

Palce kupca pochwyciły kolejny odprysk zamrożonego światła.

- Ten natomiast... - do jego głosu powróciła pewność - ...pochodzi ze słynnej kopalni Shortshanks. Pozwoli pan, że zwrócę jego uwagę na te cudowne...

Poczuł, że przenikliwy wzrok przewierca mu czaszkę.

- Chociaż nie jest, muszę przyznać, znany ze swej przyjaznej postawy.

Klient w czerni rozejrzał się z dezaprobatą. W półmroku, za trolloodpornymi kratami, klejnoty lśniły jak oczy smoków w głębi jaskini.

CZY KTÓRYKOLWIEK Z NICH JEST PRZYJAZNY?

- Szanowny panie, mogę chyba powiedzieć, nie obawiając się zaprzeczenia, że nigdy nie opieraliśmy naszej polityki zakupów na charakterze i usposobieniu kamieni - przyznał kupiec.

Czuł się nieswojo. Wyczuwał, że coś jest nie w porządku, a gdzieś w najdalszym zakątku umysłu wiedział, co to takiego, jednak mózg w jakiś niezwykle sposób nie dopuszczał do ostatecznych wniosków. I to go irytowało.

GDZIE SIĘ ZNAJDUJE NAJWIĘKSZY DIAMENT NA ŚWIECIE?

- Największy? Prosta sprawa. To Łza Offlera, a znajduje się w wewnętrznym sanktuarium Zagubionej Złotej Świątyni Przeznaczenia Offlera, Boga Krokodyla, w najciemniejszym Howondalandzie. Waży osiemset pięćdziesiąt karatów. I uprzedzając pańskie pytanie, tak, osobiście poszedłbym z nim do łóżka.

Jedną z przyjemniejszych stron funkcji kapłana w Zagubionej Złotej Świątyni Przeznaczenia Offlera, Boga Krokodyla była możliwość wcześniejszych powrotów do domu prawie każdego popołudnia. To dlatego że świątynia była zagubiona. Większość wyznawców nie mogła do niej trafić. Czyli ci, którzy mieli szczęście.

Tradycyjnie tylko dwie osoby mogły wchodzić do wewnętrznego sanktuarium. Najwyższy kapłan i drugi kapłan, który nie był najwyższy. Pracowali na tych stanowiskach od lat i zajmowali to stanowisko na zmianę. Nie mieli wielu obowiązków, jako że potencjalni wyznawcy byli przez liczne pułapki nabijani na pale, miażdżeni, truci albo cięci na plasterki, zanim jeszcze dotarli do niewielkiej skarbonki i zabawnego rysunku termometru* przed zakrystią.

Grali właśnie w Okalecz Pana Cebulę na głównym ołtarzu, w cieniu wysadzanego klejnotami posągu samego Offlera, kiedy usłyszeli w dali zgrzyt głównej bramy.

Najwyższy kapłan nawet nie podniósł głowy.

- No, no - mruknął. - Następny chętny pod wielką toczącą się kulę.

Grzmotnęło, po czym rozległy się huki i zgrzyty. A potem wyraźne końcowe uderzenie.

- Do rzeczy - powiedział najwyższy kapłan. - Jaka jest stawka?

- Dwa kamyki - odparł niższy kapłan.

- Dobrze. - Najwyższy kapłan obejrzał swoje karty. - Dokładam te dwa kamyki...

Usłyszeli dalekie kroki.

- W zeszłym tygodniu ten chłopak z pejczem dotarł aż do wielkich i ostrych kolców - przypomniał niższy kapłan.

Zabrzmiało dźwięk przypominający spuszczenie wody w bardzo starej i wyschniętej toalecie. Kroki ucichły.

Najwyższy kapłan uśmiechnął się pod nosem.

- Dobrze - powtórzył. - Daję te dwa kamyki i podnoszę jeszcze o dwa.

Niższy kapłan rzucił karty na ołtarz.

- Podwójny Cebula - oznajmił.

Najwyższy kapłan obejrzał je podejrzliwie. Niższy kapłan sprawdził na świstku papieru.

- Jesteś mu już winien trzysta tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt cztery kamyki - poinformował.

- Fundusz naprawy dachu Zagubionej Złotej Świątyni! Jeszcze tylko 6000 sztuk złota!! Wesprzyj nas ofiarą!!! Dziękujemy!!!

Znów usłyszeli kroki. Wymienili spojrzenia.

- Dawno już nie mieliśmy nikogo w korytarzu zatrutych strzałek — stwierdził najwyższy kapłan.

- Stawiam pięć, że dojdzie - zaproponował niższy.

- Wchodzę.

Usłyszeli ciche stukanie metalowych grotów na kamieniach.

- Aż żal odbierać ci kamyki. Znowu dobiegł ich odgłos kroków.

- No dobrze, ale jest jeszcze... - zgrzyt, plusk - ...basen z krokodylami. Kroki.

- Nikt jeszcze nigdy nie przeszedł obok strasznego strażnika bram...

Kapłani spojrzeli nawzajem na swe przerażone twarze.

- Zaraz - rzucił ten, który nie był najwyższy. - Nie sądzisz chyba, że to...

- Tutaj? Daj spokój. Jesteśmy w samym środku przeklętej dżungli. - Najwyższy próbował się uśmiechnąć. - W żaden sposób... Kroki były coraz bliżej. Kapłani objęli się ze zgrozą.

- Pani Cake!

Drzwi wpadły do wnętrza. Czarny wiatr dmuchnął przez sanktuarium, pogasił świece i rozrzucił karty niczym płatki śniegu w groszki.

Kapłani usłyszeli zgrzyt bardzo dużego diamentu wyjmowanego z oprawy.

DZIĘKUJĘ.

Po chwili, w której mieli wrażenie, że nie dzieje się już nic więcej, kapłan, który nie był najwyższy, znalazł pudełko z hubką i po kilku nieudanych próbach zapalił świece.

Poprzez tańczące cienie spojrzeli w górę na posąg, gdzie ział otwór, w którym powinien tkwić bardzo duży diament.

Po chwili najwyższy kapłan westchnął ciężko.

- Spójrzmy na to z tej strony - zaproponował. - Poza nami dwoma, kto się o tym dowie?

- Fakt. Nigdy w ten sposób nie myślałem. Słuchaj, czy jutro ja mógłbym być najwyższym kapłanem?

- Twoja kolej wypada dopiero w czwartek.

- No zgódź się.

Najwyższy kapłan wzruszył ramionami i zdjął z głowy pióropusz najwyższego kapłana.

- To naprawdę przykre - stwierdził, zerkając na obrabowany posąg. - Niektórzy ludzie zwyczajnie nie potrafią się zachować w domu bożym.

Śmierć przeniknął przez świat i raz jeszcze wylądował na podwórzu farmy. Słońce opadło na horyzont, kiedy zastukał do kuchennych drzwi. Panna Flitworth otworzyła, wycierając dłonie o fartuch. Mrużąc krótkowzroczne oczy, przyjrzała się gościowi i cofnęła się o krok.

- Bill Brama? Ależ mnie wystraszyłeś.

PRZYNIOSŁEM PANI KWIATY.

Patrzyła na suche, martwe łodygi.

I PUDEŁKO CZEKOLADEK. TAKICH, JAKIE LUBIĄ DAMY

Patrzyła na niewielką czarną bombonierkę.

A TU JEST DIAMENT, ŻEBY SIĘ Z PANIĄ ZAPRZYJAŻNIŁ.

Diament pochwycił ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Panna Flitworth wreszcie odzyskała mowę.

- Billu Bramo, co ty właściwie zamierzasz?

PRZYSZEDŁEM ZABRAĆ PANIĄ OD TEGO WSZYSTKIEGO.

- Naprawdę? A dokąd?

Śmierć nie planował aż tak daleko.

DOKĄD BY PANI CHCIAŁA?

- Nie zamierzam chodzić dzisiaj nigdzie indziej, jak tylko na tańce -
oznajmiła stanowczo panna Flitworth. Tego Śmierć również nie planował.

CO TO ZA TAŃCE?

- Tańce plonów. Nie wiesz? To taka tradycja. Kiedy zbierze się już
plon. Coś w rodzaju święta, jakby dziękczynienie.

DZIĘKCZYNIE KEMU?

- Nie wiem. Chyba nikomu konkretnemu. Po prostu ogólne
podziękowanie. Tak przypuszczam.

ZAMIERZAŁEM POKAZAĆ PANI CUDA. NAJPIĘKNIEJSZE
MIASTA. COKOLWIEK PANI ZECHCE.

- Cokolwiek?

TAK I

- W takim razie chcę iść na tańce, Billu Bramo. Co roku chodzę. Liczą
na mnie. Wiesz, jak to jest.

TAK, PANNO FLITWORTH. Ujął jej dłoń.

- Jak to? Już? - zdziwiła się. - Nie jestem gotowa...

PROSZĘ SPOJRZEĆ.

Popatrzyła na to, co nie wiadomo skąd miała na sobie.

- To nie moja suknia. Strasznie błyszcząca.

Śmierć westchnął. Najwspanialszy kochanek w historii nigdy nie spotkali panny Flitworth. Przy niej sam Casanuda oddałby swoją drabinę.

TO DIAMENTY. KRÓLEWSKI QKUP W DIAMENTACH.

- Za którego króla?

ZA DOWOLNEGO.

- O rany...

Pimpuś biegł lekko drogą do miasta. Po trasie do nieskończoności zwykły zakurzony gościniec był raczej wypoczynkiem.

Siedząc bokiem za Śmiercią, panna Flitworth badała szeleszczącą zawartość Mrocznych Oczarowań.

- Coś podobnego - powiedziała. - Ktoś wyjadł wszystkie rumowe trufle. - Znowu zaszeleścił papier. - Z dolnej warstwy też. Nie cierpię, kiedy ktoś zaczyna dolną warstwę, zanim porządnie skończy się górna. I można poznać, że to zrobił, bo na wieczku jest taka mapka, i właśnie tutaj powinny być trufle rumowe. Billu Bramo?

PRZEPRASZAM, PANNO FLITWORTH.

- Ten wielki diament jest trochę ciężki. Chociaż ładny - przyznała niechętnie. - Skąd go wziąłeś?

OD LUDZI, KTÓRZY WIERZĄ, ŻE TO ŁZA BOGA.

- A jest nią?

NIE. BOGOWIE NIGDY NIE PŁACZĄ. TO ZWYKŁY WĘGIEL, PODDANY WYSOKIEJ TEMPERATURZE I CIŚNIENIU. NIC WIĘCEJ.

- Wewnątrz każdej bryły węgla tkwi diament, który czeka, żeby się wydostać. Prawda?

TAK, PANNO FLITWORTH.

Przez chwilę słychać było tylko stukanie końskich kopyt.

- Wiem, co planujesz - oznajmiła wreszcie z godnością panna Flitworth. - Widziałam, ile zostało piasku. Pomyślałeś sobie: "Nie była zła. Pozwolę jej się zabawić parę godzin, a potem, kiedy nie będzie się spodziewać, przyjdzie pora na cut-de-grass". Mam rację?

Śmierć nie odpowiadał.

- Mam rację, prawda?

NIC SIĘ PRZED PANIĄ NIE UKRYJE, PANNO FLITWORTH.

- Hm... Pewnie powinno mi to pochlebiać, co? Na pewno masz dużo spraw do załatwienia.

WIĘCEJ, NIŻ MOŻE PANI SOBIE WYOBRAZIĆ, PANNO FLITWORTH.

- No cóż, w tej sytuacji możesz chyba znowu mówić mi po imieniu.

Na łące za polem łuczniczym płonęło ognisko. Śmierć widział poruszające się w blasku sylwetki. Od czasu do czasu jakiś udręczony pisk sugerował, że ktoś stroi skrzypce.

- Zawsze przychodzę na taniec plonów - rzuciła swobodnie panna Flitworth. - Nie żeby tańczyć, ma się rozumieć. Zwykle dbam o jedzenie i w ogóle.

DLACZEGO?

- Ktoś przecież musi przypilnować jedzenia.

CHCIAŁEM ZAPYTAĆ, DLACZEGO NIE TAŃCZYSZ, RENATO.

- Bo jestem stara. Dlatego.

JESTEŚ TAK STARA, JAK CI SIĘ WYDAJE.

- Ha. Tak? Tak uważasz? Ludzie zawsze opowiadają takie głupoty. Powtarzają: A niech mnie, świetnie wyglądasz. Albo: W starym piecu demon pali. I jeszcze: Stare skrzypce skocznie grają. Takie rzeczy. Ale to głupie. Jakby starość była czymś, z czego należy się cieszyć. Jakby dawali dobre oceny za filozoficzne podejście do starości. Moja głowa wie, jak myśleć młodo, ale kolanom jakoś to nie wychodzi. Albo krzyżowi. Ani zębom. Spróbuj przekonać moje kolana, że są tak stare, jak im się wydaje, a sam zobaczysz, co ci z tego przyjdzie. I im.

MOŻE WARTO SPRÓBOWAĆ.

Coraz więcej postaci przesunęło się w świetle ogniska. Śmierć widział już słupy pomalowane w paski i połączone sznurami chorągiewek.

- Zwykle chłopcy przynoszą wrota od stodoły i zbijają je razem, żeby była solidna podłoga - wyjaśniła panna Flitworth. - I wtedy wszyscy mogą się bawić.

TANCE LUDOWE? spytał czujnie Śmierć.

- Nie. Mamy przecież swoją dumę.

PRZEPRASZAM.

- Hej, to przecież Bill Brama! - zawołała jakaś postać, wynurzając się z mroku.

- To dobry stary Bill!

- Cześć, Bill!

Śmierć spojrzał na krąg szczerych twarzy.

WITAJCIE, PRZYJACIELE.

- Słyszeliśmy, że wyjechałeś - powiedział Diuk Dennik. Zobaczył pannę Flitworth, której Śmierć pomógł zsiąść z Pimpusia. Głos mu zadrzął, kiedy Diuk usiłował przeanalizować sytuację. - Pani... aż się pani skrzy, panno Flitworth dokończył szarmancko.

Powietrze pachniało ciepłą, wilgotną trawą. Amatorska orkiestra ustawiała się pod płóciennym daszkiem.

Na kozłach leżały blaty zastawione jedzeniem, jakie zwykle kojarzy się ze słowem "piknik" - mięsne paszteciki niby lśniące wojskowe fortyfikacje, garnki demonicznej marynowanej cebuli, pieczone ziemniaki pływające się w cholesterolowym oceanie topionego masła. Niektórzy z najstarszych mieszkańców zajęli już miejsca na ustawionych dla nich ławach i ze stoickim spokojem przeżuwali -często bezzębnie - kolejne porcje. Sprawiali wrażenie ludzi gotowych przesiedzieć tu całą noc, jeśli zajdzie potrzeba.

- Miło widzieć, że staruszkowie też się bawią - stwierdziła panna Flitworth.

Śmierć przyjrzał się jedzącym. Większość była młodsza od panny Flitworth.

Z pachnącej ciemności za ogniskiem dobiegł zduszony chichot.

- I młodzi - dodała spokojnie panna Flitworth. - Mieliśmy takie powiedzenie o tej porze roku. Zaraz, jak to szło... Tak jakoś:

"Kukurydza dojrzewa, ciemnieją orzechy, halki idą w górę..." i coś tam.

- Westchnęła. - Ależ ten czas leci, prawda?

TAK.

- Wiesz, Bill, może i miałeś rację co do mocy pozytywnego myślenia. Dzisiaj czuję się o wiele lepiej.

NAPRAWDE?

Panna Flitworth spojrzała w zadumie na estradę taneczną.

- Świetnie tańczyłam jako młoda dziewczyna. Mogłam prze-tańczyć każdego. Mogłam przetańczyć cały księżyc. Mogłam prze-tańczyć wschód słońca.

Sięgnęła za głowę i wyjęła spinki, trzymające jej włosy w ciasnym koczku. Potrząsnęła głową i opadły białym wodospadem.

- Zakładam, że umiesz tańczyć, Billu Bramo?

JESTEM Z TEGO ZNANY, RENATO.

Pod daszkiem pierwszy skrzypek skinął na kolegów. Wsunął instrument pod brodę i zastukał nogą o deski.

- Raz! Dwa! Raz, dwa, trzy, cztery...

Wyobraźcie sobie pola zalane pomarańczowym blaskiem . płynącego nad nimi księżyc. A w dole krąg światła ogniska w pośród nocy.

Grali stare przeboje: kadryle i korowody, wirujące, złożone rytrny, przy których tancerze - gdyby nosili pochodnie - kreśliliby topologiczne sieci o złożoności poza zasięgiem zwykłej fizyki. Były tańce, które skłaniają całkiem normalnych ludzi do wykrzykiwania „Jo-si-do!” albo „Aha-ha!” i nie odczuwania wstydu jeszcze przez długi czas.

Kiedy usunięto padłych, ocaleli przeszli do polek, mazurków i fokstrotów, a potem do tańców, gdzie ludzie budują z rąk sklepienie, a inni ludzie mają pod nim przetańczyć - które to tańce, przypadkiem, oparte są na ludowych wspomnieniach egzekucji, i jeszcze innych, kiedy ludzie tworzą krąg, które z kolei oparte są na ludowych wspomnieniach zarazy.

I we wszystkich tańcach dwie osoby szalały tak, jakby jutro miało już nie nastąpić.

Pierwszy skrzypek niejasno pamiętał, że kiedy przerwał, by nabrać tchu, jakaś wirująca i stepująca postać wysunęła się spośród tańczących, a

jakiś głos przy jego uchu powiedział:

BĘDZIESZ KONTYNUOWAŁ, OBIECUJĘ.

Kiedy przerwał po raz drugi, wielki jak pięść diament wylądował mu u stóp i niższa rozkołysana postać wysunęła się spomiędzy tancerzy.

- Jeśli chłopcy nie będą grać dalej, Williamie Kurku, osobiście się postaram, żeby całkiem zatruć ci życie.

I powróciła w tłum rozgrzanych ciał.

Skrypek zerknął na diament. Mógłby wykupić z niewoli pięciu dowolnych władców tego świata. Kopnął go szybko za siebie.

- Twój łokieć doznał wzmocnienia, co? - uśmiechnął się bębniarz.

- Zamknij się i graj!

Wyczuwał, że na czubkach palców pojawiają mu się melodie, których mózg nie znał. Bębniarz i dudziarz także je czuli. Muzyka wylewała się skądś; to nie oni ją grali - to ona grała nimi.

CZAS ZACZAĆ NOWY TANIEC.

- Duuurrump-da-dum-dum - zanucił skrzypek. Pot ściekał mu po brodzie, gdy uległ nowemu rytmowi.

Tancerze zakręcili się niepewnie, nie znając kroków. Ale jedna para sunęła między nimi drapieźnie przechylona, wyciągając złączone ramiona niczym bukszpryt pirackiego okrętu. Na końcu estrady zawrócili z wymachem kończyn, zdającym się przeczyć normalnej anatomii, i ruszyli promenadą przez tłum.

- Jak się nazywa?

TANGO.

- Można za to trafić do więzienia?

NIE PRZYPUSZCZAM.

- Zadziwiające. Muzyka się zmieniała.

- A ten znam. To quirmiański taniec byków! O-le!

“Z MLEKIEM” ?

Nagle w rytmie muzyki rozległa się szybka kanonada głuchych, ostrych dźwięków.

- Kto gra na marakasach? Śmierć uśmiechnął się tylko.

MARAKASY? NIE POTRZEBUJĘ... MARAKASÓW.

A potem stało się teraz.

Księżyc zmienił się we własne widmo ponad horyzontem. Z drugiej strony rozlewał się już odległy brzask nadchodzącego dnia.

Zeszli z tanecznej estrady.

Cokolwiek podtrzymywało orkiestrę w godzinach nocy, teraz odpływało powoli. Muzycy spoglądali po sobie. Skrzypek Kurek obejrzał się - diament wciąż leżał za nim.

Bębniśta próbował masować zdrętwiałe przeguby.

Kurek patrzył bezradnie na zmęczonych tancerzy.

- No to... - powiedział i jeszcze raz podniósł smyczek,

Panna Flitworth i jej towarzysze słuchali tego ukryci we . mgle, która o świcie kłębiła się nad polami. Śmierć rozpoznał powolny, uparty rytm. Przywodził na myśl drewniane figurki wirujące przez Czas, dopóki nie rozwinie się sprężyna.

TEGO NIE ZNAM.

- To ostatni walc.

PODEJRZEWAM, ŻE NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO.

- Wiesz - odezwała się panna Flitworth. - Cały wieczór się zastanawiałam, jak to będzie. Jak to zrobisz. Rozumiesz, ludzie przecież powinni umierać na coś, prawda? Myślałam, że może umrę ze zmęczenia, ale nigdy jeszcze nie czułam się lepiej. Wytańczyłam się za całe życie, a nawet nie jestem zdyszana. Właściwie to jestem chyba w lepszej formie niż na początku, Billu Bramo. I...

Urwała.

- Nie oddycham. - To nie było pytanie. Uniosła dłoń i chuchnęła na nią.

NIE.

- Rozumiem. Nigdy w życiu tak się nie bawiłam. Ha! Więc...kiedy?

PAMIĘTASZ, RENATO, KIEDY POWIEDZIAŁAŚ, ŻE CIĘ WYSTRASZYŁEM?

- Tak...

ŚMIERTELNIE CIĘ WYSTRASZYŁEM.

Panna Flitworth nie słuchała. Obracała dłoń w obie strony, jakby nigdy jej wcześniej nie widziała.

- Zauważyłam, że dokonałeś kilku zmian, Billu Bramo.

NIE. TO ŻYCIE DOKONUJE ZMIAN.

- Chodziło mi o to, że jestem młodsza.

MNIE RÓWNIEŻ O TO CHODZIŁO.

Pstryknął palcami. Pimpuś przestał gryźć trawę pod żywopłotem i podbiegł.

- Wiesz - mówiła panna Flitworth - często myślałam... Często myślałam, że każdy ma swój taki, rozumiesz, taki naturalny wiek. Widuje się czasem dziesięcioletnie dzieci, które się zachowują, jakby miały po trzydzieści pięć lat. Niektórzy ludzie rodzą się w średnim wieku. Miło byłoby wierzyć, że miałam... - spojrzała na siebie - ...no, powiedzmy osiemnaście lat. Przez całe życie. Wewnątrz.

Śmierć nie odpowiedział. Pomógł jej wsiąść na konia.

- Kiedy widzę, co życie robi z ludźmi, to wiesz, wcale nie jesteś taki najgorszy - powiedziała nerwowo.

Śmierć cmoknął. Pimpuś ruszył naprzód.

- Nigdy nie spotkałeś Życia, prawda?

MOGĘ CAŁKIEM SZCZERZE ZAPEWNIĆ, ŻE NIE.

- Prawdopodobnie jest takie wielkie, białe, trzeszczące. Jak burza z piorunami w spodniach - zastanawiała się panna Flitworth. CHYBANIE. Pimpuś uniósł się w poranne niebo.

- A zresztą... Śmierć wszystkim tyranom - rzekła panna Flitworth.

TAK.

- Dokąd jedziemy?

Pimpuś gnał już galopem, ale *pejzaż* wokół się nie zmieniał.

- Masz pięknego konia - powiedziała panna Flitworth. Głos jej drżał.

TAK

- Ale co on właściwie robi?

ROZPĘDZA SIĘ.

- Przecież się nie ruszamy... Zniknęli.

I pojawili się znowu. . Wokół rozciągały się śnieżne pola i zielonkawy lód na górskich urwiskach. Góry nie były stare, wygładzone deszczami i erozją, z łagodnymi stokami narciarskimi. To były góry młode, gniewne, dorastające. Skrywały wąwozy i bezlitosne szczeliny. Jedna chwila jodłowania w nieodpowiednim miejscu mogła przyciągnąć nie wesołe echo i odpowiedź samotnego pasterza, ale pięćdziesiąt ton dostarczonego ekspresowo śniegu.

Koń wylądował na śnieżnym nawisie, który właściwie nie powinien go utrzymać.

Śmierć zeskoczył i pomógł zsiąść pannie Flitworth. Razem przeszli po śniegu do wydeptanej ścieżki, przytulonej do stromego

zbocza.

- Dlaczego tu jesteśmy?

UNIKAM SPEKULACJI O SPRAWACH KOSMICZNEJ NATURY.

- To znaczy tutaj, na tej górze. W tym punkcie geografii - tłumaczyła cierpliwie panna Flitworth.

TO NIE JEST GEOGRAFIA.

- A co w takim razie?

HISTORIA.

Za zakrętem stał kucyk. Obgryzał jakiś krzak, a na grzbiecie miał duży pakunek. Ścieżka kończyła się pod zwałem podejrzanie czystego śniegu.

Śmierć wyjął spod szaty życiomierz.

TERAZ, powiedział i wszedł na śnieg.

Przyglądała mu się przez chwilę, myśląc, czy także może to zrobić. Materialność jest nałogiem, od którego trudno się odzwyczaić.

A po chwili już nie musiała.

Ktoś wyszedł.

Śmierć dociągnął popręg i wskoczył na siodło. Przez chwilę obserwował jeszcze dwoje ludzi przy lawinie. Sylwetki zmniejszyły się do granic widzialności, a ich głosy były tylko fakturą powietrza.

- Powiedział tylko "DOKĄDKOLWIEK PÓJDZIECIE, PÓJDZIECIE RAZEM". Zapytałem dokąd, a on powiedział, że nie wie. Co się stało?

- Rufus, najdroższy, trudno ci będzie uwierzyć...

- I kim był ten zamaskowany człowiek? Obejrzelisi się razem. Nikogo już nie było.

W wiosce w Ramtopach, gdzie rozumieją, o co chodzi . w tańcu morris, tańczą go tylko raz, o świcie, pierwszego dnia wiosny. Potem już nie, przez całe lato. W końcu jaki miałyby to sens? Czemu miałyby służyć?

Ale pewnego dnia, kiedy noce stają się coraz dłuższe, tancerze wcześniej przerywają pracę i ze strychów albo kufrów wyjmują inne kostiumy, te czarne, i inne dzwonki. Potem ruszają - każdy osobno - w dolinę pośród bezlistnych drzew. Nie rozmawiają. Nie gra muzyka. Trudno sobie wyobrazić taką, która byłaby odpowiednia.

Dzwonki nie dzwonią. Są zrobione z oktironu, magicznego metalu. Ale nie są - w ścisłym sensie tego słowa - bezdźwięczne. Bezdźwięczność to jedynie nieobecność dźwięku. Te dzwonki wydają przeciwieństwo dźwięku, coś w rodzaju silnie tekstuowanej ciszy.

I chłodnym popołudniem, kiedy światło odpływa z nieba, na zmarzniętych liściach i w wilgotnym powietrzu tańczą ten drugi taniec morris. Dla zachowania równowagi *rzeczy*.

Trzeba tańczyć oba, jak. mówią. Inaczej nie można by tańczyć żadnego.

Windle Poons włókł się po Mosiężnym Moście. Był to czas, kiedy nocni mieszkańcy kładą się do łóżek, a dzienni dopiero się budzą. W tej chwili ani jednych, ani drugich nie widziało się zbyt wielu.

Windle czuł, że coś ciągnie go tutaj, w to miejsce, tej nocy, teraz. Nie było to dokładnie takie samo uczucie jak wtedy, kiedy wiedział, że ma umrzeć. Raczej takie, jakiego doznaje trybik we wnętrzu zegara: wszystko się obraca, sprężyna się rozwija i tu właśnie należy się znaleźć...

Zatrzymał się i wychylił przez balustradę. Ciemne wody, a przy najmniej bardzo rzadkie błoto chlupotało o filary mostu. Była taka legenda... Zaraz, jak to szło? Jeśli z Mosiężnego Mostu wrzuci się do Ankh pieniędzy, człowiek na pewno tu wróci. A może trzeba zwrócić do Ankh posiłek? Nie, raczej to pierwsze. Większość mieszkańców, gdyby upuścili do rzeki monetę, z pewnością by wróciła, żeby jej poszukać.

Jakaś postać wynurzyła się z mgły. Windle znieruchomiał.

- Dzień dobry, panie Poons. Windle odprężył się.

- Sierżant Colon? Wziąłem was za kogoś innego.

- To tylko ja, panie szanowny - odparł uprzejmie strażnik. -Zawsze się

zjawiam, jak glina na butach.

- Widzę, sierżancie, że most przetrwał kolejną nockę i nie został skradziony. Dobra robota.

- Nigdy dość ostrożności. Stale to powtarzam.

- Jestem pewien, że obywatele mogą spać spokojnie w cudzych łóżkach, wiedząc, że nikt się nocą nie wymknie z pięcioma tysiącami ton mostu.

W przeciwieństwie do krasnoluda Modo sierżant Colon znał znaczenie słowa "ironia". Uważał, że to owoc podobny do aronii. Uśmiechnął się z szacunkiem.

- Trzeba być sprytnym, żeby pokonać współczesnych międzynarodowych przestępców, panie Poons - powiedział.

- Zuch. Tego... Nie widzieliście tu przypadkiem kogoś... no, kogoś innego?

- Wszędzie martwa cisza - odparł sierżant. Zastanowił się i dodał szybko: - Bez urazy.

- Och.

- No to już pójdę.

- Świetnie. Świetnie.

- Dobrze się pan czuje, panie Poons?

- Znakomicie.

- Chyba nie chce pan się znowu rzucać do rzeki?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Aha. To dobrze. No... do widzenia. - Zawahał się nagle. — Kiedyś zapomnę własnej głowy - powiedział. - Jakiś gość prosił, żeby to panu przekazać.

Wręczył Windle'owi przybrudzoną kopertę.

Windle wpatrzył się w kłęby mgły.

- Jaki gość?

- Tamten go... O, już poszedł. Wysoki. Trochę dziwny. Windle powoli rozwinął papier, na którym napisano: OOoooEeeeOooEeeeOOOeee.

- Aha - mruknął.

- Złe wieści? - zapytał Colon.

- Zależy od punktu widzenia.

- No tak. Jasne. Świetnie. No to... żegnam szanownego pana.

- Żegnam.

Sierżant Colon zawahał się jeszcze, ale tylko wzruszył ramionami i odszedł.

A kiedy tylko ruszył z miejsca, ukryty za nim cień przesunął się i wyszczerzył zęby.

WINDLE POONS?

Windle nawet się nie obejrzał.

- Tak.

Kątem oka dostrzegł parę kościstych dłoni, opierających się o balustradę. Zabrzmiął cichy klekot, gdy przybysz szukał najwygodniejszej pozycji, a potem cisza.

- No tak - odezwał się Windle. - Spodziewam się, że będziemy się zbierać?

NIE MA POŚPIECHU.

- Myślałem, że zawsze jesteś punktualny.

W DANYCH OKOLICZNOŚCIACH KILKA MINUT WIĘCEJ NIE ROBI WIELKIEJ RÓŻNICY.

Windle skinął głową. Stali obok siebie w milczeniu, a wokół budził się stłumiony gwar miasta.

- Wiesz - powiedział Windle.- to było wspaniałe życie pozagrobowe. Gdzie się podziewałeś?

BYŁEM ZAJĘTY.

Windle właściwie nie słuchał.

- Poznałem ludzi, o których nawet nie wiedziałem, że istnieją. Robiłem różne rzeczy. I dowiedziałem się, kim jest naprawdę Windle Poons.

A KIM JEST?

- Windle Poonsem.

ROZUMIEM, ŻE TO MUSIAŁ BYĆ SZOK.

- Owszem.

TYLE LAT NICZEGO NAWET NIE PODEJRZEWAŁEŚ.

Windle Poons dokładnie wiedział, czym jest ironia. Potrafił również wyczuć sarkazm.

- Tobie jest łatwiej - wymamrotał.

MOŻLIWE.

Windle raz jeszcze spojrzał w dół, na rzekę.

- Było wspaniale - oświadczył. - Po tylu latach. To ważne, kiedy człowiek czuje się potrzebny.

TAK. ALE DLACZEGO? Windle się zdziwił.

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Bo wszyscy tkwimy w tym wspólnie; tak sądzę. Bo nie zostawiamy naszych ludzi w niebezpieczeństwie. Bo jestem od dawna martwy. Bo wszystko jest lepsze od samotności. Bo ludzie są ludźmi.

A SZEŚĆ PENSÓW TO SZEŚĆ PENSÓW. ALE KUKURYDZA NIE JEST TYLKO KUKURYDZĄ.

- Nie jest?

NIE.

Windle oparł się o balustradę i spojrzał w niebo. Kamienie mostu były ciepłe.

Ku jego zdumieniu, Śmierć także się odwrócił.

BO MACIE TYLKO SIEBIE, powiedział.

- Co? A tak. To też. Tam dalej jest wielki, zimny wszechświat.

BYŁBYŚ ZDZIWIONY.

- Jedno życie zwyczajnie nie wystarcza.

TEGO NIE WIEM.

- Hm?

WINDLE POONSIE...

- Tak?

TO BYŁO TWOJE PRAWDZIWE ŻYCIE.

Czując wielką ulgę i generalny optymizm, i przekonany, że tak w ogóle wszystko mogłoby ułożyć się o wiele gorzej, Windle Poons umarł.

Gdzieś wśród nocy Reg Shoe rozejrzał się czujnie, dyskretnie wyjął spod kurtki pędzel i nieduży słoik z farbą, po czym wypisał na poręcznym murze: Wewnątrz każdej żywej osoby tkwi martwa osoba, która chce się wydostać... A potem wszystko się skończyło. Koniec.

Czując wielką ulgę i generalny optymizm, i przekonany, że tak w ogóle wszystko mogłoby ułożyć się o wiele gorzej, Windle Poons umarł.

Śmierć stał przy oknie w swym mrocznym gabinecie i spoglądał na ogród. Nic się nie poruszało w jego martwej dziedzinie. Ciemne lilie kwitły nad sadzawką, gdzie łowiły ryby gipsowe szkielety gnomów. W dali wznosiły się góry. Ale teraz czegoś tu brakowało.

Śmierć wybrał kosę ze stojaka w holu. Minął wielki zegar bez wskazówek i wyszedł na zewnątrz. Przeszedł przez czarny sad, gdzie Albert pracował przy ulach. Potem maszerował dalej, aż stanął na szczycie niewielkiego pagórka na granicy ogrodu. Poza nim, aż do gór, leżał nieuformowany teren - podtrzymywał ciężar, posiadał rodzaj egzystencji, ale nigdy nie było powodu, żeby określić go dokładniej. Przynajmniej do tej chwili.

Z tyłu zbliżył się Albert; kilka czarnych pszczoł brzęczało mu wokół głowy.

- Co robisz, panie? - zapytał.

PAMIĘTAM.

- Tak?

PAMIĘTAM, KIEDY BYŁY TU TYLKO GWIAZDY.

O co chodziło? A tak...

Pstryknął palcami. Pojawiły się łagodnie opadające pola.

- Złociste - stwierdził Albert. - Ładne. Zawsze uważałem, że przydałoby się nieco koloru.

Śmierć pokręcił głową. Coś tu jeszcze się nie zgadzało. I wtedy zrozumiał: życiomierze. Wielki pokój wypełniony rykiem mijających żywotów... Życiomierze były efektywne i niezbędne dla zachowania porządku. Ale...

Raz jeszcze pstryknął palcami i zrodził się wietrzyk. Zboże zakołysało się, kolejne fale sunęły po polach.

ALBERCIE.

- Tak, panie?

CZY MASZ COŚ DO ROBOTY? JAKIEŚ ZAJĘCIE?

- Raczej nie.

GDZIE INDZIEJ NIŻ TUTAJ?

- Ach, rozumiem. Chcesz zostać sam, panie - domyślił się Albert.

ZAWSZE JESTEM SAM. ALE TERAZ CHCIAŁBYM BYĆ SAM W SAMOTNOŚCI.

- Oczywiście. Zaraz pójde i... tego, zajmę się jakimiś pracami w domu.

TAK UCZYŃ.

Śmierć stał samotny, obserwując taniec kłosów w lekkiej bryzie. Oczywiście, to tylko metafora. Ludzie są czymś więcej niż kłosami. Pędzą przez te swoje ciasne, zatłoczone żywoty, napędzani dosłownie mechanizmami zegarowymi, od brzegu do brzegu wypełniają swoje dni samym wysiłkiem życia. I każde życie trwa tyle samo. Nawet to bardzo długie i to bardzo krótkie. W każdym razie z punktu widzenia wieczności.

Gdzieś w głębi jego umysłu odezwał się cichy głos Billa Brama: Z punktu widzenia właściciela to dłuższe jest lepsze.

PIP.

Śmierć spojrzał pod nogi.

Maleńka postać stała przy jego stopach.

Schylił się, wziął ją na rękę i podniósł na wysokość badawczego oczodołu.

WIEDZIAŁEM, ŻE KOGOŚ BRAKUJE.

Śmierć Szczurów przytaknął.

PIP?

Śmierć pokręcił głową.

NIE, NIE MOGĘ POZWOLIĆ CI ZOSTAĆ, powiedział. PRZECIEŻ TO NIE JEST FIRMA USŁUGOWA ANI NIC TAKIEGO.

PIP?

TYLKO TY ZOSTAŁEŚ?

Śmierć Szczurów otworzył drobną szkieletową dłoń. Malutki Śmierć Pcheł wstał z miną zakłopotaną, ale pełną nadziei.

NIE. TAK SIĘ NIE STANIE. JESTEM NIEUBŁAGANY. JESTEM ŚMIERCIA... JEDYNYM.

Spojrzał na Śmierć Szczurów.

Przypomniął sobie Azraela W jego wieży samotności.

JEDYNYM...

Śmierć Szczurów popatrzył mu w oczodoły

PIP?

Wyobraźmy sobie czarną postać, otoczoną polami kukurydzy.

NIE, NIE MOŻESZ JEŹDZIĆ NA KOCIE. KTO TO SŁYSZAŁ O ŚMIERCI SZCZURÓW NA KOCIE? ŚMIERĆ SZCZURÓW POWINIEN JEŹDZIĆ NA JAKIMŚ PSIE.

Wyobraźmy sobie nowe pola sięgające horyzontu, pola rozwijające się łagodnymi falami...

MNIE NIE PYTAJ. SKĄD MAM WIEDZIEĆ? MOŻE NA JAKIMŚ TERRIERZE.

Polna zboża, żywe, szepczące na wietrze...

WŁAŚNIE. I ŚMIERĆ PCHEŁ TEŻ MOŻE NA NIM JEŹDZIĆ. W TEN SPOSÓB JEDNYM KAMIENIEM UBIJESZ DWA WRÓBLE.

...oczekujące wskazań zegara pór roku.

METAFORYCZNIE.

A na końcu wszystkich opowieści Azrael, który znał tajemnicę,

pomyślał:

PAMIĘTAM, KIEDYWSZYSTKO TO BĘDZIE ZNOWU.

[1]

[2]

[3]

[4]

[5]

[6]

[7]

[8]

[9]

[10]

[11]

[12]

[13]

Starsi magowie wiedzą, że właściwym celem magii jest tworzenie piramidy społecznej, gdzie na samym szczycie znajdują się magowie, zjadający obfite posiłki. Tymczasem jednak budynek MWE pomógł uzyskać jedno z najrzadszych dań we wszechświecie: przedkaskę. Jest to rodzaj makaronu, jednak o ile zwykły makaron gotuje się na kilka godzin przed spożyciem, to przedkaska jest przyrządzana kilka godzin po posiłku. Istnieje wstecz w czasie i - właściwie podana - powinna zjawić

się na kubeczkach smakowych dokładnie w tej samej chwili, powodując prawdziwą eksplozję smaku. Przedkaska kosztuje pięć tysięcy dolarów za widelec, a nawet trochę więcej, jeśli doliczyć koszt czyszczenia ścian z sosu pomidorowego.

[14]

[15]

[16]

[17]

[18]

[19]